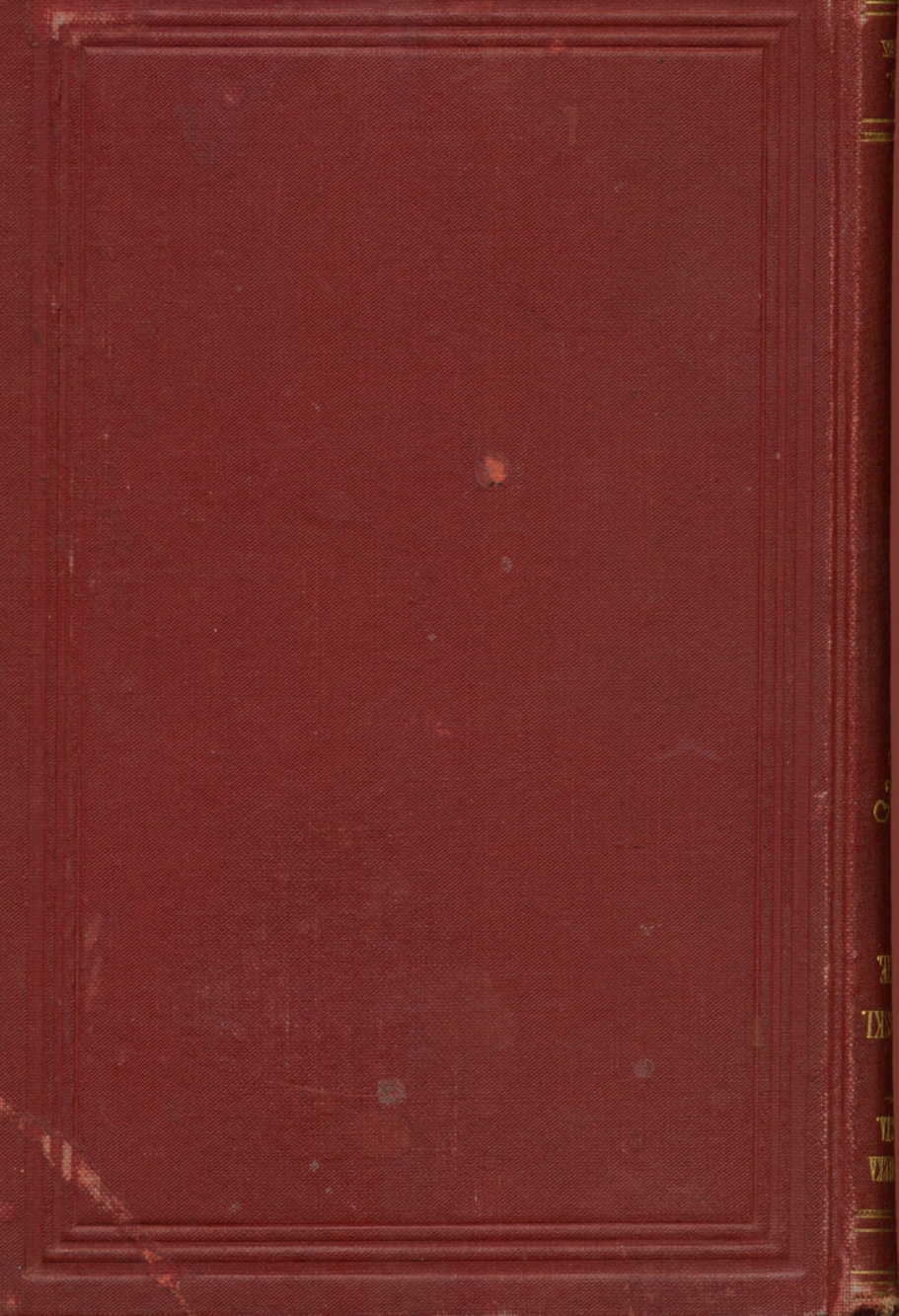








BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXXVI.

MICHAŁ ANCZYKOWSKI
Ostrów Wlkp., Rynek nr 21

Nr

107

POEZYE

ROMANA ZMORSKIEGO.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

—
1866.



884-1

I 78725 L

78725

L-P

Od dawna już nalegany o zgromadzenie i wydanie w jednym zbiorze rozproszonych poezyi moich, dzisiaj dopiero życzeniu temu uczynić zadość jestem w stanie. W tomie niniejszym starałem się zgromadzić wszystkie, o ile mi pamięć wskazać mogła, utwory, bądź oddzielnie, bądź w różnych pismach czasowych i zbiorowych poprzednio już drukiem ogłoszone — wydanie niedrukowanych jeszcze poezyi do dalszego nieco zostawiając czasu.

R. Z.

SPIS RZECZY.

	Strona
LESŁAW, szkic fantastyczny	1
WIEŻA SIEDMIU WODZÓW, pieśń z podania . /	58
LIRYKI I RÓŻNE WIERSZE:	
Powitanie	85
Modlitwa, napisana dla Karola Levittoux	87
Tęsknota	88
Mazur	90
Myśl	91
Z poematu Urańja, Augusta Tiedge	92
Na zwaliskach zamku w Czersku	94
W imieniny w imionniku.	98
Zachęcenie	99
Do Liszta, improwizacya	101
W księdze pamiątek N. B.	104
Do F.	105
Ognia! — improwizacya	106
Gitara, z niemieckiego	107
Sny i zbudzenia	108
Rozkosz i boleść	110
Na zwaliskach zamku w Białym	112
Napis na grób samobójcy	112
Jodła	113
Pieśń jesienna	114
Do młodego poety	115
Anioł-niszczyciel	117
Wieszcz	119
Do A. D.	123
Pieśń rozbicia	124
Nad Wisłą, improwizacya	125
Westchnienie z oddali	126
Wspomnienie z Bałtyku	128
Kometa	130
Żółwie, napis na żółwiej skorupie	131
Wróżby Mazura	132
Jaskółka	133

VIII

Strona

Pieśń wiosenna	134
Starzec świat dźwigający — napis nad posągiem w O.	134
Chinura na czole	135
Do dębu w L., w Wielkopolsce	136
W sukmany! — improwizacya	139
Czarodziejstwo Odina, z starej Eddy	140
Z tragedyi Olaf Samozwaniec, Adama Oehlschlägera	141
Z Córy Sławy (Slavy Dcera), Jana Kollara	142
Żal Słowaka, z M. J. Hurbana	144
Cztery źródła, z Preradowicza	145
Przeszłość Sławian, z Miłosza Popowicza	146
Żale dziewczyny, z Schillera	147
Cicha noc, piosnka pod nutę łużycko-serbską	148
Do Adama Mickiewicza, posyłając mu Wieżę Siedmiu Wodków	149
Dziewczyna u źródła, z Radiczewicza	150
Odpowiedź na pytanie	151
Zabłąkana — podsłuchany głos z poddasza	153
Na grobie Juliusza Słowackiego	154
Na rozstaju	155
W imionniku A. K.	156
Pieśń pielgrzymów, z zaginionej powieści: Przednówie	157
Na dawnym szlaku	160
Piosnka dziewczęcia fińskiego	161
Ziemske drogi — w imionniku młodemu na drogę	162
W imionniku J. S.	162
O mroźnym ranku	163
Pochwała wina, z wschodniego poety Mirza Szafi	166
Piosnka cyganów węgierskich	167
Piosnka koptyjska, z Goethe'go	168
Cztery obowiązki, przypowieść wschodnia	169
Dobra rada, przypowieść wschodnia	169
Miecz Amru, przypowieść wschodnia	170

POWIASTKI I OBRAZY.

Noc ś. Jana, podług powieści gminnej	175
Sierota, urywek	180
Niewierna, z pieśni gminnej	183
Uczta, urywek z zaginionej powieści Wet za wet	189
Skarbek, wspomnienie z roku 1107	194
Dziwy, improwizacya	196
Chrystus i Piotr, legenda łużycko-serbska	198
Pierwsza noc czarownicy, z Goethe'go	200
Północny król, z Goethe'go	205
Dwa ustępy z Sagi o Frithjofie, Izajasza Tegniera	207

EDWARDOWI DEMBOWSKIEMU

w znak braterstwa i przyjaźni

13. października 1843.

OSOBY.

NIEZNAJOMY.

LESZAW.

DZIEWICA-CHMURA.

HELENA.

RYBAK.

ŚMIERĆ.

CZTERY CZAROWNICE.

CHÓR DZIEWCZĄT WIEJSKICH.

TOPIELCY. — TOPIELICE.

UPIORY. — STRZYGI.

LESŁAW.

SZKIC FANTASTYCZNY.

LESŁAW.

SZKIC FANTASTYCZNY W TRZECH NOCACH.

OSOBY.

NIEZNAJOMY.

LESŁAW.

DZIEWICA - CHMURA.

HELENA.

RYBAK.

ŚMIERĆ.

CZTERY CZAROWNICE.

CHÓR DZIEWCZĄT WIEJSKICH.

TOPIELCY. — TOPIELICE.

UPIORY. — STRZYGI.

NOC PIERWSZA.

I.

Pogodna noc jesienna; nów księżyc; lekkie obłoki przeciągają po niebie.
Pusta okolica u kamienia Twardowskiego pod Czerwińskiem.¹⁾

NIEZNAJOMY. LESŁAW.

NIEZNAJOMY.

Za chwilę kogut na północ zapieje,
Co chwila chłodniej wilgotny wiatr wieje;
Tak samotnego i o takiej porze,
Cóż na tem miejscu trzymać ciebie może?

LESŁAW.

Samotna cisza rosą jest krzepiącą
Dla duszy zgiełkiem niestrojnym znużonej.
A kto rozpałił w piersi swojej własnej
Słońce dla siebie, dla tego dzień biały,
Równy z nocą chmurną, jasny.

NIEZNAJOMY.

Witaj mi więc! Po pierwszy raz
Spotkany, witaj znajomym mi!

LESŁAW.

Przecż że znajomym?

NIEZNAJOMY.

Bo ze twoich słów
Poznałem to, co najzacniejszego
W duszy twej: — to, coć przywiodło tu.

LESŁAW.

Cóż?

NIEZNAJOMY.

Duszy twojej tajne pragnienie,
 Nieukojone gwarem świata czczym.
 Przyszedłeś w cichej nocy pokoju
 Swobodnie dumać; i na głazie tym,
 Który przed wieki trzema Twardowski,
 Potężny mistrz, co sam ogarnął,
 Wszystkie najwyższej skarby mądrości,
 Wszechwładnej woli cisnął tu skinieniem,
 By siły mędrca pozostał pomnikiem —
 Tyś przyszedł tu, tajemnych dróg
 K' mądrości badać. Witaj mi więc!

LESŁAW.

Mądrość ludzka jest jak labirynt ciemny.
 Od wieków błędząc w jego krętych splotach,
 Co chwila zda się, żeśmy uszli dalej,
 Że coraz nową przebiegamy ścieżkę.
 Przecież, na Boga! jedną tylko drogą
 Kołujem, tysiąc powracając razy. —
 Mądrość, to lśniące próchno leszczynowe —
 Dotkniesz, rozsypie się w proch.
 To motyl skrzący barw tęczyowych blaskiem;
 Bieżysz jak dziecko łakomie — ostatnie
 Siły wytężasz, by pojmać dziw świetny —
 Zaledwieś ujął, blask uroczy znikł. —
 I miałabym ja gonić za nią? Wartoż
 Piąć się po szczeblach tej stromej drabiny,
 Kiedy — sam rzekłeś — szczebel jej najwyższy,
 W bezdennej piekiel otchłani się wsparł,
 I ten go tylko zajął, co tam wszedł?

NIEZNAJOMY.

I tyżes to rzekł?!... Jest tajemny blask —
 W tysiącu ludzi jedno ledwie on
 Objasnia czoło — on zwiastuje skroń,

W której zamieszkał wielki, silny duch.
 Na twojem czole goreje ten znak.
 I tyżbyś nieznać miał, że żadna cena,
 Nawet wieczności, nie jest wielką zbyt,
 Jeżeli za nią można kupić wielkość?!

LESŁAW.

Wielkość!!.. potężne, czarodziejskie słowo!
 Jakaż młoda pierś od jego dźwięku
 Niezadrży wszystkich strón cudowną mową,
 Jak harfa w mistrza rękę!...

O wielkości! ja czczę cię — i tyś nie obcą mnie!
 Ni przyzywać mi cię trzeba mądrością;
 Jam nad mędrców stokroć wielki — miłością,
 Co w sercu mojem tchnie...

Tam, gdzie ślepnie blask słońc drogi mlecznej,
 Serce me tam jasnymi wystrzela promieńmi,
 I światy na kończyńie światów ostatecznej
 Promiennemi ima uściśnięćmi.

Wszystkich ludów niezliczone miljony,
 Niebo, ziemię — przyszłość, przeszłość omgloną,
 Cały ogrom życia w wieczności rzucony
 Obejma kochające me łono...

O, jam wielki!.. Powiedz mi, krzyżową
 Śmiercią mą, nędzom świata że położę kres,
 A ujrzysz wnet — bez trwogi, bez ogrójca łez —
 Krzyż nowy i Golgotę nową!

Ja nawet życie moje nieśmiertelne,
 Ochoczy oddam na kaźni piekielne,
 A ust moich boleści nie pokalają jęk.
 Patrząc na szczęście świata, zśród ognistych męk,
 Pieśni nucić będę weselne!...

Jam wielki mą miłością — i wielkość mą pojąłem.
 Wielkim jak świat, jak przestrzeń niezmierzona, —
 Jak ten duch, którego ramiona
 Wszystko ogromnem ogarniają kołem.

O mądrości! i cóż mi jeszcze, cóż?
 Zdolne dodać wszystkie twoje wieńce,

Które niegdyś ceną wzniosłych dusz
Płaciły twe zapaleńce!...

NIEZNAJOMY.

Gdzie ich mądrości żądza zawiodła,
Miłość zawiedzie ciebie tam.
I każda, którą poszedłbyś, droga,
U piekła by się kończyła bram.
Piekło, to klątwa niczem nie zmazana,
Wiecznie ciężąca na duchach tych,
Co ogniem żądz, uczuć górnością
Zdeptali blade robacze żądze,
I karle tłumy uczucia. — Tak!
Ty stwierdzisz sam prawdę mych słów:
Znakiem przekleństwa geńjusz znak!
Ty nosisz go. — Bądź zdrów.. —

(Odchodzi.)

LESŁAW.

Bądź zdrów.

II.

Dzikię pole między wzgórzami.

CZTERY CZAROWNICE.

Boso, w koszulach, z rzeszotami w ręku.²⁾

1. CZAROWNICA.

Noc księżyczna — śliczna, śliczna!
Bujno padaj roso mléczna!

2. CZAROWNICA.

Padaj bujno, mléczna roso!
Jak z przestałych kłosów proso.

3. CZAROWNICA.

O giezłeczku jednym, bosu,
Zbieram ciebie, mlęczna roso!

4. CZAROWNICA.

Po młodziu, po wrześniowym,
Garnęć przetakiem lipowym.

CHÓR.

Noc księżyczna, — śliczna, śliczna!
Zbieram ciebie, roso mlęczna!

1. CZAROWNICA.

Wierzchem rzeszót rosa ścieka:
Już donice pełne mleka.
Chmury ciągną — nów nam świeci —
Ubieżało nocy pół; —
Sama pora! dalej dzieci,
Żywo rwać do czaru ziół!

2. CZAROWNICA.

Matko Anno! jakich zieli,
Na jakiście to czar chcieli?

1. CZAROWNICA.

Zrobię dzisiaj czar miłosny. —
Widzieliście lato wiosny
W naszym dworze pannę młodą?
Toć pamiętać ją musicie;
Bo przez całe pewno życie,
Między wszystką pańską dziatwą,
Nie przyjdzie wam spotkać łatwo
Drugiej z tak śliczną urodą! —
Choć to pańskie, cudem przecie,
Jakby anioł dobre dziecię.
Aż pomyśleć patrząc miło,
Że się mlekiem swem karmiło.
Jenoż dojrzy, że we dworze,
Starej mamki się nie sroma;
Nieda z psami stać za drzwiami;

I jak matkę ucałuje,
 Ściska, pieści, uczęstuje,
 Aż się odjąć człek nie może.
 Ot, że słowem, tak ją pono
 Kocham, jak córkę rodzoną. —
 Aż żal patrzeć mi na dziewczę,
 Że to dotąd panną jeszcze.
 Bo wszak wiecie, że panieństwo,
 Ciężki to, choć piękny kwiatek;
 I że go w ośmnaście latek
 Nosić, prawdziwe męczeństwo.

3. CZAROWNICA.

Oj tak! męczeństwo bolesne.....
 Mnie go znosić zbrakło mocy;
 Za to mąż mi pierwszej nocy
 Boki zbił na jabłko leśne.

4. CZAROWNICA.

Cóż ty na to?

3. CZAROWNICA.

Wzięłam węża,
 Uważyłam w mleku z manną —
 Nakarmiłam pana męża!

4. CZAROWNICA.

I cóż dalej? matko Anno!

1. CZAROWNICA.

Dotąd jeszcze moja Helka
 Nie kochała. Szkoda wielka!
 Nie wie co za skarby traci.
 Straszna szkoda!... Dnia młodości,
 Co zmarnieje bez miłości,
 Życie całe nie opłaci!
 Otóż, patrzcie! włos z jej głowy,
 Włos jedwabny, bursztynowy —
 Rwijcie jaskru i lubczyku,
 I barwiczki i pokrzyku! ³⁾

Razem splecę je do wianka,
 Na proch spalę, zaczaruję —
 Kochająca i kochanka
 Mnie za szczęście podziękuje.
 A choć nieraz przyjdą chwile
 Łez, boleści i rozpaczy,
 Przy miłości, cóż to znaczy?
 Ileż uciech za to — ile!...

2. CZAROWNICA.

A i kogoż z nią zaklniecie?
 Komuż kochać ją każecie?

1. CZAROWNICA.

Samam chłopca jej wybrała,
 Najlepszego com zaznała.
 A choć zawsze zadumany,
 Zawsze blady gorzej ściany,
 Urodziwy jak nie wiele.
 Ot — i jego włosów trocha,
 Com w śnie ścięła mu na czele ...
 Jedno w drugim się pokocha,
 Potem wesele — wesele! —
 Tylko żywo rwijcie ziele!

(Rozchodzą się, rwiąc zioła.)

III.

Wzgórza urwiste — na szczytach ich wiszą obłoki.

LESŁAW.

Krew wre, burzy się w żyłach mych — gorąca
 Jak ołów roztopiony. A po mojej twarzy

Czuje jak chłód jesienny zimną rosą wieje.
 I chciałbym, i siłę się odetchnąć tym ostrym,
 Przesiąkłym mgłami wiatrem, — by nim choć na chwilę
 Ostudzić żar palący piersi me; — napróżno!
 Tak okropnie twój ciężar ciśnie moje łono,
 Nieukojona żądzo!...

Wszechmocna, jedyna,
 Żądzo miłości! wierniejsza od cienia,
 Tyś zawsze — wszędy ze mną; a sama swym cieniem
 Takeś okryła wszystką moją duszę,
 Że żadna inna żądza wzniść już w niej nie zdolna.
 Ty, jak zazdrośna żona, na łożu mem w nocy
 Przylegasz, i zawiścią bezsenna, na sennem
 Sercu mojem badawczą rękę swoją kładniesz.
 Okiem łakomie czytasz z twarzy mej myśl każdą,
 Co nie o tobie była; — i wtedy szalona,
 Ciśniesz mnie, by ocucić, w namiętne ramiona —
 By w ciebie tylko patrzeć, słyszeć tylko ciebie.
 Ty wszystkie głosy, wszystką ciszę ziemi
 Zrobić swoim językiem umiałaś; i niemi
 Wołasz mnie, mówisz bez przestanku ze mną...

Pomnę, gdy po tych górach, po dołach tych, wiosna
 Rozwieszała majowe, lekkie swoje sploty.
 Las młodym, bladym liściem dźwięczał, — smug kwiatami
 Błyszczał cały, oskrzony, jak niebo gwiazdami.
 Motyli, woniejących powiewów rój młody
 Bujał wśród nich, rozkosznie — jak dzieci po łące,
 Jak anieli po niebie; a z gęstwiny boru
 Brzmiał chór setny słowików tęskną pieśń wieczoru...
 W pieśń tę cudną, tyś wtedy wcieliła twe słowa.
 I poczułem śród tego niezmiernego hymnu,
 Nuconego harmonją i wonią i blaskiem,
 Żem był sam, jako struna zerwana na lutni.
 I samotność ta, męczarni była mi torturą.
 Końcam młodzieńczej pory czekał niecierpliwie.
 Zdało mi się, że serca cisnąć tak boleśnie
 Nic nie zdoła, jak rozkosz niedzielona z nikim...

I oto — wiatr północny gwiżdże zimy wróżbą,

Kołyszając płowe rżyska i traw kity płowe.
 Lasy się rumienią, krasą suchotnika
 Gorączkową, co śmierci poprzedza godzinę;
 I wieszczbą dla natury zgonu, wieszczka siwa,
 Posępna w leśnem gnieździe sowa się odzywa ...
 A ta piosnka zniszczenia sroższą mi trującą
 Piersi pali, rozdziera, niż wdzięk wiosny cały. —
 Przecież nie śmierci trwoga boleści mej matką;
 Jeżeli zwalczyć niezdolny, niedrzeć zdolnym przed nią.
 Ale jakże boleśnie patrzeć na to życie,
 Którego nie co chwila rozerwać się może,
 Niknące jak cień marny, jako śnieg przedwczesny,
 Bez tych rozkosznych, pojących uniesień, —
 Bez niepojętej współczucia radości, —
 Bez twoich pałających uścisków, miłości!....

Darmoż? i darmoż po marzenia świecie
 Skrzydlatą myślą twe rozkoszy gonię?
 Nigdyż mnie boska woń twa nie owionie,
 Miłości! ziemi najpiękniejszy kwiecie.

Nigdyż z ust lubej, ustami drżącemi,
 Nie zgaszę żądzy, co w mem sercu pała?
 Nigdzież? i nigdzież nie znajdzie na ziemi
 Duszy, coby się z duszą wieszczą zlała!

Gdzież ciebie szukać? gdzież znaleźć? aniele!
 Klnę ciebie świętym miłości wyrazem —
 Do mnie, ach do mnie! na wieczne wesele, —
 Do mnie, żyć i umrzeć razem!...

Ja dla twej białej, marmurowej skroni
 Wieniec z gwiazd splotę zerwanych na niebie;
 Ocean blasków i ocean woni
 Rozleję w około ciebie —

I wysoko, wysoko nad światem nieczystym,
 Wzniosęć w harmonii nieskończone morze;
 I za życia niebios ci podwoje otworzę
 W moim uścisku ognistym!...

(Wyciąga do uścisku ramiona.)

Uścisk mój spada na pierś moją własną,
 Jak kamień w niebo gwieździste rzucony,
 Na skroń zuchwałą. Gorące zakłęcia,
 Z dzikim rozdźwiękiem w proch się rozsypują
 O zimne piaski i zimniejsze serca.
 Żądze i klątwy, daremne — daremne!...

Na szczycie stromego wzgórza rozstępują się obłoki — wśród nich, w srebrnym blasku miesięcznym, ukazuje się wsparta na skale

DZIEWICA-CHMURA. ⁴⁾

LESŁAW.

Cud — czy marzenie? Jakaż boska dziewica!...
 Kibić jej lekka jak wiatr —
 Jej ramiona, to śniegi nieskalanych Tatr —
 W oku gromu błyskawica.
 Jej uśmiech! — jak dźwięk pieśni w gór porannem echu,
 Cała nadziemskich uciech tajemnica,
 Całe niebo dumania w tym tęsknym uśmiechu
 Z przeczystego jej przeziera lica.
 O! na uśmiech ten, na żar co z ocz twych lśni,
 Na błogość, co nim w duszę moją wniesłaś, —
 Powiedz, o piękna! z którego nieba zesłaś?
 Kto jesteś? powiedz mi! ...

DZIEWICA-CHMURA.

Gdy słońce zachodzi, gdy rumiane wschodzi,
 Cudownie jaśniej powietrzny mój dwór;
 W topniejącem złocie, w purpury namiocie
 Goreje wysoki tron królowej chmur.
 Pioruny i wichry mojemi gońcami;
 Na złocistej nowiu księżycznego łodzi,
 Upiętej mgły lekkiej srebrnymi żaglami,
 W krąg świat po błękitnej opływam powodzi.
 Ja, ziemia w tajemnym gdy utonie mroku,
 Schodzę, powszedniemu niewidzialna oku,
 I kwiaty wonnemi rosy zmywam łzami,

Przelotnych ogników rozrucam iskrami;
 Na szczytach samotnych wybujających gór
 Obłoków powiewne kotary rozwiewam;
 I rzewną tęsknoty pieśń dla ziemi śpiewam,
 A harfy powietrzne brzmia pieniom mym wtór...

I nieraz w mgły gęstej uwita płaszcz gruby,
 Aż pokąd rumiany zabłysł świt na niebie,
 Nuciałam dla ciebie — patrzyłam na ciebie,
 Ja kocham cię — kocham, mój luby!
 O pójdz w me ramiona! — ja ciebie osłonię
 Płaszczem zapału i boskiej tęsknoty;
 Aż serce ci całe rozplynie się w łonie
 Od żaru i lubości nieziemskiej pieśnycoty!...

LESŁAW.

Jeszcze!... o przemów jeszcze! — Nuć mi tak bez końca!
 Twój głos, to hymn słowików głoszący wschód słońca;
 Gwar stu srebrzystych strumieni,
 Kiedy się ze sobą zmacą;
 Brzęk dwu gwieździstych promieni,
 Gdy w przestrzeni o się trąca!
 W duszę moją światłości przesiąka kroplami,
 W pogodne szczęścia roztacza się zorze;
 W nieskończone miłości rozlewa się morze —
 Do ust twoich rwiącemi garnie mię falami...

DZIEWICA - CHMURA.

Ust moich wargi raz dotkną się czyje,
 Niechże ziemskiej na wieki zrzecze się miłości.
 W ust mych całunku piorun się kryje!
 Grom ten na licu jego się rozgości,
 I ziemską kochankę zabije.
 A klątwy, i prośby, i łzy już najkrwawsze,
 Zdradzonej, przebłagać nie zdoła mnie nic —
 I uścisk, i uśmiech jasnych ducha lic
 Na zawsze dlań przepadł, na zawsze!...

LESŁAW.

Przekłęte oko, co ciebie widziało,

I spocznie na licu ziemianki!
 Przekłęte serce, co ciebie kochało,
 I ziemskiej zapragnie kochanki.
 Nie chcę ich objąć — zimnych jak ten głąz
 Po którym depcą, — ich całunków mdłych!
 O, ty mi tylko — ty mi pozwól raz
 Odetchnąć wonią ust twych!...

(Upada w jej objęcia.)

IV.

Dwór wiejski śród ogrodu, otoczony kwieciami. — Dnieje.

HELENA

w białej nocnej szacie — w otwartym oknie domu.

Jakież marzenia po nad głową moją we śnie
 Krążyły, wiały wszystkie wiosny wonie;
 I wszystkie kwiaty maju siały na me skronie,
 Boską mnie pieśnią zbudziły tak wcześnie?...

W sercu mojem tak lubo, rzewnie, niewymownie!
 Jasne nadzieje i mroczna tęsknota,
 Jak na tem niebie z nocy mrokiem jutrznia złota,
 Tak się z sobą stapiają cudownie ...

Niby zaczarowany świat wszystek dokoła
 Taki jasny, promieniący, uroczy!
 I wszystko tajemniczym na mnie głosem woła,
 Tajemniczemi patrzy na mnie oczy.

A ja płonę, — drzę czegoś — czegoś bledną całą.
 Lękam się, — pragnę, — sama niewiem czego!
 I lży same do ócz mi niewstrzymane biegą,
 Jak gdybym łzami rozplynać się chciała.

Piersi, usta westchnieniom nastarczyć nie mogą —
 Kogoś pragnę, wyglądam kogoś ze wszech stron!

Kogoż tak niecierpliwie wyglądam? — ach, kogo?
Za kim tak tęsknię? — ach! za kim?...

Z gęstwy drzew, z pochyloną na pierś głową, wychodzi zadumany Lesław.

HELENA.

To on!...

NOC DRUGA.

I.

Ogród otoczony żywym płotem — obok płotu z pozóklých altana powojów; —
wzdali pola na pół zżęte. — Niebo na poly jasne, na poly zasłonięte cięż-
kiemi chmurami. — Zachód słońca.

HELENA

(sama, w altanie).

Och! serce moje! — Dzięki tobie, luby!
Za rozkosz tę, którą dałeś mi;
I Tobie Boże! dzięki Tobie — dzięki!...
Więc mnie nie zwiodły wieszczce przewidzenia
Mojego serca! on kochał — kochał mnie.
Tylko tak z wierzchu chłodnym lodem krył
Potok namiętnej miłości...
I czemuż krył ją tak długo przedemną?
Jam się nie kryła przed nim. — Każdem słowem,
Każdem spojrzeniem jam powiedzieć chciała:
Kocham Cię! — A on, taki obojętny,
Taki spoglądał na mnie roztargniony...
Ach! spoglądał tak rzadko!... I dla czegoż stronił,
Dla czegoż milczał tak? Czyliż nie wiedział,
Ile mógł szczęścia dać jednym wyrazem:
Kocham!...

I jakaż cudowna potęga
W słowie tem? Ono łańcuchem radości
Tak mnie splątało, żem do odpowiedzi
Próżno siliła usta; i jak dziecko

Uciekłam przed nim, w samotności do dna,
 Kropla po kropli, by kielich wysączyć
 Nowej, nieznaney słodyczy...

O matko moja! ty nie będziesz już
 Nad łzami córki twojej płakać więcej;
 I o łez źródło więcej mnie nie będziesz
 Pytać!... Radośna, radośnej
 Pobłogosławisz szczęściu, matko moja!...

W dali widać na polu, z sierpami na ramionach, powracającą od żniwa
 gromadę

DZIEWCZĄT WIEJSKICH

i piosnka przeciągła płynie po rosie.

PIEŚŃ GMINNA.

Kasieczka mała,
 O świcie wstała,
 Z białego łóżeczka.
 Śpiewając je ślała,
 Bo dziś spać w niem miała
 Obok swego Jasieczka.

Po porannym chłodzie
 Chodzi po ogrodzie,
 Rozmarynu szuka. —
 Sówka popielata
 Po drzewinach lata,
 I żałośliwie huka.

— «O dziewczyno miła!
 Co będziesz robiła
 Z tym zielonym wiankiem?» —
 — Główkę się ubiorę,
 Bo dzisiaj ślub biorę
 Z Jasiem, moim kochankiem! —

— «Oj! będąż dzwonili,
 Oj! będąż kadzili,
 Nie do ślubu tobie!
 Biedne twoje spanie,
 Nie z Jasiem kochanie, —
 W wilgotnym będzie grobie!» —

Dziewczyna się złąkla,
 Do domu uciekla
 Murawą zieloną.
 Żmija wyskoczyła,
 Kasię ukąsiła
 Za nóżeczkę toczoną.

We dzwony dzwonili,
 Kadzidla palili. —
 W bieluchnej sukience,
 Bez swego Jasieczka,
 Przespała Kasieczka
 Noc we twardej trumience.

HELENA.

Jakaż pieśń smutna!... Jak mogą ci ludzie
 Pieśń taką nucić?... Smutny, dziki śpiew! —
 Jak wiatr jesienny poobdzierał liść
 Świeżo rozwity, z nadziei mej drzewa.
 W każdym wyrazie, w każdej jego nucie
 Do serca straszne dzwoniło przeczucie.
 Radość uciekla przed nim, jak ptak z gniazda
 Przed wzrokiem sowy... I czegoż się smucę?
 Czegoż się trwożę?... o daruj mój luby!
 Mnie nic nie zdoła smucić — nic zatrwożyć —
 Bo ty mnie kochasz, — kochasz mnie, Lesławie!...

II.

Pole za ogrodem.

LESŁAW.

Sam.

Wstydu płomieniem zgórzcie, usta moje!

Usta moje wiarołomne!

Nikczemne sługi lubieżnego ciała,

Przysiąg i zaklęć świeżych nie pomne,

Słowa miłości rzekłyście niewieście. —

Takżeż? młodzieńcza, rozogniona krew

Do tyłaż silna, woli ducha wbrew

Że nami rządzi? Jaż, do tylam słaby,

Także mnie zwodne urzekły powaby,

Żem drżący kocham u jej stóp powiedział? —

I prawdąż by to miało być wyznanie?

Kocham że ją? — Sam nie wiem odpowiedzieć jak! —

W sercu mem taki gwałtowny wre bój...

Dwa różne światy i miłości dwie

Walczą ze sobą. Zbuntowane ciało,

Duszy się wydrzeć berło władzy pnie.

Z rozwianą krwawą rokoszu chorągwią,

Żądze prą, walczą, łomią się straszliwie. —

A świat i ludzie i wszystko co mnie

Otacza tylko, sprzymierzone z ciałem,

W pomoc okropnym bieży mu nawałem.

Martwem mnie kołem rzeczywistość błada

Oprzędła w koło, jako liszka kwiat.

I czego spytam, wszystko odpowiada

Z zimnem szyderstwem, że zjawienie twoje,

Piękna dziewico! dziedziczko zaklętych

Powietrznych zamków — wysoka królowo!

Marzeniem było! — I ja z sobą sam —

Kłócę się, wierzyć — czy fałsz zadać mam

Tej ciżbie głosów? ...

Czemuż, jeżeli raz

Ust twych dotknąłem, widziałem twój blask,
 Złoty twój z tobą nie uniósł mnie czołn
 W czarowne kraje twoje? — czemuż trzeba
 Było mi wracać z pieszczot twoich nieba,
 Na brudną ziemię, kędy ich wspomnienie
 Jawi się jako obłąkania sen?
 Tu gdzie z błękitnych ocz pięknej dziewczyny,
 Rozkosz nęcącym wabi mnie uśmiechem,
 I otwartemi przyzywa ramiony...

I cóż więc? którąż stronę szal przechylę? —
 Którą? — Ja pytam!... Przebóg! takżeż nizko
 Spadłyście w locie? o pragnienia moje!
 Jaż mam w te chłodne związać dłoń okowy,
 Ustroić skronie w wiewiółkach kwiatów wieniec,
 I życie całe pić z bielonej czary
 Ciepłą, mętami rozcieńczoną słodycz?
 Którą gardziłem płonący młodzieniec,
 Szydziłem w górnych porywie zapalów. —

O nie! — nie dla mnie takie karle szczęście!
 Serce me wyższych przyzywa rozkoszy.
 W jego płomiennych pragnieniach ja słyszę
 • Świadectwo prawdy twojego uścisku,
 Powietrzna moja kochanko!

I czemuż

Miałbym się twego zaprzec objawienia?
 Czy że tak cudne i tak niepowszednie? —
 Ja wierzę cudom, bo czuję żem godzien
 Oglądać cuda; o! bo tu jest siła,
 Co choćby w całym nie było go świecie,
 Cud stworzyć zdolna! — O cudzie mój! nigdy
 Ja cię nie zdradzę; — twoim jestem ja! —
 Jedna godzina w objęciu twem zbiegła,
 Ziemskie rozkosze opłaci sownie,
 Szczęściem zapełnić zdolna całe życie.

A przecież — przecież, tak mało już brakło,
 By usta twojem poświęcone technieniem,
 Na ustach ziemskiej spoczęły dziewczyny!
 By cię na zawsze stracić!... Więc precz ztąd!

Precz z tej pojącej zmysły okolicy!
 Precz wiecznie od niej! — Wiernym być ci chcę! —
 Zwyciężaj duchu!...

(Odchodzi).

III.

Pusty, piaszczysty brzeg Wisły; — nad wodą wypruchniała, pochylona
 wierzbą, u nagich jej korzeni uwiązane czołno.
 Noc, — mgły wiszą po nad rzeką, — księżyc w pełni wschodzi z po za lasu.

CHÓR pod wodą.

Rosą świeci brzeg zielony,
 Z lasu miesiąc wstał czerwony,
 Opromienił wschód;
 Skrzą się jasne gwiazd żrenice —
 Hej! topielcy, topielice,
 Wstańcie z mokrych wód!

Chwila ciszy. — Wchodzi rybak z wiosłem na ramieniu; obok niego Lesław.

RYBAK.

I powiedźcież mi przecie, co wam tak pilnego,
 Że się wśród nocy za rzekę kwapicie,
 Jakbyście uciec chcieli przed pogonią?

LESŁAW.

Wiekem dla tego zwłoki jest godzina,
 Przed swoim własnem kto sercem ucieka.

RYBAK.

Przed swoim sercem? — O, ryba od wody
 Wprzód, niżli człowiek od niego uciecze! —

Otóż i czołn mój. Ho! widzę przybrało;
Nie darmo trzy dni całe od północy wiało.

(Odwiązuje łódź od brzegu.)

LESŁAW.

Płynmy więc! —

RYBAK.

(nagle.)

Stój! ... Przez Bóg żywy, stój! —

O włos od zguby, cudowna Opatrzność
Nas ocaliła.

LESŁAW.

I cóż grozi nam?

RYBAK.

Patrzaj, o patrzaj! — Czy widzisz? tam w dali,
Na najgłębszej wirze fali,
Jak topielców płasa mgła?
Włos im zielony długo na ramiona spada,
Umarłym blaskiem twarz poświeca blada,
Z oczu migoce jasność jakaś zła!
Czy widzisz?...

LESŁAW.

Widzę — księżyc we mgle połamany;
Mnożą go w płasach niespokojne fale.
W nocnym pomroku obłąkane oczy,
Kształcą ztąd dziwne w ludzki wzór postaci.

RYBAK.

O! wyście mądrzy. Radzibyście w nas
Prostych wmówili, że oczu nie mamy.
Na ten raz przecież wierzyć mi musicie.
Znam ja się z wodą — ona mi kolebką
Była; — śmiertelnym da Bóg prześcieradłem
I trumną będzie! Wschód i zachód słońca,
I nów i pełnie odbite widziałem
W tej samej głębi. Dzisiaj, co innego

Widzę się święci. Szalonym być trzeba,
Gdyby z przestrogi nie korzystać nieba.

LESŁAW.

Jakto? niechcesz że płynąć?

RYBAK.

Nie chcę marnie ginąć.

Jest, Bogu dzięki, żyć na świecie komu:
Starą matkę i dziatki i żonę mam w domu.

LESŁAW.

Więc daj mi wiosło. Za twoją ci łódź
Dwakroć zapłacę. — Daj, popłynę sam.

RYBAK.

Chronź mnie Boże, bym ci na śmierć pewną
Bieżyć pomagał! — Schowaj swe pieniądze.
Zdało by mi się, że za nie sprzedalem
Djabłu twą duszę! — Słuchaj dobrej rady:
Idź do gospody, prześpij się. O świcie
Sam ciebie przyjdę obudzić. — Dobranoc!

(Odechodzi.)

LESŁAW.

(wpatrując się w fale.)

Im się wpatruję bardziej, tem wyraźniej
Drgają przedemną posępne widziadła.
Miałażby fala całun swój wilgotny
Uchyłać trupom, by życia zazdrośni
Żywych w jej modre grążyli głębinie?

Dzkie, okropne zjawisko!... Jednakże — —
Cóż znaczy pociąg niewypowiedziany,
Że wszystko, co się innych światów larwą
Zdaje, nadprzyrodzoną co poświęca barwą,
Z bliskaśmy dotknąć, z bliska poznać radzi?
Ta dziwna siła, co mnie mimo woli
Ku chłodnym falom za rękę prowadzi?...
Strach mnie kościaną za włos ciągnie dłonią,
Drzę — — od strasznego przecież widowiska,

Nie mogę oczu oderwać. Jednakże,
 Czem bądź jest ono, o! jakżebym pragnął
 Wpłynąć w pośrodek tej ruchomej zgrai!
 Z wałami wody, czy z duchów rojami
 Walczyć! ... raz byle walkę z sobą skończyć!...

Widzę chwiejące szczyty lip sędziwych,
 Stróżów jej okna. Wiatr szum ich tu niesie —
 Smutny! — na gorzką zda się skarżyć zdradę. —
 Mamże jak złodziej podły, skradłszy skarb
 Jej spokojności, uciec z nim jak zbieg?
 Mamże pozwolić, by licząc na karb
 Szyderczej zdrady ucieczkę tajemną,
 Serce posiała nieufności ziarnem?
 Mamż ją nauczyć, przeklinać najświętsze
 Z uczuć ludzkości? — Nie, nie chcę tak ciężką
 Zbrodnią sumienia mojego przygniatać. —
 Pójdę, raz jeszcze duszy mojej moc
 Stawię burzących namiętności sile;
 I w pożegnaniu wypowiadam przed nią
 Moich wysokich uczuć tajemnicę.
 Niechaj przeklina to serce wyniosłe,
 Na jej miłości poprzestać niezdolne;
 Tylko niech młodej wiary swej ołtarza
 W młodzieńczej piersi bluźniąc nie rozbija ...
 (Odchodzi.)

TOPIELCY⁵⁾

w białych, kroplistych całunach, o długich, zielonych włosach, wynurzają
 się tłumem z pod wody i na brzegu wiążą się w taneczne koło.

Dalej! w lotnym, wietrznym biegu,
 Po zroszonym Wisły brzegu,

W taniec rażno, tłumnie;
 A kto jutro w nasze ślady
 Wstąpi, wkrótce chłodny, blady,
 Położy się w trumnie! —

Płasając, znikają w mgle.

TOPIELICE.

Chodźcie siostry! tam na piasku,
 Przy księżycu złotym blasku,
 Zasiądźmy do koła:
 Czesać długich włosów warkoczy,
 U spokojnych fal przezroczy
 Zapleść białe czoła.

Długim szeregiem zasiadają po nad wodą, — i schylone, palcami rozczesują włosy.

1. TOPIELICA.

Jam księżniczką niegdyś była,
 W murowanym zamku żyła,
 Gdzie płowieje Bug;
 Co dnia w mlekiem się kąpała,
 Złoty warkocz mi czesała
 Kornych zgraja sług.

Przezroczystych sznur perłami,
 Rozmarynu gałązkami
 Plotłam sobie skroń.
 Stroiłam się w drogie szaty,
 W złotogłowy i szkarłaty,
 W dyamenty dłoń.

Po' z marmuru, po podłogach,
 Przy ochoczych gęślach, rogach,
 Zwodziłam ja tan.
 Woniejące mi pochodnie,
 Lały blask, jak słońce wschodnie,
 Z zwiérciadlanych ścian.

Na tym zamku był myśliwy,
 Młody, krzepki, urodziwy
 Jak majowe dni: —
 Jedynaczka ja księżenca,
 Pokochałam wnet młodzieńca;
 A młodzieniec mnie.

Aż raz ojciec zszedł nas razem:
 Serce przebódl mu żelazem,
 I porzucił w krwi.
 A mnie biedną zsiekł różgami,
 Włókł w komorę zlaną łzami;
 Zarygłował drzwi.

Cóż po życiu bez kochanka?
 Co bez dziewiczego wianka?
 Wiecznie płacz i płoń! . . .
 Skryłam sobie oczy ręką,
 I skoczyłam przez okienko
 W bystrej rzeki toń.

Wiek za wiekiem ręczo bieży,
 W smutnych gruzach cały leży
 Mój rodzinny gród. —
 Zawsze płynie srebrna woda,
 I ja zawsze żyję młoda
 W głębi mokrych wód.

Tam ostrego żwiru łoże,
 Gładkie moje ciało porze,
 Cały jasny dzień.
 Tam ja czekam, cała drżąca,
 Rychło błysnie krąg miesiąca,
 Spadnie nocy cień.

A przy bladym, nocnym blasku
 Na nadbrzeżnym siadam piasku:
 W wieńce z trzciny i mchów,
 W przezroczyste krople rosy
 Me zielone plotę włosy —
 Aż zadnieje znów.

2. TOPIELICA.

Ja, lat temu dwieście z górą,
Mieszkałam we wsi nad Bzurą;
Byłam czarownicą.
Czarowałam pola, sady,
Świat straszyłam wichry, grady,
Gromów błyskawicą.

Raz, gdy w polu święcę czary,
Wypatrzał mnie sąsiad stary!
Zaskarżył do groda.

Uwiązali wnet na sznurze,
I zawiedli pławić w Bzurze,
Czy mnie przyjmie woda?

U brzegu stos czekał smolny —
Oj, nie rozkosz ogień wolny!
Lepsza kąpiel chłodna.

Oderwałam się ze sznurka,
I ze śmiechem, dalej nurka!
Jak siekiera do dna.

3. TOPIELICA.

Moja dola nieszczęśliwa!
Jam nie знаła, jako żywa,
Co rozkosz, co świat!
Zaledwie się urodziła,
Matka w Wiśle utopiła —
Dziś dwadzieścia lat.

Wodne trawy kołysały,
Wały, burze pieśni grały
Nad kolebką mą. —
Płyną wały, płyną lata,
Ja nie widzę nigdy świata,
Tylko po za ćmą!...

4. TOPIELICA.

Ho — ho! do wody, do wody!
Patrzcie, oto tam —

Jasnym brzegiem, chłopiec młody
 Idzie nucąc k nani. —
 W łódkę wsiedzie,
 Płynąć będzie.
 Pianą w oczy prysniem,
 Łódź o fale ciśniem,
 Pochwycim za dłoń,
 W mokrą wciągniem toń!

CHÓR.

Dalej! do wody, do wody!
 Nasz eś, chłopcze młody! —

(Zanurzają się we wodzie.)

IV.

Nad ziemią — pomiędzy chmurami.

CZTERY CZAROWNICE.

1. CZAROWNICA.

Jak się macie!

2. CZAROWNICA.

Jak się macie!

3. CZAROWNICA.

Dawno nie baczyliś was.

4. CZAROWNICA.

Do podróży na łopacie,
 Śliczny dzisiaj mamy czas.

2. CZAROWNICA.

Cóż tam około was słyhać?

1. CZAROWNICA.

Młodzi starych w dół pospychać,
Starzy radzi żyć na świecie.

2. CZAROWNICA.

Cóż nowego? Mówcież przecie!

1. CZAROWNICA.

U nas w dworze, ktoś dziś skończy.
Jak leciałam nad podwórze,
Puszczyk śmiał się w starym murze,
I wył smutno czarny gończy.

3. CZAROWNICA.

Pogrzeb! — stypa! — Oj, nam żeby
Bies co dzień zsyłał pogrzeby! ...

4. CZAROWNICA.

Lećmy prędzej! Czas ucieka,
Na górę droga daleka.

CHÓR.

Wietrzno, ponuro!
Wiatr szarpie się z chmurą! —
Nim wiatr chmur się zbędzie,
Kur wrzaśnie na grzędzie,
Nie jeden trup będzie.

Płot nie płot — wieś nie wieś, —
Biesie, nieś! ⁶⁾

(Odlatują.)

V.

Przestronny pokój w wiejskim dworze. Przez szerokie, szklane, rozwarte na oścież podwoje świeci jasny księżyc; nie opodal widać ciemny gaj dębów i olch. — Tuż obok rozwartych drzwi fortepian.

HELENA.

Samą; u fortepianu, gra i śpiewa.

PIEŚŃ.

Chłodny blask nocy, drżąc, cicho spoczywa
Na żółkłych czołach pochylonych drzew.
Jesienny wicher żałobnie wygrywa
Po ich gałęziach swój posępny śpiew,
I pełną dłonią zwiedły liść obrywa.

* * *

Smutno! dni uczuć, w tęsknej samotności;
Gdy mkną bezdzielne do wieczności fal!
Nieuzłoczone promieniem miłości....
Żal niespełnionych marzeń serca, — żal!
Chwil niepowrotnych natchnionej młodości...

* * *

Świeć że mi; świeć że, o gwiazdo ty złota!
We mgłach jesieni, — wśród zimowych burz, —
W boleści chwilach, w radościach żywota, —
Raz weszła, więcej nie zachódź mi już:
Świeć mi, o gwiazdo, ty miłości złota!

Z westchnieniem. zadumana schyla ku klawiszom głowę. — Długa chwila ciszy.

Z głębi gaju wychodzi Lesław i zbliża się ku rozwartym podwojom.

LESŁAW.

Ona tutaj — samotna. Los rad wspiera mnie.
Nim jeszcze młody i gorący zamiar

Zstarzeć na sile i ostydz czas miał,
Pomyślną chwilę spełnić mi go dał.

Niepostrzeżony wchodzi do pokoju i wspiera się o poręcz jej krzesła.

HELENA.

nagle, podnosząc oczy.

Ha! — Tyś to? ty tu, Lesławie! — Mój drogi,
Patrz, jak głęboko błdziła myśl moja
We świecie rojeń, — jak sen to był błogi,
Gdy mnie przybycie niezbudziło twoje.

LESŁAW.

Więc daruj że mi, piękna! że jak ptak
Złowieszczy nieszczęść, w chwilę błogą tak,
Śmiałem od ciebie boski sen odegnać,
By cię w godzinie rozstania pożegnać.

HELENA.

Pożegnać?... Zkądże nagle to rozstanie?...
Dokąd? Daleko? Na długo?

LESŁAW.

Na zawsze. —

Gdzie z ślepego losu prędem
Rzucę się? — nie wiem! Jedno tylko wiem:
Tutaj że więcej nie wrócę.

HELENA.

Ty nie powrócisz!... nie powrócisz!... Boże!
W mojego szczęścia pierwszym błogim dniu, —
W tęczyowych ramach rozkosznego życia
Obraz przedemną gdy się począł snuć —
Zkąd że ci przyszło tem okrutnem słowem
Młode me rojenia struć?...

Przebóg! i takżesz to rychło
Bicie serca twego zcichło?
Także ma miłość, z krótkich godzin kilką,
W oczach już twoich cenę postradała —

Tak że ci ciężkiem brzemieniem się stała, —
 Że, byle zbyć się go tylko,
 Nie drżysz rozedrzyć piersi, co cię ukochała?...

Po tóż? ach, po tóż, jak promieniem słońca,
 Namiętnem miłości słowem,
 Śpiące w mem łonie cicho uczuć ziarno
 Zbudziłeś i w kwiat rozwiłeś —
 By je za chwilę, lodowatym tchnieniem,
 Okrutnie zabić? ... Litości! litości!
 W kwiat ten me całe wybujało życie! ...
 O, nie zabijaj go! Nie chciej mnie młodo
 Wtrącać w grób czarny! ... Świat ten taki cudny! ...
 Pozwól się bożym naradować światem, —
 Żyć — być szczęśliwą! ...

LESŁAW.

Dziewczyno! poprzestań! ...

Przestań takiemi do mnie mówić słowy!
 Spoglądać takim przestań na mnie okiem! ...
 Nie miotaj ognia w pożar żądz namiętnych!
 Nie szukaj odnieść snadnego zwycięztwa
 Nad słabą wolą mą — zaledwie zdolną
 Zdzierzeć na wodzy rozhukane bicia
 Własnego serca ... Ach, nie wiesz jak mu
 Ciężko się z tobą rozstawać! ... jak srodze
 Rwie się ono w tej walce! ...

HELENA.

Co mówisz?! ... o, powtórz!

Powtórz raz jeszcze! ... Serce twoje rwie się,
 Rozstając ze mną?! ... O, to serce złote!
 Czemuż mu każesz ciężką zwodzić walkę
 Z okrutną wolą! ... Lesławie! o, mów!
 Cóż cię więc zmusza krwawić biedne moje —
 I twoje serce? ... Powiedz, ja nieszczęsna
 Czyliż tak srodze zawiniłam? czem?
 Przed oczmi twemi? ...

LESŁAW

(ponuro.)

Nie pytaj mnie o nie!

Gdybym i zdołał do mej tajemnicy
 Odkrycia znaleźć język, — to wyznanie
 Tobie szaleństwa zdało by się plodem. —
 Ja sam, w tej chwili, ledwie ufać śmiem
 Zdrowiu mych pojęć... A jednak tak jest!...
 Nie był to sen czyży!... Nic pomiędzy nami
 Rozwartej zawrzeć przepaści nie w stanie! —
 Więcej nie pytaj darmo!... Zawierz tylko
 Słowu mojemu: że nas przeznaczenia
 Nieubłagana dzieli siła — której
 Nie w naszej mocy wypowiadać bój.

HELENA

(z uniesieniem.)

Jak to? Jestże na ziemi władza silna tyle,
 By rozdział stawić dwu sercom szlachetnym,
 Węzłem miłości zjednoczonym świetnym?...
 Mężnym przeciwko wszego świata sile
 Piersz stawić, i skroń krwawą wpierw do grobu złożyć,
 Niżli zaprzeć się siebie — losowi ukorzyć?...
 Lesławie! mężu! młodzieńcze! mów! ty
 Miałżebyś moc taką znać?...

Lub, lękasz li się, że mnie ona znana?
 Żem ja za słaba do walki zuchwałej
 Przeciwko losom?... O, nie! wierz, na Boga!
 Dla mnie jedyna straszna tylko trwoga —
 Stracić ciebie — serce twoje!
 Ale z tobą, — z tobą razem,
 Ja niczego się nie boję!
 I przeciw światu całemu,
 Przeciwko ojcu własnemu,
 I przeciwko sądom nieba
 Gotowam walczyć, gdy trzeba —
 I umrzeć, jeżeli trzeba!..

LESŁAW.

Ha! bądź więc, bądź moją!

A jeżeli niebo mściwe grom wymierzy,
Niech on w mą głowę uderzy!...

(Przyciska ją do piersi. — Grzmot. Przez otwarte okno piorun wpada i uderza w HELENĘ. — W głębi, wśród ciemnych drzew gaju, jaskrawą oświetlony błyskawicą, ukazuje się NIEZNAJOMY.)

NOC TRZECIA.

I.

Dzikie posępne ustronie. — W okolo nagie pagórki, czerwonym wrzosem pokryte. — Niebo całe zaćmione grubemi, szybko biegającymi chmurami.

Zmrok.

LESŁAW.

Sam, — głęboko zadumany, siedzi na pochyłości wzgórza, — u nóg jego strzelba.

Zdala słyhać głos pogrzebnych dzwonów.

Jak smutno, boleśnie,

Ostatnie pożegnanie brzmi ci dzwon żałobny —

Tak niespodzianie, tak stracona wcześniej!

Na tle dni moich przemkłaś się jak we śnie — —

Tak piękną byłaś, kochałaś mnie tyle — —

Przecież ja tylko jeden dziś nie żegnam ciebie,

Nieuścisnę na wieczne rozstanie w mogile.

Łez kropli w mojem oku, w sercu kropli żalu

Niemam, by je poświęcić na twoim pogrzebie...

Jakże są niezbadane serc naszych uczucia! —

W mojem objęciu grom śmierci ją stał — —

Grzmot jego mściwy zwiastunem mi był

Obu miłości mych końca — —

Jednakże grom ten w mojem nie odbił się łonie

Echem rozpaczy, przerażenia, zgrozy.

Tylko, że niżli kiedy, dziś mi bardziej miłe

Dzikiej, samotnej oblicze natury;

Tylko, że w duszy mojej zwiły jakieś chmury

Czarne — ciężące... Zresztą, pokój taki,
Taka tam cisza! — jak na tem jesiennem
Niebie, straszliwej burzy nadzieją brzemiennem ...

Jak dziwaczniemi kształty niebo to się chmurzy! — 7)
Tu czarny, siedmiogłowy smok w obłokach drzymie —
Tam, jakieś wpół człowiecze, wpół mgliste, olbrzymie
Tłumy: — horda wędrownych duchów, obłąkana
W swej nieskończonej powietrznej podróży. —
Owdzie ciemna, roztwarta paszeza dziwotwora
Wisi z bezdennych mroków. Strzępione jej zęby,
Krwawym błyszczą szkarłatem. Zda się, ognia kłęby
Co chwila na świat rzygnie

Pole widnokręga,
Zaludniło się całe; jakby niespokojne
Potęgi, piorunnemi pociskami zbrojne,
Zeszły się tu rozgłosną stoczyć z sobą wojnę. — —
Któż odgadnie istotę tych zastępów ciemnych?
Groźnej ich siły, walk, gniewów tajemnych?
Toż ludy duchów, zgniewane na sąd
Ziemi, co martwem czyni państwo ich,
Wołają, wściekle trwożny trzęsąc ląd:
Żyjemy!

Przed oczyma wojsk czarnych olbrzymów,
Nowa gonitwa: — wysoko, wśród zmierzchu,
Rozpierzchłe gołębi stado
Szaremi skrzydły chciwa ściga kania.
I coraz chyżej, i coraz bliższemi
Kręgi łup swój obiega, zaskrzydła — dogania — —
Chwila, a krwią szpony zmaże.
Stój, krwawy zbójco! — Bóg przez ręce człeka,
Nie dopuści morderstwa i mordercę skaże!

Strzela: — ogromny jastrząb u nóg jego spada.
Z poza pagórka występuje

NIEZNAJOMY.

NIEZNAJOMY.

Witaj, Lesławie! —

(Potrąca nogą jastrzębia.)

Krew!!...

Krew ta cóż znaczy?...

Także straszliwym ukochanej zgon
Zażegł twe serce płomieniem rozpaczy,
Że go w strugach gasisz krwi?
W ogniuż tym speliły? kędyż się podziały
Promienne czucia, co świat życia cały
Świętej miłości wieńcem otaczały?

LESŁAW.

Kiedy nadejdzie wiosna, z gór Tatrzańskich szczytów
Pędzą potoki szalone, spienione,
Rrwiąc koziodrzewy i jodły zielone,
Co się rozrosły w szczelinach granitów, —
Ale rodzimej nie obalą skały.
Tak w sercu mojem, płomienistym prądem,
Straszny grom śmierci zwałił wszystko to,
Twardego życia co zdobiło nagość.
Uczucia moje błogie, marzenia, nadzieje
Poszarpał wszystkie ze szczętem.
Miłości jednej — wielkiej, nieskończonej,
Skruszyć nie zdołał; bo ona się zrosła
Ze sercem mojem, jak zrosła się z lądem
Karpat opoka wyniosła. —
I żadna postać pojedyncza z blizka
Gdy nie przesłania więcej jej ogniska,
Z nową potęgą w nieskończoność błyska. — —
I mógłżem patrzeć, widz niemy, gdy ptak
Chciwy, krwiożerczy biedne stado gnał?
Widziałem trwożne, rozpaczne wybiegi,
Śmiertelny popłoch miłośnego ptactwa —
I miałżem przenieść?... Mój strzał,
Jak niebios opatrny grom,
Zbawił gołębia...

NIEZNAJOMY.]

Ugodził jastrzębia.

Za jedno życie, drugieś życie stłukł. —

A któż cię stawiał sędzią między niemi?

Nikczemny pyle twej ziemi!

LESŁAW.

Kto? — Duch, co życie w piersi mojej nieci,
I jasnem słońcem miłości w niej świeci.

Co na widok ucisku i zbrodni,

Gwałtów przemocy i podstępny zrad,

Burzy się, i wre, i miota;

Coby świat cały wybawić od nich,

Coby ceną własnego żywota

Państwo sprawiedliwości okupić dlań rad.

NIEZNAJOMY.

Na uściech twoich słowo sprawiedliwość,
Brzmi, jak niewinność w nierządniczy ustach.

O twardzi, niezblągani wy wszech jestestw sędzie!

Od samych siebie sprawiedliwi bądźcie;

Zanim je potępicie, siebie wprzód osądźcie.

A wyrok wasz straszny będzie! —

Wszakże w całej drapieżnej, świat krwawiącej hordzie,

Pierwsze miejsce, człowiecze! tobie się należy;

Tyś wodzem i mistrzem w mordzie. —

Wielka ziemia, za mała dla twoich łupieży:

Dla ciebie morza głębokie,

Tobie powietrze wysokie,

Równem polem zdobyczy. Kędy dosiędz zdolną,

Ręka twa rzeź wszędy szerzy — —

Ani zadrży na chwilę. Boś kłamstwem, sumieniu

Milczeńce rozkazał. Wszech świata stworzeniu

Zaparłeś czucia i ducha: — by wolno

Bez hańby tępić je było.

Przecież, co żyje, jednym życiem tchnie.

Zwierzchnia skorupa, zmienna nieskończenie,

Wszędzie jednakie jądro ducha kryje.

I każda z istot, najniedoleźniejsza,

Bliźnia ztąd tobie, — i tworom od ciebie
 Wyższym, którym eś imię duchów dał,
 Że wzięły ciało od was subtelniejsze,
 Z błękitnej pary, powietrza, płomienia.³⁾)

Zwierze, roślina, — i te ni rośliny,
 Ni to zwierzęta, ni kamienie, śpiące
 W głębinach mrocznych, — zarówno swą wiosnę
 Mają, i chwile rozkoszy miłosne.
 A rozkosz czując, i cierpienie czują;
 Kochają życie, używając życia.
 To też jestestwu wszemu twarz człowieka
 Znana — jak śmierci strach; na sam widok twój,
 Wszystko spłoszone bojaźnią ucieka.
 Wrogu odwieczny wszystkiego co żywie,
 Wszystkoż żywiące przeklina!... Czy słyszysz?...

LESŁAW.

Słyszę — i drzę. — Jak otchłań bezdenna,
 Myśl ta rozwarła gardziel swój przedemną.
 I z każdą chwilą, co w nią okiem tonę,
 Tym straszniej widzę jej niezmierną przepaść. —
 Chłód przerażenia wieje z jej głębiny,
 I skroń mą tłoczy lodową obręczą. —
 Wszystkie me siły wyteżam, by niepaść
 W jej czeluść czarną — — napróżno! pode mną
 Drżą stopy... świat się mgłą obwija ciemną!...

Dzika, straszliwa, wszechwładna potęgo!
 Trzebaż ci było, rzucając mnie w świat,
 Gdzie mordem tylko wolno mi mój byt
 Wątki utrzymać, — trzebaż było ci
 Stworzyć bez czucia i bez serca mnie!...
 Nie dość że na mnie zwałiłaś już mąk,
 Co zewsząd gniotą i zewsząd mię pieką,
 Żeś we mnie samym ziarno ich posiała? —
 Pocóżes wlała w pierś mą ogień szczytny —
 Miłość i litość!... gdyś chciała straszylem,
 Sobie samemu i ziemi obrzydłem,
 Rzucić mię w miłości świat!....

NIEZNAJOMY.

Miłości świat! — — Powtarzasz, jak żak,
Słowa, któremi mówić ci kazano.
Rzuć okiem w świat — i mów, gdzie w nim znać
Dzieło miłości? ... Od błękitnych chmur,
Do głębi ziemi — wszędy wojna wrze.
Co żyje, walczy: — siłą, zdradą podłą, —
Wzajem się szarpie, rozdziera i zrze. —
Co bądź istnieje, istnieje tylko bojem.
Wątkiem jestestwa, jest nienawiść wieczna.
I przecz że światem miłości zwać śmiesz
Świat nienawiści?

LESŁAW.

W słowach twoich gore
Okropna prawda! A jednak, prócz tej
Miłości, którą w sercu mojem mam,
Ileż — o ileż w świecie tym jej znam! ...

NIEZNAJOMY.

Miłość! — O, jest! — Bez niej, świat by już
Od wieków w martwą zamienił się bryłę. —
Jest miłość siebie — i swoich — i płci
Odmiennych skłonność płomienista. Jest! —
Ona, jak napój z winnych gron ciśnięty,
Rzucona w życie, by pijanym szaleć
Zaćmiała zmysły i duszy nie dała
Czasu, rozważną spojrzeć w koło myślą. —

O, gdybyż nie ten gorączkowy szal,
Któreżby żywe serce niestruchłało
Przed okropnością istnienia, — przed sobą!
Któż potępiony chciałby rodzić płód? ...
Drapieżne bestye szpony zbaczonemi
Pierś by kosmatą rozdarły z rozpaczey,
Szaleństwo ludzki wygniotło by ród. —
Chwila jedyna, wolna od szalonych
Chuci, ostatnią byłaby stworzenia;
I panowanie śmierci, wraz z tą chwilą
Na wiek by wieków przepadło. —

LESŁAW.

Więc tylko swego niepoznanie bytu,
 Rozkoszy bytu używać dozwala. —
 Zaiste, smutny, hańbiący to los! —
 Niech jak chce straszne przeznaczenie będzie,
 Jakie bądź kaźni zdolna na nas zwalić
 Świadomość, w mękach wznosi ona ducha;
 Chroniąc od cierpień, poniża ślepotą. —
 I kto bądź jesteś, dzięki ci! żeś mgłę,
 Tajnie stworzenia kryjącą mi zwał.
 A choć przed słów twych piekielną jasnością,
 Wszystkie radości uciekły niezwrotnie, —
 Dzięki ci przecież! —

NIEZNAJOMY.

Takież to wysoko

Cenisz twą rozkosz, — słaby zlepkę błota! —
 Najmniejsza iskra, w popiele tlejąca
 Zgasłego ognia, bliższa blaskiem słońca
 Południowego, niżli szczęście ziemi —
 Całe, przez mnogie bytu jej stulecia —
 Wesela niebios najbystrzejszej chwili.
 Na łonie tego wesela jam żył.
 Ani morderstwem żyć mi było trzeba; —
 Duch, moc i życie czerpie z siebie sam.
 Przecież, gdym ujrzał nowo wstały świat,
 I wyrok srogi niewinnie nań dany,
 Błuznierczy krzyk mój przedarł się przez dźwięk
 Pień uwielbienia, wśród głosów miljona.
 I dziewięć chórów wnet najszlachetniejszych
 Duchów zagrzmiało tym samym okrzykiem.
 I — — Wszystkiej ziemi świadomy los nasz. —
 Inne, poślednie chóry, pozostały
 Trwogą posłuszne nucić pieśni chwały, —
 Myśmy upadli w mrocznych piekieł żar.
 Wieki cierpiałem, — wieczność cierpieć będę,
 Przecież straconych niebios mi nie żal!

(W płomieniach, zapada w ziemię.)

LESŁAW.

I jam w płomieniach!... Niezajrzanem kołem
 Ogień piekielny ogarnia mię, piecze,
 Z oddechem wpada gwałtownie do piersi, —
 Czemuż niespali?... Jadowita żmija,
 W około bioder moich się obwija,
 I szarpie serce, — czemuż nie zabija!...

(Zakrywa oczy rękoma; — odchodzi.)

II.

Cmentarz wiejski, płaczącemi brzożami i świerkami porosły. — W pośrodku murowany, odwieczny, poczerniały kościół; u jednej ze ścian jego starożytny z siwego kamienia grobowiec, — na szczycie grobowca wyciosana siedzi z kosą w ręku ŚMIERĆ.

LESŁAW.

Sam, wchodzi zadumany w pośrodek cmentarza.

.... Groby do koła: — to cmentarz! —

Depcę po starych, zapadłych mogiłach,
 Po szczątkach trumien, połamanych krzyżów;
 I one wzajem jakby mszcząc się krzywdy,
 Zdradnie wikłają, kaleczą mi stopy.
 Pod nogą moją chrzęszcze smutno liść opadły,
 I trzeszczą w trunach pobutwiałe kości...

Stawa oparty o drzewo przed starożytnym grobowcem.

Czem że jest los twój, droga twa? ludzkości! —
 Nieświadom celu, po grobowcu wieków
 Czołga się człowiek, — a do koła ciemno,
 A chmur straszliwych grzmi nad nim nawała...

Piorun uderza w jeden z grobowych świerków: jaskrawa błyskawica pada na ściany kościoła i dziwnym blaskiem okrywa siedzącą na grobowcu ŚMIERĆ.

[LESŁAW.

Ha ! okropna potwora!...

Gromu błyskawica,
 Jakże okropnem życiem oblała jej lica!
 Zdało się, że zboczoną rozwarła paszczkę,
 I szydnym śmiechem nagą wykrzywiła szczękę...
 Oczewiście ożyła!...

Potóż nocy mrok
 Błysk rozdarł, by oświecić takie widowisko!...

Tak, gdy ciemność rozedrze myśli błyskawica,
 Równie nagie, straszliwe oblicze rozświeca.
 I rozpacznie wśród nocy światła wołających,
 Nową zgromi rozpaczą. — Potem — ciemność znów,
 I grom głuchy, wtórzający grobowej pielgrzymce...

Burzo żywiołów! tyś przerażająca...
 Piorunów kaskadami ciskasz z wyżyn chmur, —
 Szalonym wiejesz wichrem, — wód lejesz potopem;
 Lecz czemuż jest moc twoja złowroga, zrównana
 Z tą cichą walką, co się w każdej chwili, —
 Na każdym miejscu ziemi, — z równą mocą
 Nieubłaganej nienawiści toczy!...

Burzo żywiołów! czemuż raz, w godzinie
 Zapamiętałości twej,
 Wszystką mocą twojej siły
 Niepochwycisz ziemskiej bryły!
 Aż by w ściekłym twym uścisku
 Jądro jej na proch się starło, —
 Aż by wszystkie życie jej
 Zdławione w żyłach zamarło!...

Okropny grzmot — kilka piorunów pada wśród cmentarza.

Pioruny — pioruny w około!...
 Niebo i ziemia goreją w ich łunie....

Piorunie! krwawy piorunie!
 Tu, do mnie! — tu, oto czoło! —
 Gniewne niebiosa! wyzywam was — bijcie!...

Łoskot gromów ucicha w dali. — Cisza grobowa.

Ha! milczycie... bezsilne! dłoń wasza nie może
 Sięgnąć mię! — Uragam wam! —
 Jeżeliście silne — mścijcie!...

ŚMIERĆ
 z grobowca.

Cicho szaleńcze! Niewrzeszcz mi tu tak!
 Żaden piorun nie dotknie twej głowy:
 Tarczą ci, na twem czole niezatarty znak
 Całunku chmur i gromów królowej.

LESŁAW.

Cud! cud! — kamienny potwór ożył...
 Ludzkiemi słowy usta utworzył,
 By urągać niemi ze mnie!....

Na wieży kościelnej bije dwunasta godzina. — Krzyże na grobach poczynają
 się chwiać i walić, i mogiły otwierają się zwolna.
 Z dachu kościoła słychać przeraźliwy wrzask sów i jęk puchaczy.

GŁOSY Z MOGIŁ.

Ho — ho! Północ! Słyszycie! —
 Zrzucajcie chłodne nakrycie.
 Wstawajcie umarli!
 Będziemy żywych żarli.⁹⁾

Wieka od trumien odwalają się z łoskotem; umarli powstają i wychodzą
 z grobów.

LESŁAW.

Okropnie! — Wszak to zgraja upiorów powstaje

Na żer swój krwawy! — Więc z końcem żywota,
 Bytu się jeszcze niekończy przekleństwo?
 Śmierci kosą przecięte, ono się jak gad
 Zrasta znowu — żyje znów! —
 O ziemio matko! więc i w łonie twem
 Dzieciom twym nie masz pokoju! —
 Na toż tylko konamy, by w postaci nowej
 Do dawnego wrócić boju! —
 Po toż wstępuje we wilgotny grób,
 Aby upiorem powstać z niego, trup!

Straszliwa tłuszcza! — Lica ich wybladłe
 Żółtemi błyszczą kośćmi! — z pod czoła zapadłe,
 Szklanne migocą oczy; — zgniła wilgoć truny,
 Wieje od nich do koła; — spróchniałe całuny,
 Szeleszczą cicho po chwastach wybiegłych

CHÓR STRZYG I UPIORÓW.

Wstawajcie umarli!
 Będziemy żywych żarli! . . .

Z niedalekiej mogiły, w długiej białej sukni, z zielonym wiankiem na włosach, wstaje trup

HELENY.

LESŁAW.

Na niebiosą i piekła! — to ona! — Ze świeżo
 Usutej wstaje mogiły. Jej lica
 Zmienić jeszcze mieszkanie niezdażyło w grobie.
 Tak jeszcze piękna, jak w dniu kiedyś usty
 Ust jej rumianych szukał . . . A dziś! — dziś
 Usty temi krew śpieszy pić, krwi chciwa! . . . O!
 Zgroza! zgroza! . . .

(Wybiega.)

III.

Pasmo jałowych wzgórz, ogromnemi pokrytych głazami, porosłych cierniem
i głógiem.

Burza gwałtowna — nieustanny grzmot i błyskawice.

LESŁAW.

. Gdzie spojrzę — do koła,
Grób wszędy widzę rozwarty przed sobą,
Niezliczonem upiorów rojący się mrowiem.
W ogniu błyskawic osłepić chcę oczy, —
I nieślepnę. Rękami zasłaniam źrenice —
Próżno! przez szpary palców i przez ciała pory,
Między źrenice i między powieki
Cisną się tłumnie wybladłe upiory. —
Przez gromów trzask, przez wichrów wrzask,
Słyszę żałobne wycia ich, ziembiące
Wszystką krew w żyłach — jak wycia zgłodniałych
Wilków, w skrzącą noc styczniową, —
I śmiech złowrogi kamiennej poczwary,
Jakby krok w krok ślady memi
Szła szepcąc mi w ucho

ŚMIERĆ

wynurzając się z śród ciemności.

Idę! —

LESŁAW.

Okropność! Czyż to myśl moja
Kotwią rozumu zerwała i w zamęt
Bezdenny szaleństwa leci?
Lub przyszedł li dziś ten dzień,
Że z głazów pęto bezwładności zdjęto?

ŚMIERĆ.

Twe ciało martwe, — przecież jako chce,
Myśl niem wszechwładna porusza.
Myśl kiedy wcieli się w głaz,
W głaz wchodzi życie i dusza.

Pełźnie ku niemu.

LESŁAW.

Precz! Ni kroku do mnie! — Precz! —

ŚMIERĆ.

O nie rozkazuj, nie gróż ty mnie!
 Pomnij, żeś mym niewolnikiem,
 W zniszczenia dziele moim pracownikiem.
 Ukórz się, drżij i panią twą czcij. —

Cóż tak z oczu skrami sypiesz?
 I zębami wargi szczypiesz?
 I zaciskasz wściekle pięście?
 Radbyś mi zgruchotał skroń! —
 Ha — ha! szaleńcze! nieszczęście,
 Że za wążła twoja dłoń.....

LESŁAW.

Więc ty uderzaj! Tyś silna.
 Kosą twoją, krwią zbrczoną,
 Chodź, — weź mą głowę! zabij!...

ŚMIERĆ.

Nie — jeszcze nie pora.

Nim twój czas przyjdzie, lat wiele
 W ludzkim mi jeszcze służyć będziesz ciele, —
 Za nim służyć poczniesz w postaci upiora.

LESŁAW.

Służyć! — I wiecznież służyć tobie? — Toż
 Nieunikniony los by mój być miał? —
 Precz, przekłeta, z kłamstwem tem! —
 Jak bądź jest straszna klątwa przeznaczenia,
 Potęga jej, — i potęga ta
 Co ją rzuciła, nie ma tyle sił, —
 Moę ich nad duchem tyle niepodola,
 By mimo woli niewolnikiem był.
 Ja, wolnym być wołą mam.

O nieśmiertelny, płomienny mój duchu!
 Twojeż by skrzydła tak słabe być miały,
 Byś raz wepchnięty w ten kipiący wir
 Bytu — zniszczenia, więcej nie mógł już
 Wybić się z życia zakłętego kręgu? —
 O, rozwiń orle loty twoje! wzleć!
 Roztocz słonecznej twej światłości koło, —
 Rozświeć mrok nocy, — schronienie mi wskaż
 Przed niezblaganem przekleństwem jestestwa!...
 Wskaż, ja się rzucę chociażby i w piekło. —

Piekło!... Więc piekło tylko! — Straszliwy to kraj!
 Przecież, gdy tylko w nim jednym ucieczka
 Przed nieprzepartem losu przeznaczeniem,
 Piekło mi stanie za raj. —

I czegoż zwlekam?... Czemuż, o mój duchu!
 Wzdrygasz się wezwać władzcy potęg ciemnych?...
 Czyliż by piekła było tobie strach? —
 Wszak ja cię jego niezaprzędam mocy
 Za mądrość świata, ni za skarby świata,
 Ni za wszystką świata siłę!
 Nie niewolnikiem, wolnym wnijdziesz tam.
 A ciężar męczarni wtedy tylko boli,
 Pomimo własnej kiedy tłoczy woli;
 Niestraszny, gdy na siebie włoży go kto sam. —

Szatanie! Czarcie! Aniele strącony!
 Czy jak się zowiesz, — ja wzywam cię.

Na zgrozę tę, co ci niedała
 Rozkoszy niebios używać, — a mnie
 Samemu sobie zbrzydziła i z tobą
 Okropnym swoim węzłem pobratała,
 Przyzywam ciebie! — Otwórz wrota twych
 Ponurych krajów; schronienie mi daj
 Przede złowrogiej przekleństwem potęgi,
 Nieodmienionem, nigdy nieskończonem! —
 Djabie! tryumfuj dobrocią z tej mocy,
 Jak ona z ciebie siłą!

Piorun uderza w bok góry i rozdziera go na dwoje; — w czarnej rozpadlinie
 ziemi, w koronie płomienistej na skroniach, ukazuje się

SZATAN.

SZATAN.

Jestem. — Wrota otwarte. — Do mojego państwa,
 Wolne wnijscie każdemu kto chce i kto śmie. —
 A w kraju tym nie ma poddaństwa:
 Miara wielkości, miara w nim cierpienia;
 Korona piekieł z płomienia.
 Im silniej pożar we wnętrznościach płonie,
 Tem wieńcem świetniejszym opromienia skronie. —
 Więc jeżeli ci nie strach piekła, jeżeli w twych
 Piersiach gorze żar taki, że płomieni tych
 Czuć ci nieda spieki, — wchódź!

LESŁAW

postępuje ku przepaści i stawia u jej brzegu.

GŁOSY Z PIEKŁA.

Biada! — Biada! — Biada! —

LESŁAW.

Piekło!

Serc wszystkich maro i trwogo!

Otóż widzę bezdenną otchłań twoich ciemnic! —
 Słyszę ludu twego jęk,
 Wymowny dziką grozą twych tajemnic:
 Całym żalem niezwrotnej przeszłości,
 Całą rozpaczą świadomej przyszłości,
 Całym bólem nieśmiertelnych męk.

ŚMIERĆ.

O niechódź tam! — Tam na dnie, wąż
 Wieczności leży zwity strasznym kłębem,
 I ciało swoje własne ostrym zębem
 Na drobne szmaty targa wciąż;
 A z każdego żdźbła ciała, z każdej krwi kropelki
 Znów się wieczności rozrasta wąż wielki — — —
 Wąż jadowity męczarni!... O chódź!
 Uciekaj od tych czarnych bram!
 Piękny, bogaty zwie ciebie świat życia.
 Ja, jego pani, wszystkie tobie dam
 Skarby jego do użycia.
 Blask, wielkość, rozkosz — w wieczny z tobą ślub
 Złączą się, i cudnym urokiem
 Tak cię zwiążą, oplotą do koła, —
 I kwiaty wonnemi tak zasłonią grób,
 Że nigdy już więcej posępnym widokiem
 Szczęścia twego zamącić nie zdoła.

LESŁAW.

Przekłète dary twoje, i ty bądź przekłeta!
 Idź ludzić niemi
 Podły proch ziemi.....
 Nikezemnych, co w chuci pęta
 Tak splątali swego ducha,
 Że już więcej niezdolny orlim wzlecieć lotem,
 Pył ziemi skrzydłami zmiata, —
 Karmi się błotem, —
 I nie pomni, nie wie o tem,
 Że z jestestwem całym świata

Jestestwo jego węzłem braterstwa się splata
 W mojej duszy, od chwili najpierwszego wschodu
 Pojęcia, tkwiło wiernie wspomnienie jej rodu.
 Serce me żyło życiem światów wszech,
 I biło tętnem tego niezmiernego życia.
 Nim myśl zbadła, ono już przeczuło
 Swe pokrewieństwo świetne z wszech ogromem;
 I z nim wiążącą pasmem niewidomem
 Świętą nić współczucia snuło.
 We wszystkich głosach ogromnej natury,
 Z drzeniem witało one bratnie głosy.
 Każdy radośny brzmiący wśród niej dźwięk,
 Błogich uniesień korowód w nie wiódł;
 Każdy boleści, każdy smutku jęk,
 Godził w nie i cierniem bódł. —

Jako wód strumień, opoczystym łądem
 Od oceanu zdaleka zamknięty,
 Zjednoczenia się żądzą tajemną wiedziony,
 Dąży i rwie się k' morzu rączym prądem:
 Dusza moja zawarta w ciasne więzy ciała,
 Tęsknotą zadumania, zachwyceniem rzewnem, —
 Tem marzeniem wśród jawy wpół jasnem, niepewnem,
 Z ducha się oceanem rozkosznie zlewała.
 I miłość moja była tylko dopełnieniem
 Nieobjętej miłości, — żądzy wyjścia z cieśni
 Samotnego istnienia, — jednym tylko brzmieniem
 Wielkiej, świętej życia mego pieśni. —
 A żywotem mojem całem,
 Jak jednym tonem jednej srebrnej strony,
 Ja wiecznie zlewać się chciałem
 W harmonii światów chór nieskończony!

Harmonio światów! i tyżeś jest tylko
 Dźwięcznem splątaniem przeraźliwych głosów,
 Jęków konania i morderstwa wrzasków! . . .
 O świecie życia! ty śmierci dziedziną, —

Wielką mogiłą, — polem ubroczonem
 Wieczystej walki, nienawiści wiecznej! —
 Jakże cudownym, jak uroczym tyś
 Był jeszcze wczora, — jak okropnym dziś!...

I tyż dziś, krwawa poczwaro!
 Chcesz mię szczęścia złudzić marą?
 W dniu tym przeklętym, co mi twoje lice
 Nagie odsłonił, — i dał
 Patrzyć na straszne grobu tajemnice!.....

Nie, — nie przeklęty — błogosławiony
 Niech dzień ten będzie! Bo piekło, co wniósł
 Do mego serca, drzeć mi nie pozwala
 Przed zgrozą piekła, co czeka rozwarte,
 Ogniem ziejące na przyjęcie moje. —
 Na jego progu, bez trwogi ja stoję,
 Dumny przed światem i sobą. —

Oto w tej chwili, siłą mojej woli,
 Targam ze siebie okowy niewoli.
 Wielki — że jeźli z klątwy przeznaczenia
 Niezdolnym świata wybawić,
 Sam dłużej nie będę krwawić
 Rąk moich w piersiach stworzenia, —
 I szerzyć państwa nie będę zniszczenia! —
 A to wysokie przeświadczenie duszy,
 Jęk potępienia mocą swoją zgłuszy,
 Czuć niedopusci piekielnych katuszy... ..

Żegnaj! Wśród gromów bicia, z mrocznych piekła bram,
 Ostatniem słowem, spojrzeniem — o świecie!
 Żegnam!... sam niewiem, jak żegnać się mam? —
 Błogosławieństwem?

Czy przekleństwem?

Wszystko jedno! na wieki tyś przeklęty już raz. —

Męczarni żary nieśmiertelne!

Otchłani piekielne!

Witam was!...

PRZYPISY.

¹⁾ str. 3. Jedno z mnogich podań gminnych o Twardowskim, opowiada jako tenże zaklęciem swoim przerzucił przez Wisłę głaz olbrzymi w okolicy Czerwińska.

²⁾ str. 6. Podług mniemania ludu czarownice, na nowiu księżycu, wybiegają boso i w samych tylko koszulach na łąki, garnąc z trawy rosę lipowemi rzeszotami. Tym sposobem odbierają mleko wszystkiemu bydłu, które na łąkach tych się pasło, a napełniają niem swoje donice. Kiedy rzeszoto napełni się rosą, znak to, że donice czarownicy już mleka pełne.

³⁾ str. 8. «Rwijcie jaskru i lubczyku» — i t. d. Wymienione tu zioła używane bywając do czarów, zwłaszcza miłosnych. Przy takim czarze zwykły się także palić włosy chłopca i dziewczyny, którzy podług woli czarownicy pokochać się mają.

⁴⁾ str. 12. Podług wiary naszego ludu fale wody zarówno jak i powietrzne prądy zamieszkują niepojęte, niewidzialne powszedniemu oku istoty, nadludzkiej wiedzy i mocy, to przyjazne i dobroczynne, to nienawistne człowiekowi i szkodliwe. Podania o istotach takich wody nasze zaludniających znane są już powszechnie, za pośrednictwem licznych pisarzy, którzy takowe w utworach swych obrabiali. Dość tu tylko przypomnieć precudną postać Goplany, przez Słowackiego w Balladynie tak wybornie w duchu ludu utworzoną. Istotom powietrznym — dotąd żadnem jeszcze piórem nietkniętym — podanie nadał charakter bardziej natchniony, czystszy i wznioślejszy, jak czystszy i wyższy jest ich żywioł. — Słyszałem kiedyś baśń, opowiadającą miłości jakiegoś rycerza z podobną powietrzną dziewczicą, której na imię było Chmura.

⁵⁾ str. 24. W całej Polsce pomiędzy ludem upowszechnione jest mniej więcej jednakie o topielcach wyobrażenie. Są to ciała utopionych ludzi, zaczynające po śmierci drugi, nieśmiertelny, tajemniczy żywot. W nocy gromady topielców wyprawiają dzikie swoje igrzyska po głębiach i brzegach wód, ciągnąc i topiąc każdego, kto wtedy ku nim się zbliży. — Na Mazowszu mają topielcy zielone włosy. Panuje także mniemanie, że kto w ślad ich na piasku wyciśnięty pierwszy wstąpi nazajutrz rano, wkrótce umierać musi.

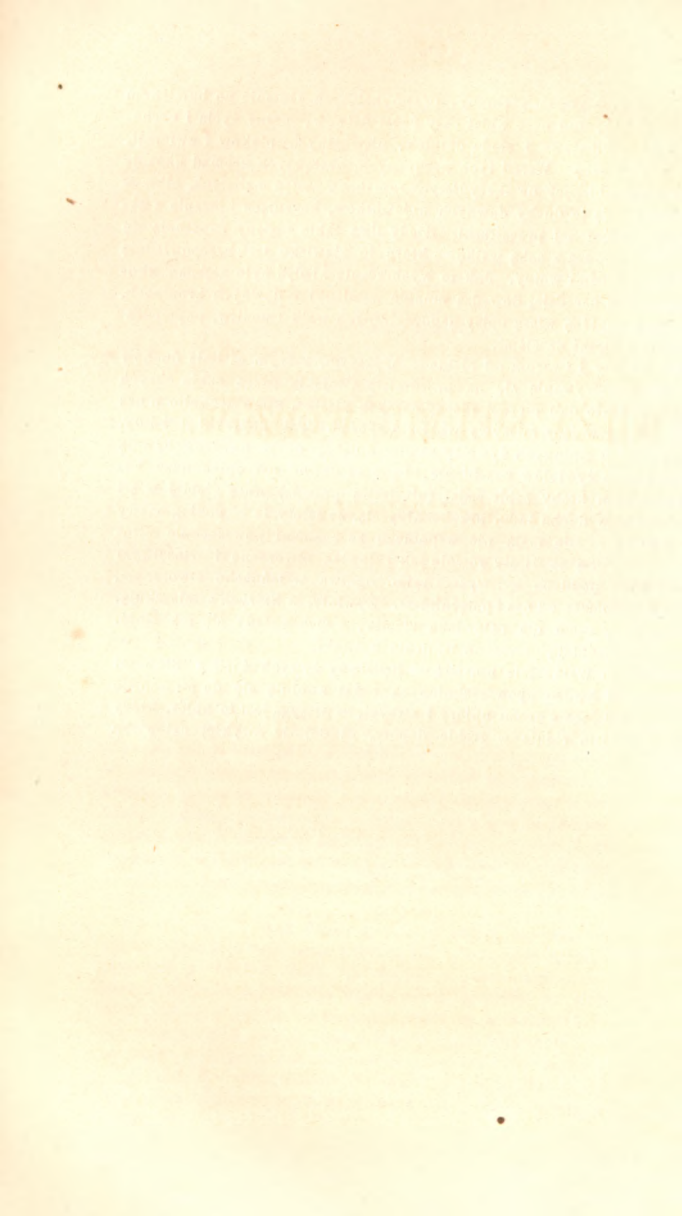
⁶⁾ str. 29. «Plot nie plot — wieś nie wieś — Biesie, nieś!» Słowa te wymawiają czarownice, lecąc na Łysą-górę, którą między sobą górą nazywają.

⁷⁾ str. 36. «Jak dziwaczniemi kształty niebo to się chmurzy» i t. d.

W różnokształtnych massach chmur, przemykających tłumnie po burzliwem wieczornem niebie, lud nasz widzi cały świat dziwów, pełny życia i ruchu. Są tam smoki wielogłowe i stada dzikich, niewidanych ptaków i zwierząt, harcujące między sobą. Wśród tych potwornych, bezładnych gromad ukazują się nieraz szybko biegnący na skrzydlatych rumakach zastęp mglistych, olbrzymich jeźdźców. Są to duchy dawnych wojowników, kocujące wiecznie z wiochrami po nieskończonej przestrzeni. Kiedy dwa takie zastępy napotkają się ze sobą, często zwodzą z sobą walkę — które to zjawisko jest przepowiednią srogiej między ludźmi wojny. Jak to wyobrażenie kiedyś było głęboko wkorzenione w całym narodzie, dowodzą mnogie wzmianki w dawnych kronikach, przywodzące z zupełną wiarą opisy napowietrznych walk i gonitw, poprzedzających wojny i klęski na ziemi.

⁸⁾ str. 38. « — i tworom od ciebie — Wyższym, którym es imię duchów dał » i t. d. Zapatrywanie się na przedmioty swojskie przez szkła obcych pojęć, jakiego hasło dali pierwsi rzeczy naszych pisarze, upowszechniło u nas nie jeden dotąd trwający fałszywy widzenia sposób. Tak na przykład istoty, podług wyobrażeń gminnych żywioły zamieszkujące, dotąd uważane bywają bądź to za tychże żywiołów uosobienie, bądź za dawne ich opiekuncze bóstwa. Tymczasem ktoby sobie zadał (nie łatwą prawdą) pracę głębiej w tej mierze wniknąć w ducha ludu, przekonałby się, że istoty te — podług nazwy ludowej duchy — nie mają nic wspólnego ze znanymi powszechnie mitologii systemami. Są to istoty równie jak człowiek stworzone i właściwym warunkom bytu poddane — wyższe tylko ogniwa w łańcuchu stworzenia, i dla tego świadomsze od nas i potężniejsze. Żywioły, w których zamieszkują, są dla nich tem, czem dla człowieka ziemia, z nich składa się ich ciało, i w nich tylko znajdują potrzebne istnieniam warunkunki.

⁹⁾ str. 44. « Wstawajcie umarli! — Będziemy żywych żarli. » Słowami temi w jednej z bardzo upowszechnionych baśni zwolują się do straszego dzieła swego wstające z grobu upiory i strzygi. — Strzyga jest to upiór, który zmarłszy dzieckiem rośnie w grobie dopóty, aż dojdzie zwykłej człowieka postaci.



WIEŻA SIEDMIU WODZÓW.

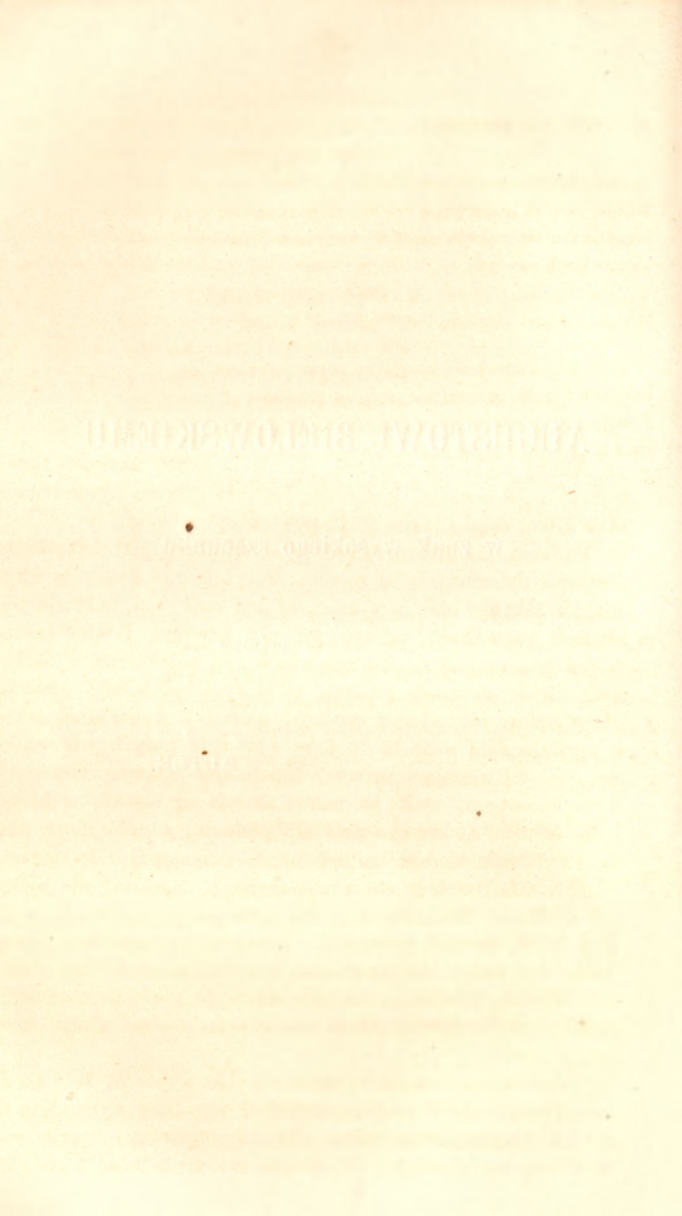
PIEŚŃ Z PODANIA.

AUGUSTOWI BIELOWSKIEMU

w znak wysokiego szacunku

poświęca

AUTOR.



Ażeby czytelnik wiedział, jak się na utwór następny zapamiętywać i go oceniać, konieczną jest, że powiem, poprzednio słów kilka: z kąd i jakim tenże powstał sposobem.

Podanie, na którym pieśń tę osnowałem, jest nabytkiem jeszcze z dziecinnych lat moich. Uczyniło ono wtedy na mym umyśle tak głębokie wrażenie, że ani czas, ani późniejszych wrażeń rozmaitość zatrzeć go nie zdołały. Ilekroć nocą, w chwili spokojnej samotności wzrok mój natrafił na wyskrzonym niebie gromadę gwiazd, w których mi kiedyś powieść złote hełmy siedmiorga wodzów ukazała, wyobraźnia moja z upodobaniem wracała do tego z lat dziecinnych wspomnienia, — odświeżając barwy, dopełniając zatarte szczegóły. Tym sposobem, mało po mału, złożyła się całość, w której coby istotnie do samego należało podania, a coby mojej własnej wyobraźni dodatkiem być mogło, przystępując do złożenia pieśni, sam, pomimo chęci najszczerszej, rozróżnić nie byłem już w stanie. Musiałem więc rzecz wziąć w tej całości, w jakiej mi ją pamięć podawała. Z zamiarem autorskim, przy tworzeniu pieśni, nic już anim odmieniał, ani dodał lub odrzucił: słowem, chciałem, na wzór dawnych pieśniarzy, opowiedzieć podanie dawne, jak je wiedziałem, nie zaś złożyć nowy utwór sztuki.

Obok takiego zamiaru, samo z siebie wypadło, że i co do zewnętrznej części utworu, zupełnie wszelkiej wyrzekłem się sztuki. Opowiadałem rzecz, jak mi najprościej i najłatwiej w wiersz się układała, nie dbając ani o gładkość tegoż, ani

o dobór rymów i wyrazów; słowem, zachowałem sobie całą swobodę twórców gminnej pieśni.

Nuty, nastroju, do przyrody i dawności przedmiotu stosownych, szukałem, jak się godziło, w najdawniejszych zabytkach słowiańskiego pieśniarstwa: w starych naszych pieśniach ludu, serbskich rapsodach, wyprawie Igora i krółodworskim rękopisie. Z tych stron czworga, że tak rzekę, nawiązałem się gęślą, na której sobie do pieśni mej ton dawałem.

Pisałem w końcu 1847. i w początkach 1848. roku.

Czy to tak szumi puszcza wysoka?
Czy to tak szumi Wisła głęboka,
Środkiem cienistych Mazowska puszcza? —
Nie puszcza to tak prze się z wichrami,
Nie Wisła się tak bije z brzegami,
Gwar to wojennych obozu tłuszcza.

Nad białą Wisłą, wśród czarnych lasów,
Jak długo zajrzeć żółtemi brzegi,
Nieliczonego tam koczowiska
Bielą się, czernią długie szeregi
Białych namiotów, ciemnych szałasów.
Z suchych gałęzi dymią ogniska .

U dymnych ognisk krwawe się skwarzą,
Na ostre drzewca wbite: jelenie,
Ogromne dzicze, łosie pieczenie.
Dokoła męże siedzą i gwarzą.
W głębokie czary miód złoty leją,
I z czar pieniających piją kolejną;
Gwarzą i pieśni wojenne pieją.

A wszystkich mężów odkryte głowy
Tak się we srebrnej migocą bieli,
Jak gdyby wszyscy na głowach mieli
Hełmy srebrzyste. Czyż księżycowy

Promień im mleczny, z kroplami rosy
Białej, tak równo ubrały włosy?

Ni księżyc mleczny, ni rosa biała,
Starość to siwa tak ich ubrała.
A dotąd ciemne wąsy i brody
Groźnie im twarze kryją jagody,
Całe zorane wieku brózdami,
Całe zsiezione bitew bliznami, —
Że dziś nie poznać, gdzie czas znak kładł,
A kędy ostry miecz wroga padł.

Wiek długi cały — jak jeden biały
Dzień — w niespocznionych zbiegł im gonitwach,
Na twardych znojach, na krwawych bitwach.
Siedmiu rzek wielkich przebrnęli brody,
Dwu mórz im nogi obmyły wody.
Sto wielkich bitew z wrogi zwalczyli, —
Stokroć dziękczynne stósy palili,
Stokroć zwycięstwa święto święcili.

Aż twarde głównie mieczy, w ich pięści
Starte na listek, pękły na części;
Aż nieskładane nigdy, o głowę
Zdarłszy się, spadły hełmy stalowe,
Natenczas meże, po pierwszy raz,
Po bieli włosów, poznali czas
Jako zbiegł wielki od owej chwili,
Gdy młodzieńcami hełmy włożyli
Na krucze skronie — i wzięli bronie,
I szli raz pierwszy na krwawe błonie.

Toż spocząć pora nadeszła już
Po życiu pełnem sławy i burz! . . .
Więc szli nad brzegi ojczystych wód,
Gdzie puszczy cienistych przewiewa chłód;
Kędy znużone bojów trudami
Śpią stare ojce pod mogiłami;
A ciemne sosny, zielone dęby

Nucą im do snu pieśń tajemniczą,
 Święte sokoły, wieszczę jastrzęby
 Nad uroczyskiem głuchem strażniczą.
 Tam zaszli męże: — i grób przy grobie
 Grzebią rękoma własnymi sobie.

A nim pokładną się spać w mogile,
 Twardego wieku ostatnie chwile
 Pierwszykroć trawia w bezpiecznych wczasach:
 Na mechu zielonym w wonnych szalasach
 Śpiąc nocy ciemne, — dnie całe w lasach
 Polując zwierza, — o zmroku, kołem
 Siadłszy u ognisk, uczując społem,
 O wielkich dziełach spełnionych gwarząc,
 O przyszej chwale za grobem marząc...

I ot! — już wszystkie groby gotowe;
 Tylko w nich legnąć, i złożyć głowę
 Na szary kamień, — i zasnąć już
 Po życiu pełnem sławy i burz!...

Ale nim spoczną, jeszcze im wprzód
 Ostatnie dzieło spełnić i trud:
 Potomnym wiekom na dziw i cześć
 Pomnik niezżyty po sobie wznieść.
 Godzien tych męży co go stawiały,
 Pomnik to będzie wielki, wspaniały:
 Nad stare lasy, nad strome góry,
 Nad lotnych ptaków szlaki się wzniesie;
 Wierzchołkiem czarne przegoni chmury,
 I aż o błękit niebios oprze się.

Taką wyrocznią wodze wyrzekły,
 Jak, śnać z gwiazd, wieszczym umem dociekły.
 Drużyna, pełniąc wolę wyroczą,
 Wnet się do dzieła imie ochoczo.

Noc przeminęła... O rannym brzasku
 Wzdrgnęła się Wisła nagłego trzasku,

Od łomu dębów, zgrzytu toporów,
 Ode krzemiennych stukotu młotów.
 Drapieżne bestye, w tajnikach borów
 Śpiące, struchlały od tych łoskotów.

Jak więc w mrowisku, gdy się robacy,
 Kwapiąc około wiosennej pracy,
 Rzeszą dokoła wysypią czarną:
 Takowym tutaj może przykładem,
 Takim pośpiechem i zgodnym ładem,
 Ku przedsięwziętej pracy się garną.

Bite rąk krzepkich tęgimi razy
 Kruszą się w sztuki olbrzymie głązy.
 Bryły, silnemi dłońmi porwane,
 Toczą się, — wieńcem na piasku padną;
 Znow drugie głązy na nich się kładną;
 Aż zrosłe w krągłą dźwigną się ścianę.

I nie tak skoro parnym dniem w wiosnie,
 Po bujnym deszczu siew nowy rośnie,
 Jako pospiesznie ku górze zmierza
 Z szarych kamieni wiązana wieża.
 Od rannej zorzy po mrok wieczora
 Przeniosła wzrostem męża półtora.

Z gwieździstą nocą, po ciężkiej pracy,
 Legli, snem twardym zdjęci, wojacy;
 Aż ich poranne wschodzące zorza
 Ze spokojnego zbudziły łoża.
 Biegli więc znowu, jak się poczęło,
 Do końca wielkie domierzać dzieło.

Lecz kiedy przyjdą nad brzeg topieli,
 Gdzie wznosić stawbę wczora poczęli,
 Przywykłe dziwom wojaków oko
 Na raz rozwarte stanie szeroko,
 Rażone dziwem dla siebie nowym.
 Szukając w okół, po piasku płowym,

A nie znajdując tego, co szuka . . .
 Bożaż to siła ? czy czarów sztuka ?
 Wczorajsze dzieło , by widmo senne,
 Stopiłoż wschodząc słońce promienne ?

Ziemia to , ziemia łakoma , tak
 W nocy swą chłodną gardziel rozwarła
 I mężów ciężką pracę pożarła.
 Oto wśród piasku widomy znak :
 Gdzie wczora wieży wznosił się zrąb ,
 Kamienny sterczy z pod ziemi ząb !
 Drużyna , patrząc w dół , długo stała , —
 Milcząc , siwemi głowy chwiała , —
 Cichemi słowy z sobą szeptała ;
 Wreście , do wodzów namiotu posły
 Ślą , by o dziwie powieść zaniósł.

Biały , jak łabędź , na wzgórzu stał
 Namiot. W namiocie , na pękach strzał
 Siedmiu , siedzieli siedmi wodzowie :
 Starcowie wiekiem , licem młodzieńce ,
 Złociste hełmy mając na głowie ,
 Na hełmach z dębu zielone wieńce.
 U boków mieli miecze przejrzyste ,
 W rękę trzymali gęśli srebrzyste ;
 Przed nimi , w czarach białych jak śnieg ,
 Miód się czerwony pieni po brzeg.

Posły , skłoniwszy siwemi głowy ,
 Rzec swą zwiastują krótkimi słowy ,
 Jako się stało. Wodze słuchali
 Milcząc , — a gdy ci mówić przestali ,
 Z pośrodku wodzów mąż jeden wstał ,
 I taką posłom odpowiedź dał :

— « Idźcie do braci , — jak się poczęło ,
 Rzeknijcie , dalej by wiedli dzieło ;
 Bo nie przystało mężom do twarzy ,
 Począwszy , przestać , gdy się źle darzy . »

Odeszły, głową skłoniwszy, posły,
 I gwarnej rzeszy sąd wodzów niosły.
 Rzesza, skoro tych wysłucha słów,
 Żywo do pracy imie się znów.

Od łomu dębów, zgrzytu toporów,
 Ode krzemienych stukotu młotów,
 Wzdrgnęła się Wisła, — tajniki borów
 Zadrżały od tych dzikich łoskotów.
 Bite rąk krzepkich tęgiemi razy
 Kruszą się w sztuki olbrzymie głązy;
 Dalej, silnemi dłońmi porwane,
 Toczą się, kędy z ziemi ścian wieży
 Zapadłych ząb się kamienny jeży,
 I na wierzch głazom wczorajszym padną.
 Znów nowe głązy na nich się kładną,
 I rosną w krągłą ku górze ścianę.

I nie tak skoro parnym dniem w wiosnie,
 Po bujnym deszczu, siew nowy rośnie,
 Jako pośpiesznie ku górze zmierza
 Z szarych kamieni wiązana wieża.
 Od rannej zorzy po mrok wieczora
 Przeniosła wzrostem męża półtora.

Z gwieździstą nocą, po ciężkiej pracy,
 Legli, snem twardym zdjęci wojacy;
 Aż ich woniące wiosenne zorza
 Ze spokojnego zbudziły łoża.
 Więc szli, powstawszy, jak się poczęło,
 Do końca wielkie domierzać dzieło.

Lecz skoro przyszli, już na nich tam
 Co wczora czekał dziw tenże sam.
 Ziemia łakomą gardziel rozwarła
 I ich wczorajszą pracę pożarła;
 Tylko z pod piasku szczerbaty ząb
 Kamienny, znaczy zapadły zrąb.

Drużyna chwilę zdumiona stała, —
 Cicho szeptaając, głowami chwiała;
 Nareszcie, wodzów pamiętna słów,
 Żywo do dzieła imie się znów

I tak za nocą dzień, za dniem noc —
 (Czarów to siła, czy boża moc?)
 Co za dnia mężów zbudują dłonie,
 Łakoma ziemia w nocy pochłonie . . .

Minęła wiosna, minęło lato.
 Jesień, spłowiałą odziana szatą,
 Idzie, żałobny zawodząc śpiew,
 I żółkłe liścia otrząsa z drzew;
 A dotąd ziemia, równie obżarta,
 I praca mężów, równie uparta,
 Walczą ze sobą . . . Któraż zwycięży?
 Moc niewidoma, czy wola męży?

Aż dnia jednego, — ranku białego,
 Pierwianym szronem opruszonego,
 Wodze drużynę całą przyzwały
 Po pod pagórek, przed namiot biały,
 Błogą nowinę jej zwiastowały!
 Wiek walk i trudów wspólnych spełniony,
 I odpoczynku dzień upragniony.

Drużyna chwilę zdziwiona stała, —
 Cicho szeptając głowami chwiała, —
 Tak jej wieść błoga dziwną się zdała.
 Spocząć? poczęte olbrzymie dzieło
 Gdy jeszcze dotąd końca niewzięło?
 Gdy dotąd za dnia co wzniosą dłonie
 Łakoma ziemia w noc każdą chłonie? . . .

Ale świadomi wodzów mądrości,
 Mądre ich rady pełnić przywykli,
 Wreście okrzykiem wielkim wykrzykli, —
 I od pagórka, pełni radości,

Biegli pomiędzy swoje szalasy.
 Ci więc oszczepy, ci więc topory
 Chwyciwszy, w ciemne odejdą lasy,
 K' ostatniej uczcie sprawiać przybory.

I wnet tajniki lasów zielonych
 Zawrzały rogów ochoczem graniem,
 Wesółem łowców nawoływaniem,
 Hukiem toporów i drzew walonych. . .
 Aż o południu, zgiełkliwą zgrają,
 I ci i owi w obóz wracają.

Ci dziwne tury, czarną posoką
 Znaczące drogę, za rogi wloką.
 Owi, spętane lipiami łyki,
 Żywo prowadzą odporne dziki,
 Lub, na wpędzonych między golenie
 Drzewcach, dźwigają zwisłe jelenie.
 Tamci zaś sosny, z smolnym korzeniem
 Wydarte, silnem ciągną ramieniem;
 Lub dzikie barci, z całemi kłody
 Wycięte, niosą na wielkie gody.

I wnet ogromne wznoszą się stosy, —
 Dymy słupami biją w niebiosy.
 Krwawe mięsiwa, w ćwierci zrabane,
 Skwierczą, na twarde drzewca nadziane . . .
 Aż o wieczorze legły spieczone
 Na polnych głązów stoły omszone.

I po za stoły, gwarząc wesoło,
 Siadła drużyna w szerokie koło. —
 W środku zasiedli siedmi wodzowie, —
 Starcowie wiekiem, licem młodzieńce, —
 Złociste hełmy mając na głowie,
 Na hełmach z dębu zielone wieńce;
 Po jednej stronie miecze przejrzyste,
 Z drugiej zwieszzone gęśli srebrzyste.

I w pośród pieśni, śród gęśli dźwięku,
Róg pełny poszedł z ręku do ręku . . .

A na około, ogniem rzuconym,
Płoną szalasy wieńcem czerwonym
I smolne stósy łuczywa gorzą.
Niebo się krwawą oblało zorzą,
I biała Wisła cała rumiana,
Jako gdy jutrznia wstaje z niej z rana.

Z głębin topieli straszne wodniki,
Łby wynurzywszy, wzrok toczą dziki,
Dzikiemi z sobą gwarzą coś krzyki . . .
Z drzew wypłoszone jasnością sowy
Nad biesiadników tłuką się głowy . . .
A z po za dymu, z po za płomieni,
Z pośrodka puszczy tajemnych cieni,
Groźne leśniki, leśne-dziewice,
Przypołudnice, przywieczernice —
Wszystkie puszczy dziwy, zbiegłszy się zgrają,
Biesiadzie mężów się przyglądają . . .

W tem z za drzew boru, milcząc, wspaniały
Wszedł pełny księżyc, jak srebro biały.
Natenczas wodze z siedzenia wstali,
I znak milczenia skinieniem dali:
A więc powstała drużyna cała
I cicho słowa wodzów czekała.

Oni zaś siedem, białych jak śnieg
Czar napelniwszy miodem po brzeg,
Za srebrne gęśli dłońmi ujeli,
I bijąc w stróny, pieśń piał poczęli:

«O mężowie wy! serc wiernych,
Mężowie niezłomnej woli!
Wiek trudnych czynów spełniony —
Spocząć nadeszła już pora.

Czas nam pożegnać się z sobą,
 Czas się ze sobą rozłączyć,
 Na długie, wieków dalekich —
 Lecz nie na wieczne rozstanie.

» Wam spocząć, nam odejść pora —
 Tam na niebiosach wysokich,
 Kędy wieczne ojców duchy
 Wiecą niezmierną jaśnieją,
 Ze spełnionych społem czynów
 Oddać przed radą ich sprawę,
 Wielkich dzieł waszych powieścią
 Rozradować ojców serca.

«Ale kiedy od tej chwili
 Pełnych lat tysiąc wybieży —
 Czas wtedy przyjdzie straszliwy —
 Zło świat ten cały owładnie —
 Że jasnemu dobra Bogu
 Ni jeden wreszcie nie zbędzie
 Czciciel, ni jeden wojownik
 Pod jego słonecznym znakiem —

» Z górnego ojców siedliska
 Znów wtedy do was zstąpimy.
 Gęśli znajomych odgłosem
 Z snu wiekowego was zbudzim.
 I wstaniecie z mogił waszych,
 Młodością nową promienni,
 Z odmłodzonymi u boków,
 Jako wy sami, mieczami.

«I w imię jasnego Boga,
 Pod jego słonecznym znakiem,
 Pójdziemy znowu na ziemi
 Cześć jego świętą podnosić,
 Obalać złego ołtarze,
 Złego wytępiać czcicieli —
 Na nowe pójdziemy boje,
 Nowe zwycięstwa i chwałę.

«A teraz, podajcie dłonie
 Do ostatniego uścisku!
 Ostatni raz złotym miodem
 Róg pożegnania nalejcie!
 Ostatnim oto uściskiem,
 Ostatnią oto się czarą,
 Ostatnią w chwili rozstania,
 Pieśnią się z wami żegnamy! . . .»

I w pośród zgielku, wśród uniesienia
 Głośnych okrzyków, wśród pieśni pienia,
 Wśród dźwięku gęśli i grania trąb —
 Wodzowie z miejsca ruszą się przodem,
 Drużyna długim w ślad korowodem.
 Szli, kędy Wisły największa głąb, —
 Kędy z pośrodku białego piasku,
 Przy smolnych ognisk czerwonym blasku,
 Szerokiem kołem zapadłej wieży
 Zrąb szarych głazów zębem się jeży.

I na sterczącej ze ziemi ścianie
 Siedmioro wodzów, wstąpiwszy, stanie.
 Ze złocistemi hełmy na skroniach,
 Na hełmach wieńce mając dębowe,
 U boków jasne miecze stalowe,
 Srebrzyste gęśli trzymając w dłoniach.
 Cali w śnieżystej ubrani bieli, —
 Miesiąca blaskiem wpół osrebrzeni,
 Na poły ognisk łuną rumieni,
 Na zrubie głazów w półkrąg stanęli.

I wraz uderzą w gęśli srebrzyste,
 Z pełnej o stróny uderzą mocy;
 Dźwięki potężne i uroczyste
 Zabrzmieją na wskroś milczenia nocy.
 I wraz zanucą, gęślom we wtór,
 Pieśń uroczystą we zgodny zbór,
 Niepojętemi jakiemiś słowy,
 Jakiejś nieznanej, nieziemskiej mowy.

Lecz znać ją znają siły tajemne,
 Znać ją pojęły potężne duchy,
 Zarządzające państwa podziemne...
 Z głębi otchłani huk słychać głuchy,
 Jak odgłos gromów ciągnących z dala,
 I dziwnych głosów gwar pomieszany...
 Tajemną mocą wyparta fala
 Wiślana rośnie w groźne bałwany...
 Ziemia się chwieje i grzmi i wzdyma...
 I wpośród grzmienia, wśród ziemi drżenia,
 Przed struchlałemi mężów oczyma,
 Z głębi otchłani na raz widocznie
 Olbrzymia wieża wznosić się pocznie.

I po nad głowy zdziwionej tłuszczy
 Ogromnym słupem w górę się dźwiga.
 Już szczytem drzewa minęła puszczy
 I ku gwieździstym niebiosom śmiga.
 Już w wysokości dalekim mroku
 Scigającemu gubi się oku;
 Jéno na niebie wyskrzonem długą
 Czarnego cienia znaczy się smugą.

Tylko z jej szczytu, w jasne półkole,
 Złociste hełmy na wodzów czole
 Siedmiorgiem kręgów błyszczących gorą,
 Niby miesiący pełnych siedmioro.
 Aż coraz niknąc, coraz to wyżej,
 Coraz to dalej świecąc od ziemi,
 Coraz to niebios gwieździstych bliżej, —
 Nareszcie, siedmią gwiazdy drobnemi,
 Pomiędzy gwiazdy staną drugiem...

Naraz ustawa podziemna wrzawa,
 Ustawa grzmienie i ziemi drzenie.
 I olbrzym-wieża, w groźnym ogromie,
 Z czołem opartem o nieba stropy,
 Z wrosłemi w piaski wilgotne stopy,
 Staje milcząco i nieruchomie.

Tylko nurt Wisły, nagle cofniony
 W łoże swe, głucho kipi spieniony.
 Tylko, z śród ciszy, gęśli i pienia
 Płyną z wysoka ostatnie brzmienia,
 Zmieszane w ledwie słyszalny dźwięk,
 Jak srebrny muszek wiosennych brzęk,
 Lub szmer kwitnącej trawy na łące,
 Gdy ją rozwija słońce wschodzące ...

Ze przechylonem ku górze czołem,
 Długo milczącem u wieży kołem,
 Dziwem spełnionym oczarowana,
 Drużyna męży stała zebrana.
 Aż z zadziwienia snu ocucona,
 Ku górze silne wznosząc ramiona,
 Raz jeszcze, z piersi pełności wiernej,
 Ku wodzom okrzyk wzniesie niezmierny.

Zaś szli, milczący, skłoniwszy głowę,
 Gdzie ich mogiły zwały gotowe.
 I każdy, nad swój zaszedłszy grób,
 Kładł się spokojnie w piaszczysty żłób;
 Na szary kamień skroń siwą wsparł,
 I oczy na sen wiekowy zwarł ...

W tem, z głębi ciemnych powietrznych szlaków,
 Słysząc śpiew jakiś, nad wyraz rzewny.
 Coraz to głośniejszy, coraz to bliżej, —
 Coraz wyraźniej, coraz brzmi niżej;
 Aż wreszcie widny łabędziach ptaków
 Ciągający z dala długi sznur śpiewny.
 Nad Wisłą, białej podobne chmurze,
 Stado wędrowne zawisa w górze;
 I, z cicha szumiąc nieruchomemi
 Lotami skrzydeł rozwinionemi,
 Roniąc łabędzi przedśmiertny żal,
 Zwolna opada obłok ten biały
 Nad rzeki lekko dyszące wały;
 Piersią wilgotnych dotyka fal ...

I z cichym pluskiem, upadłszy, tonie,
Z pieśnią zarazem, w mętne ich łonie...

Na brzeg ogłuchły przyleciał wiatr,
Mroźny wysłaniec od śnieżnych Tatr.
Trzęsie drzewami, liść żółkły rwie,
Olbrzymie piasku tumany dmie:
Aż zwiedłym liściem i piaskiem społy
Zawieje grobów otwarte doły;
Aże ostatniej szczęty biesiady
I wszystkie stopy człowieczej ślady
Ruchomych' piasków zaspą przywali —
I z hukiem w puszcze odleci dalej...

Na uroczysku pusto zostało,
Jakby się nigdy nie tu niedziało. —
Tylko nad brzegiem, kamienna, szara,
Z wzrosłemi w piaski wilgotne stopy,
Z czołem opartem o nieba stropy,
Olbrzymia wieża stoi, jak mara.
Ale czar na nią taki rzucony,
Że jej nie dojrzy człowiek wcielony;
Ni jej śmiertelnem dojrzy spojrzeniem,
Ni jej śmiertelnem skała dotknięciem.

Tylko w pogodne dni, nocną porą,
Na głowach wodzów hełmów siedmioro
Siedmią gwiazd drobnych miga z jej szczytu,
W pośród gwiazd drugich, z nieba błękitu.
Tylko czasami z wyżyn podniebnych
Czarowne echo gęśli ich srebrnych,
Zmieszane w ledwie słyszalny dźwięk, —
Jak srebrny muszek wiosennych brzęk,
Lub szmer kwitnącej trawy na łące
Gdy ją rozwija słońce wschodzące, —
Zaleci w pośród północnej ciszy.
A człowiek co te dźwięki posłysz,
Oczarowany, drżący jak listek,
Staje zdziwiony; — serce i ucho

Poi tą z niebios muzyką głuchą —
 A potem marzy, przez wiek swój wszystek,
 O wiekach dawnych, o krwawych bojach,
 O wielkich wojach, o czynach sławnych ...

Lecz gdy się tysiąc wypełni lat,
 Gdy zło tak cały owładnie świat,
 I wszystkie serca ludzkie posiędzie,
 Że już dobrego jasnemu Bogu
 Ni jeden wreście czciciel niezbędzie
 Do boju przeciw czarnemu wrogu:
 Z niebieskiej wiecy, północną porą,
 Zstąpi na ziemię wodzów siedmioro.
 W nieśmiertelności jasnym odbłyску
 Promienni, staną na uroczysku, —
 Ze złocistemi hełmy na skroniach,
 Na głowach wieńce mając dębowe,
 U boków jasne miecze stalowe,
 Gęśli srebrzyste trzymając w dłoniach.
 I bijąc w stróny, gęślom we wtór,
 Pieśń wieszczą w zgodny zanucą zbór.

A na to śpiący wojacy w grobie
 Zbudzą się, sami otworzą sobie
 Mogiły swoje, i odmłodzeni,
 O kruczych włosach, licem rumieni,
 Wstaną; u boków z odmłodzonemi,
 Jak sami, mieczmi przezroczystemi.

I w ślad za wodzmi pójdą swojemi,
 Pode słonecznym proporcem Boga,
 Wznosić cześć Jego świętą na ziemi,
 Walić ołtarze czarnego wroga.
 Siedmiu rzek wielkich przebrodzą łoża,
 O dwa niezmierne oprą się morza;
 Siedm lat ze złemi bój będą wieść,
 W stu krwawych bitwach aż ich powalą.
 Wreście zwycięstwa stósy zapalą,
 Upadnie złego władztwo i cześć!

Zwycięzko wionie chorągiew boża!
Nad ziemią wielką wśród dwojga mórz,
Nad wszystkim słowa państwem dalekiem:
By więcej nigdy nie upaść już,
I świata ztamtąd świecić wiek wiekiem.

I po brzeg obu mórz, ziemia święta,
Kośmi walecznych sprawiona cała
Krwia bohaterów wskrós przesiąknięta,
Zabrzmi radością... I będzie chwała!
Wodzom i dzielnej drużynie chwała!
Chwała tej ziemi, co ich wydała!...
I pieśni, co to przepowiadała. —

PRZYPIS.

Jak to w kilku słowach, pieśń niniejszą poprzedzających, już powiedziałem, podanie, na którym oną osnułem, jest mojem z dziecińczych lat nabytkiem. Dzisiaj w Mazowszu, gdzie je kiedyś powziąłem, zdaje się, że całkiem zaginęło; a przynajmniej mnie, pomimo najgorliwszych starań, w późniejszych czasach nigdzie się o nie dopytać nie udało. Jedyny ślad jego w tej części Polski znachodziłem tylko częstokroć w głuchej wzmiance o siedmiu wodzach, o których jednak nikt nic więcej powiedzieć nie umiał.

W innych znanych mi okolicach naszego kraju raz tylko jeden, na Rusi podlaskiej, pomiędzy Janowem a Terespołem, zdarzyło mi się spotkać z temże, jakbądź już wielce przetworzonym podaniem. Na gruntach wsi Cieleśnicy, zaszedłszy raz na oparzelisko, z powodu jakoby zapadłej cerkwi Cerkiewiskiem zwane, zastałem tam samotnie obiadującego kośca, który zagabnięty naprzód miejscowe, a potem różne podobne opowiadał mi podania. Z tych jedno, prawie co do słowa, tak brzmiało:

«Kiedyś żyło na świecie siedmiu braci, bardzo mądrych kniaziów, którzy wszystko, co się stało i stanie, z gwiazd znali. Kiedy wiedzieli, że czas ich nadchodził, kazali budować wieżę, w której pogrzebieni być mieli. Ale co mularze za dnia zbudowali, wszystko to nocą zapadało się w ztemię. I tak trwało to całe trzy lata. Po tym czasie najstarszy brat kazał ukować wielką złotą banią, w której zawarliży żywego koguta, na wierzchu wystającym z ziemi ją przytwierdził. Kiedy kogut w bani zapiał, wieża sama wyszła cała ze ziemi, a była tak wysoka, że aż o niebo się oparła. Wtedy sześciu braci wstąpiło do wieży, żeby, pokładłszy się w niej, usnąć na wieki; siódmy zaś usiadł na progu, a postawiwszy stopę na głazie przed progiem leżącym rzekł: «Skoro ten kamień urośnie mi po kolano, wtenczas będzie koniec świata.» Potem, oparłszy łokieć na kolanie, a głowę na dłoni, usnął. Wieża ta dotąd jeszcze stoi gdzieś w Polsce; ale czar na nią taki rzucony, że jej żaden żywy człowiek ani dotknąć, ani widzieć nie może. Tylko złota bania na jej wierzchu świeci się wysoko w nocy, ale między drugimi gwiazdami rozpoznać jej nie podobna. Ktoby to mógł poznać, znalazłby wieżę; a obudzwszy śpiącego w progu, dowiedziałby się od niego o wszystkim, co się do końca świata dziać będzie.»

W oddalenszej jeszcze stronie Rusi — w starożytnym Kijowie — znajdujemy znów inną, więcej jeszcze odstępującą od naszej, wersyą. Wieżę Pie-

cherskiej - Ławry wystawilo. podług tamecznego podania, dwunastu świątobliwych braci. Co przez dzień zbudowano, zapadało w nocy pod ziemię; i tak murowano przez lat trzydzieści. Przy końcu trzydziestego roku pokazał się anioł, i kazał, aby dach zrobili i krzyż stawiali. Zrobili dach, postawili krzyż, który że już wieczorem stawiany dla tego trochę skrzywiony — położyli się spać i zasnęli na wieki. Dopiero nazajutrz ukazała się z pod ziemi wieża, tak wysoka, że (podług wyrażenia miejscowego) o siedm mil ją widać. (Patrz w dziele: «Władysław, wyciąg z pamiętników nie bardzo starych, przez Aleksandra Grozę.» Tom II. str. 173.)

Nareście w Bohdana Zaleskiego poezyi «Poranek starego myśliwca» spotykamy wymienione pieśni gminne:

«O trzech zorzach, trzech krynicach.

Siedmiu wodzach»

Żałować, że nie położył w przypisku treści tej pieśni. Możeby się znalazło, że nie jest ona bez związku z naszym podaniem. Może — ktoś wie? — pokazałoby się, że wszystkie przywiedzione tu jego wersye są rozproszonemi szczęty jakiejś bohaterskiej starych Polan pieśni. Ja przynajmniej tak mam — i przelewając rzecz tę w rytmiczną mowę, czulem się przekonany, że jej powracam tylko właściwą a uronioną formę.

Siedm gwiazd, w których mi złote helmy siedmiu wodzów ukazano, należą do konstelacyi koroną zwanej, i tworzą dość regularne półkole. Ósma gwiazda widzialna, którą astronomia również do tej konstelacyi zalicza, leży od tych siedmiu więcej oddalona i nie tworzy z niemi tak wpadającej w oko całości.

Wodniki, leśniki, leśne-dziewice, przypołudnice, przywieczernice — wszystkie te dziwy gminnych wyobrażeń mają tak nieoznaczone zarysy, że niepodobna pewnych stworzyć sobie o nich pojęć. Kiedyś zapewne lud o nich więcej opowiadać umiał; dziś pozostały same prawie tylko ich nazwania, obok krótkich wzmianek, w jego pamięci. — Wodnik, czyli wodny człowiek, zamieszkiwał, a podobno gdzieś i dotąd jeszcze zamieszkuje w głębiach rzek naszych, wraz z żoną, dziećmi i rodziną swą całą. Z zielonych włosów i powierzchowności całej do topielca podobny, podobnież jemu czyha złośliwie na zgubę ludzi, którzy, w nocy osobiwie, na zamieszkane przez niego miejsca się wazą. — Leśnik, czyli leśny mąż, jest to rodzaj straszny i złośliwy dzikiego pół-czleka, pół-zwierza, hukaniem zwabiający zabłąkanych w swoje tajniki, gdzie się pastwą jego stają. (Wyobrażenie wyborne tego straszdyła znaleźć w Witoloraudzie Kraszewskiego, pieśni ósmej.) — Również niebezpieczna, choć nie tak groźna z pozoru, jest towarzyska Leśnika: Leśna-dziewica — postać i rysyruskiej rusalki i tatrzańskiej Dziwożony w sobie łącząca. — Przypołudnice i Przywieczernice, o których przyrodzie nic bliższego nie wiadomo, są to niewiasty

straszliwe, o południowej lub wieczornej godzinie ukazujące się niekiedy z lasów i tułające po polach. Z daleka tylko widzieć je można, gdyż za zbliżeniem się człowieka uchodzą i znikają w lesie. Mają być bardzo wysokie i chude, z głową obwiązaną w brudne szmaty, a w ręku noszą sierp. Zjawienie się ich przejmuje tak niewypowiedzianą zgrozą; że nabawia śmiertelną często zimnicą.

LIRYKI I RÓŻNE WIERSZE.

POWITANIE.

Z ufny^m, wzniosłym, czystym duchem
Witałem was, szranki życia! . .
Pienia wieszczów od powicia
Po nad mojem brzmiały uchem.
Wzmogło czarowne ich tchnienie
Młodego serca płomienie,
Słodycz ich mnie wykarmiła —
W ich światach myśl ma błądziła
Po nocy milczeniu głuchem . . .
Chciwy wydrzeć się z ukrycia,
Z ufny^m!, wzniosłym, czystym duchem
Witałem was, szranki życia!

I wstąpiłem w świat szeroki
Z duszą ognistą i młodą;
W sercu z wiarą i swobodą,
Pewnemi wstąpiłem kroki.
Śmiały, chciwy wypełnienia
Marzeń mojej wyobraźni;
Chciwy lubej uściśnienia,
Więńców chwały, łez przyjaźni . . .
Gotów cudne ich uroki
Płacić własnych dni pogodą,
Z duszą ognistą i młodą
Wstąpiłem w świat ten szeroki.

I poznałem świat nareście! . . .
O wy! widma mej młodości!

O przyjaźni! o miłości!...
 Gdzież jesteście? gdzież jesteście?
 W których wonne, rajske róże
 W snach mych strojny świat widziałem —
 Dla których z takim zapalem
 Wszystkiem gotów znieść był burze —
 Gdzież tkliwe serca niewieście?
 Mężka stałość, wiara gości?...
 O wy! widma mej młodości!
 Gdzież jesteście? gdzież jesteście?...

Gdzież cię szukać, boska chwało!
 Z promieniem twojem kołem,
 Co nad dawnych wieszczów czołem
 Nieśmiertelnym blaskiem lśniało?
 Dziś na wzniosłe wieszcza pienie
 Zimna pierś nie zabrzmi echem;
 Dziś na wielkich swe cierpienie
 Martwe zgraje patrzą z śmiechem.
 I gdzież ciebie szukać, chwało!
 Z promieniem twojem kołem,
 Coś nad dawnych wieszczów czołem
 Nieśmiertelnym blaskiem lśniało?...

Czczym wyrazem święta wiara,
 Kłamstwem miłość, blich trem cnota;
 Bóg — to głupców próżna mara!
 Dzisiaj Bogiem bałwan złota!...
 I wśród takiegoż plemienia,
 O nieszczęsny zapaleńcze!
 Marzenia twoje młodzieńcze
 Przyszły szukać wypełnienia?
 Zrzecz się ich! — lub gorzka czara
 Czeki na ciebie żywota!...
 W twojem sercu miłość, wiara —
 Tu wciąż, Bogiem, bałwan złota.

Precz mi! precz, chłodne przestrogi!...
 Raj, czy piekło na mnie czeka,

Ja nie zboczę z mojej drogi!
 Ja chcę żyć godnie człowieka!...
 Wy! uczucia, co zdobiecie
 Niebios blaskiem ziemskie życie,
 Choć świat cenić was nie umie,
 Ja was w sobie nie zatłumię!...
 Podły, kto dla bladej trwogi
 Waszych rozkoszy się zrzeka!...
 Ja niezboczę z waszej drogi!
 Ja chcę żyć godnie człowieka!...

Bądź! bądź ze mną, iskro święta!
 Olśnij brudne życia tonie!...
 Niech twym ogniem raz objęta,
 Pierś ma na wieki już płonie!...
 Bądźcie ze mną! czucia wieszczę!
 A choć cierń skroń mi otoczy,
 Choć mgłą śmierci zajdą oczy,
 Ja was wielbić będę jeszcze.
 Jeszcze wtedy pierś natchnięta
 Górną rozkoszą zapłonie,
 Żem do końca w mojem łonie
 Przechował cię, iskro święta!

1840.

MODLITWA

NAPISANA DLA KAROLA LEVITTOUX.

Ojcze! oto z krwawym znojem
 Siejem plon na przyszły czas.
 Wejrzyj na nas okiem twojem —
 O Boże! wysłuchaj nas.

Żadnej siejby nie puść marno!
 Każda swój niech wyda kwiat,
 Każdy kwiat obfite ziarno —
 Prosim za nas i za świat.

Kto, jako wąż podły, zdradnie
 W serca braci leje jad,
 Na skroń własną niech mu spadnie
 Twardy owoc jego zrad.

Słowa prawdy kto rozsiewa,
 By przyspieszyć słońca wschód,
 Daj mu dożyć, by do żniwa
 Zmartwychwstały powiódł lud!

Ach! nie jeden zasiew drogi
 Śpi zbyt długi w ziemi czas!
 Zbudź go! lud Cię błaga mnogi —
 O Boże, wysłuchaj nas!

Z męczenników tylu kości,
 Posianych od tylu lat,
 Niech wznijdzie drzewo wolności
 I ocieni cały świat!

TEŚKNOTA.

Tęskna pierś się wznosi,
 Łza oblicze rosi,
 Smutek myśli émi . . .
 Piersi! czem się wznosisz?
 Łzo! czem oko rosisz?
 Odpowiedźcie mi.

Pod stopy mojemu
 Perłami srebrnymi
 Stary kipi Bug;
 Jak zająrzeć w około,
 Zielony wesoło
 Uśmiecha się smug.

W złotych barw milonie
 Na niebiosach płonie
 Młodej zorzy tron...
 Mnie łąć oko wzbiera,
 Serce się wydziera
 Gdzieś, do innych stron.

Polotny, swobodny,
 Goni powiew chłodny
 Przez kwiecistą błon;
 Zewsząd mu w przelocie
 Kłonią kwiatów krocie
 Swą dziewiczą skroń.

On gna przez dąbrowy,
 Chyli lasów głowy,
 Gra po szczytach wzgórz...
 Aż gdzieś, usidlony,
 Wonią upojony,
 Zaśnie w gęstwie róż.

Czemuż niewstrzymany,
 Jak on niedognany,
 Nie mogę z nim w ślad,
 Za serca natchnieniem,
 Za marzeń spełnieniem
 Biedz w szeroki świat!

Jakżeć niecierpliwie,
 Jak bym szukał chciwie,
 W pośród ludzi złych,

Świetny ideale,
 Poczęty w zapale
 Młodzieńczych snów mych!

Za tobą tęsknota
 Dzisiaj piersią miota,
 Serce ściska żal,
 I mokra źrenica
 Łzami mąci lica
 Ciemnych Bugu fal.

MAZUR.

Hej! do koła hoże pary!
 Uściśnieniem sprzążmy dłonie!
 Zawieźmy nasz taniec stary,
 Dzielny jak duch, co w nas płonie.

Teraz z łonem zbliżcie łono!
 Połączmy technienie ze technieniem!
 Niech jednym świętym płomieniem
 Młodzieńcze serca zapłoną.

Niechaj uczuć święta wstęga
 Ochocze spoi ogniwa!
 Niech żadna ziemską potęgą
 Nigdy mocy ich nie zrywa!...

* * *

Hej! pod nogi gwiazdy, wstęgi!
 Kto się wznosić chce nad braci,
 Komu wiejskiej wstyd siermięgi,
 Bratnia wzgarda niech mu płaci.

Niech od pokus zwodnej mocy
 Ludu zbawi nas prostota;
 W sidłach świata, w błędów nocy
 Przyświeca miłość i cnota.

I niechaj ich święta wstęga
 Młodzieńcze spaja ogniwa!
 Niech żadna ziemską potęgą
 Nigdy mocy ich nie zrywa!...

MYŚL.

Na tym cudów i zjawisk niepojętych świecie,
 Jest czułodrzew, dziwotwór — czucie ma człowieka,
 A w szorstkie kory szaty ciało swe obleka,
 Stroi się w liść zielony i barwione kwiecie.
 Kwiat jego rozwiniony, lśniący lżą słodczy,
 Jak wpół z szat obnażony biały gors dziewiczy,
 Przynęca do rozkoszy, — łakome biesiady
 Siadają w nim ucztować skrzydlate owady.
 Lecz zaledwie słodkiego dotknęły kielicha,
 Kwiat, co jako rozbójnik na łup tylko czycha,
 Balsamicznym je swoim całunem obwija,
 I wonnemi uściski zdradziecko zabija.

W pełnym dziwów i zjawisk niepojętych świecie —
 Świecie ducha — jest myśli czarodziejskie kwiecie.
 Cudownie ono zdała do ludzi się wdzieczy,
 Stopionym w jedno blaskiem słońca, gwiazd i tęczy;
 A mamiące widziadła drgają w jego łonie,
 A promieniami z niego biją drogie wonie.
 To też tłumnie się przy niem zbiega na około,
 Rój chciwy dziw blizkiemi obejrzeć oczyma,

Błyszczącą jego gwiazdą ubrać sobie czoło.
 Lecz zaledwie odetchniesz z blizka kwiatu wonią,
 Żadną zaledwie dotknąć podążysz go dłonią, —
 Oto, myśl nagle strzela ramiony olbrzyma!
 W żelaznym ich objęciu skutego cię trzyma,
 Purpurowym świat cały zasłania namiotem;
 I węża dusiciela krępuje cię splotem,
 I dzień i noc cię szarpie zębami tygrysa,
 Dzień i noc jako upiór krew twoją wysysa,
 Dopóki całej duszy wreście nie wypije. —
 Myśl-upiór, życiem ofiar żywi się i tyje.

Z POEMATU: URAŃJA.

(AUGUSTA TIEDGE.)

I.

« Mir war auch ein Leben aufgegangen. »

Jak dnia goniec w wieńcu promienistym,
 Świetnie wschodził ranek moich lat.
 Na nadziei młodej licu czystém
 Rozpłomieniał jasny róży kwiat.

Niezmacone fale życia drżały,
 Purpurowych lśniące ogniem zórz;
 Górnych snów mych mary się kąpały,
 Jak łabędzie, wśród spłonionych mórz.

Rwąc ze sobą marzeń kwiat bogaty,
 Rączym prędem czas pierzchliwy biegł;
 Aż świat zdarty z złotej swojej szaty,
 Zimnym trupem przed mą myślą legł.

Wzrok badawczy wyteżam w przestrzenie —
 Z niskąd światła!.. W nieprzejrzaney mgle
 Własnych tylko mar mych blade cienie
 Majaczeją na ciemności tle.

O mgło nocy! nigdyż twego mroku
 Z młodej duszy nie rozegna nic?
 O jasności! spragnionemu oku
 Nigdyż rajskich nie ukażesz lic?...

II.

«Gott!... ein Gott!... Ach, irrend such' ich Ihn!..

Bóg! ach, Bóg!.. Błądząc szukam Go!..

W gwiazd promieniach wzroku Jego badam,
 W niebios głębi lica Jego zwę!..
 Zwę pociechy — i płacząc upadam,
 Przyrodo! w objęcia twe!

Do gwiazd głos mój niecierpliwy woła —
 O przedwieczną pyta u nich moc...
 Wszystko próżno! — i cicho do koła,
 I do koła czarna noc!...

NA ZWALISKACH ZAMKU W CZERSKU.

Po nagiem polu mgła się kłębamii przewala —
 Po nagich ścianach gór dziko gra wiatr jesienny —
 Drży dźwiękami srebrnemi białej Wisły fala —
 Z po za czarnych szmat chmur wyrzał miesiąc promienny.

I z grubej wieczornej pomroki, zarazem
 Wybiegły trzy bliźnie, odwieczne wieżyce;
 Jak kłątwy potężnej tajemnym wyrazem
 Zwołane trzy stare siostry - czarownice.
 Olbrzymie postacią — silne krzepkiem ciałem,
 Choć wieki w niem zmarszczki głębokie wygniotły —
 Na czele, od żarów słońca ogorzałem,
 Z dzikich chwastów sobie korony zaplotły.
 I czarnemi się na mnie oczyma patrzyły,
 I ponurem się ze mną milczeniem witały.

A na to powitanie, żalosne, milczące,
 Krew się młoda w mych żyłach płomieniem zażegła,
 I rozhukana serce całe zabiegła,
 I lzy do oczu pocisnęły się lśniące.
 W uszach zadźwiękły miecze i srebrne puhary,
 I pieśni rycerskie, i biesiadne gwary.
 Zabłysły pancerze i hełmy stalowe,
 I mężów postaci, wyniosłe, marsowe.
 I trąby zagrały — rumaki zarżały —
 Z czerwonych proporców błysnął orzeł biały...

Chwila — i wszystko przeszło! wszystko pierzchło zdradnie!
 I znowu cisza głucha. Tylko w dole, na dnie
 Cienistego wąwozu, białych wód głębinnie,
 Jak niegdyś, w dniach chwały, nucą pieśń ruinie.

Tylko młodego dębu krzew sierocy,
 Na starej baszty wierzchołku samotnym,
 Widny, niby chorągiew, na bladym tle nocy,
 Szeleści, wiatrem miotany wilgotnym.

O! święte to drzewo! co życie wyssało,
 Z łona nasiąkłych murów krwią i chwałą!
 O, święte to drzewo! każdy jego listek
 Wzniosłem przeszłości życiem przeszedł wszystek!...

I nagle dziwaczna, szalona, zuchwała
 Myśl-żądza mi w głowie i sercu zawrzała:
 Na baszty olbrzymiej wybiegły szczyt wnijść,
 I w pamiętce z niego zerwać dębu liść.
 I wnet dłońmi chciwemi, po szczerbatym murze,
 Po czarnych szczelinach, darłem się ku górze.

Zobaczył to wichur — co gdzieś tam bałwany
 Mgły gonił po polu — i przybiegł zdyszany,
 I zawył mi w ucho:

«Gdzież pniesz się to? gdzież?
 Od wieku nie dotknął nikt skroni tych wież!
 Mnie tylko całować wolno ich rumieńce,
 I objąć ich szyje, i pieścić ich wieńce.
 Wam, karły, zostało czołgać się po ziemi,
 U stóp mych kochanek, i korzyć przed niemi.
 Hej! dalej mi ztąd! Na ziemię mi wnet!
 Lub ci o kamienie pogruchoczę grzbiet.»

Lecz ja, nie słuchając, po szczerbatym murze,
 Po czarnych szczelinach, darłem się ku górze.

Wiatr wtedy zaryczał, i z gniewu się wściekł:
 Ostremi kleszczami za dłonie mnie rwał,
 I twarz moją zimnem, niby mieczem, siekł,
 I w oczy wilgotną zawieją mi płwał.

I w potężne ramiona swoje
 Olbrzymią basztę chwycił w pól.
 Chciał, jak nieć, zerwać ją we dwoje,
 I wraz ze mną runąć nią w dół.

Lecz gdy on się tak próżno silił, ja stanąłem
 Na szczycie już — z gwiazd koroną nad głową —

I ułamałem gałązkę dębową,
I nią, jak berłem, skinąłem.

A jako na skinienie czarodziejskiej laski,
Wicher zajęczał — i skonał w niemocy —
I po czarnym całunie nocy
Nadśłoneczne polały się blaski.

I olśniony ich zorzą, uroczą, tajemną,
W całym swoim ogromie, od końca do końca,
Obszar ojczystej ziemi, jak przed okiem słońca,
Jednym wielkim obrazem rozwinął się przedemną.

Błyszczą szerokie jezior, rzek zwierciadła —
Zielenią strojne kąpią się w nich brzegi —
Wzbiegają w niebo stromych gór szeregi —
Ciemniają wieńce lasów, jak mroczne widziadła.

Wśród pól, wśród lasów, śpią starzy rycerze,
Niezlomni w wierze, niecofnieni w kroku.
Rdza ich hartowne strawiła puklerze,
Zszczerbione miecze tulą się do boku.
Dzielne ich ramię w proch się rozsypało,
I czoło, zdobne wieńcy niewiedłemi,
I serce nawet, co tak silnie wrzało
Miłością wolnej swej ziemi ...
Wśród pól, wśród lasów klęsną ich mogiły —
Zapomniane, nieuczczone!
I tylko polne zioła skronie im uwiły
W wieńce wiecznie zielone ...

Sterczą posępne, odwieczne zwaliska,
Z ich szczytów wieją dzikich zielsk sztandary.
A wiele mówią te przeszłości mary —
Jęczeniem wichru, co się do nich wciska
Bliznami murów — okrzykiem pułacza,
Co czarne skrzydła nad niemi roztacza —
A czasem plamką maleńką czerwieni,
Co gdzieś na nagiej ścianie się rumieni,

A której śniegi, i szrony, i deszcze,
Od wieków myjąc, zmyć nie mogą jeszcze...

A po nad lasy, po nad wód strumienie,
Po nad zwaliska, po nad strome góry —
Jak sokół, kiedy polotnemi pióry
Pod jasnem niebios sklepieniem szeleści —
Brzmi stare, smętne, nieuczone pienie
Dawne, urocze, cudowne powieści.
O rzadkiej dzisiaj dziewiczej piękności,
I rzadszej jeszcze pięknych dziewic cnocie,
I rzadszej jeszcze statecznej miłości.
O męskiej młodzi rycerskiej ochocie —
O wielowładnych starych czarownicach,
Duchach, zaklętych po pustych zamczyskach,
I o strasliwych, ziemiących zjawiskach,
O niezbadanych grobu tajemnicach...

Brzmi pieśń — a wiatr ją co dnia kradnie z woni,
Mgła co dnia świetne objada z niej farby —
I piosnka coraz, coraz słabiej dzwoni.
Wreście, unosząc mnogie z sobą skarby,
I sławę ludu, co ją poczał w łonie,
Leci w bezdenne zapomnienia tonie...

O, pieśni! i wyż tak w przepaść leciecie!
O, pozostanie!... klątwy najświętszemi
Dajcie się wstrzymać! w złej doli tej ziemi
Nieopuszczajcie, co wam dała życie!

I niech zamków kolosy potężnych
Połknie głębin mokrych wieczne łoże;
Niechaj ostatnie mogiły mężnych
Pług, z pancerzów ich skutu, rozorze —
Niech zginą! wy byleście zostały —
A rozpacz od serc naszych pozostanie daleko,
Łzy nie uronim po pomnikach chwały.
Bo gorące piersi waszych mleko —

Niby kropla piorunowej rosy —
 Boskie, ludzi przetworzy w pół-bogów.
 A ludzie wtedy staną jak kolosy,
 I stać będą na straży swych progów.
 A piorunami będą ich ciosy —
 I nowe się pomniki wzniosą: groby wrogów!

1840.

W IMIENINY W IMIONNIKU.

Gdyby każde życzenie ważyło przed Bogiem,
 Świat biłby tobie czołem — głowa twoja młoda
 Jaśniałaby koroną — jak Indów pagoda.
 Cała perły i złotem lśniła byś się drogiem...

Mamżeć powtarzać słowa czeze, użyciem starte?...
 Ach! słuchaj głosu serca, chroń je od zepsucia,
 Nie daj minąć młodości bez kwiatu uczucia —
 To życzenie nad tamte wszystkie więcej warte.

Z niem spełnionem przebiegniesz czysta i szczęśliwa
 Po skażonego świata błotnistej topieli.
 A jego wypełnienie w woli twej spoczywa —
 Chciej — niebo łaski udzieli.

ZACHĘCENIE.

Jeżeli prawdy pragnienie cię pali,
 I czyzy jej pozór starczyć ci nie może,
 To cóż się wzdrygać? Śmiało rzuć się w toń!
 Jak majtek, kraju złota co szuka po fali,
 Po niezmierzonym uczuć i myśli przestworze
 Za światłem prawdy wiekuistej goń.

Wszak majtek, gdy się burza podniesie z otchłani,
 Napotka wyspę, schronę w jej przystani.
 I śmielszy żeglarz, co w powietrzu wzbity
 Z wiatrem mknie, jak meteor, po niebieskim sklepie —
 To gór mu lodowate towarzyszą szczyty —
 Okiem — choć sercem na nich spocznie w pustym stepie.
 I pielgrzym, co Afryki przepełza pustynie,
 W pośród cienistej znajdzie spoczynek oazy . . .
 Lecz nad Afryki piaski — mórz, nieba głębinie,
 Ocean myśli, uczuć straszliwszy sto razy.

Kto żagle duszy raz na nim rozwinie,
 Raz na jego bezdenne, grzmiaące fale wpłynie,
 Próżno by pragnął w drodze odpocząć na chwilę —
 Aż u celu, lub w mogile.

Straszliwa droga! . . W niej twe chrzestne szaty
 Białe, jak noc się zbrudzą, popadają w szmaty.
 Ostatnie twej spuścizny rodzicielskiej szczątki,
 Któreć na szyi matki zawiesiły ręce,
 Których blask zdołał oczy cieszyć niemowlęce —
 Ty sam odrzucisz w przepaść te święte pamiątki.
 A może, skołatany bezustanną burzą,
 Kiedy piersiom tchu zbraknie, ramiona się znużą,
 To nim brzeg pożądany żrenica zobaczy,
 Sam o skały gdzieś czaszkę roztrzaskasz w rozpaczy . . .

Strasliwa droga! . . . A któż powie jeszcze,
Co znajdziesz, spragnionego gdy dopłyniesz celu?
Może tam, dokąd dążysz tak pełen odwagi,
Ufny, że ujrzysz jakiś świat uroczy,
Przed okiem duszy twojej nagle się roztoczy
Jakiś obszar bezduszny, zakrzepły i nagi,
Mroźne tchnienie na wieki zmrozi sny twe wieszce? . . .

Może! . . . Otóż okropna, bezdenna wątpliwość,
Młodzieńczego zapału zdolna zgasić żywość.
Wybór tu się zda równie fatalny jak trudny.
Cóż wybrać? Czyli znosić byt powszedni, nudny,
I bez wiedzy o sobie, chowając ze drżeniem
Oczy przed każdym prawdy wschodzącej promieniem,
Przewionąć do nicości długie życia lata,
Jak ten marny liść zwiedły, którym wiatr pomiata?
Tłuc się, jak los rzucony do wielkiego koła? . . .

Och, nie! lepiej zaiste, choć z sercem w żalobie,
Lecz którem żadna trwoga zachwiać już nie zdoła,
Iść do grobu, po ziemi, tym olbrzymim grobie,
Jak mąż, ciernie i kwiaty deptając wśród drogi;
A kiedy przeznaczenia twardy głos powoła,
Śmierć znieść jak życie, bez łez i bez trwogi . . .

Środka tu nie masz. Więc, gdy żądza pali,
Gdy ci czczy pozór wystarczyć nie może,
Czegóż się wzdrygać? Śmiało rzuć się w ton!
Jak majtek, kraju złota co szuka po fali,
Po niezmierzonym uczuć i myśli przestworze
Za światem prawdy wiekuistej goń.

DO LISZTA.

(IMPROWIZACYA.)

Cześć ci! władzco, mocarzu,
 Nad harmonii państwem tajemniczem!
 Na burzliwych chmur ołtarzu —
 Z płynącym błyskawicą zapалу obliczem...

* *

Jakiż to dźwięk — rozuzdany, szalony?...
 Nie! struny nigdy brzmieć nie zdolne tak!...
 Odgadłem cię, czarnoksiężniku!
 To chór szatanów, czarami zamknięty,
 Wstał na strunach na twój znak,
 I wyje posępny swój śpiew!...
 Piekło całe w tym niesfornym ich krzyku —
 Każdy ton potępienia brzmi echem,
 Jękiem męczarni, rozpaczy śmiechem,
 Iskrami ognia parzy, gotuje w żyłach krew...

Ha! Czy słyszycie?... Wicher dziko wrzasł —
 Czarnemi nocy otoczony straszydły,
 Szatan burzy nad ziemią ciężkimi zwiśł skrzydły.
 Słyszycie dębów druzgotanych trzask?
 Szum olbrzymich jodeł?... Ach!
 Otóż grom nad głową mi trzasł...
 Noc — zgiełk — zamęt — blask —
 Zgroza — strach!...

I patrzcie! Przez gęstwiny, piorunami podarte,
 Wyniosłych puszczy drzew, w akordów koronie,
 Olch stary król wychyla białe skronie.
 I pieśnią cudowną eolskich harf brzmi —
 Groźbą grzmi —
 I szeroko ramiona wyciąga rozwarte,
 Serce ciśnie w ziemiące swe dłonie...

Trwoga — szal — zgroza — pijaną zgrają
 Po czasce, po sercu pląsają.
 Wichrem tonów duch porwany,
 Niby dziki rumak w stepach,
 Wirowym pędem gna przez mrok zamętu.
 I na przemiany:
 To raz, rad by na wszystko jednym gromem cisnąć,
 Strzaskać do szczętu,
 I rozśmiać się na ziemi strzaskanych czerepach.
 To znów, rad by świat cały do serca przycisnąć —
 Ale tak silnie, że granit by pękł,
 Tak ogniecie, że dyament by zmiękł...

Cześć ci! ogniem piekła ziejący,
 Burzą, trwogą, grozą grzmiący,
 Szalony i dziki
 Szatanie muzyki!...

* * *

A to? Czyliż stróp nieba zarwał się przejrzysty,
 I gwiazd jasnych deszcz złocisty
 Dźwiękami srebrnymi
 Opada do ziemi? ...

To rój aniołów, na skrzydłach ze zórz
 Niebieskich, w wieńcach z niebieskich róż,
 Schodzi na ziemię barwną wstęgą tęczy
 I miłości pieśnią dźwięczy.

A po złotych skrzydeł ich drabinie
 Duch ku górze wstępuje — i na krańcach świata,
 W nieogarnionej wieczności krainie,
 W wiekuistej harmonii koło się zaplata.
 Aż wszystkie, wszystkich światów niezliczonych burze,
 I wszystek dźwięk rozkoszy w cały świat rzucony,

Obejmą go i splączą swojemi ramiony.
 Aż cały utonie
 Miłością w boskiej naturze,
 I cały życia świat tchnie w jego łonie...

Cześć ci! z świętą uczucia wstęgą koło skroni,
 Z promieniem nieśmiertelnej miłości na czele,
 Boski aniele
 Niebieskiej harmonii!...

* * *

A gdy z pod rąk twych potopem wylewa
 Czarodziejskich tonów deszcz,
 To widno, jak ich burzą łono twe nabrzmiwa
 I po licu natchnienia jak przebiega dreszcz.
 Widać, jak każde uczucie
 W sercu wieszczą żar wprzód nieci —
 Z ocz jego świeci —
 Aż w uskrzydłonej, czarodziejskiej nucie
 Wcielone wzleci.

Ty nie samem mówisz brzmieniem —
 Pieśń dogrywasz ocz płomieniem —
 Trzęsiesz serca twojem drżeniem —
 Wiejesz w dusze twojem tchnieniem.

Cześć ci! namiętnych uczuć potępieńcze!
 Miłość tobie! bracie zapaleńcze!...

W KSIĘDZE PAMIĄTEK N. B.

Księga pamiątek!.. dziwne to zjawisko!
 Czem dziś jesteśmy dowód nieodparty.
 By nie zgnieć w zapomnieniu, papierowej karty
 Prosić musim, by nasze chowała nazwisko.

Za dawnych czasów inny zwyczaj był.
 W sercu, zgnilizny zimnem niezatrutem,
 Przyjaźni, albo trwalszem nienawiści dłutem
 Imię swoje człowiek rył.

Dziś my ze sobą żyjem jak widziadła,
 Nie czując siebie. Moc życia przepadła;
 A co nam zda się żywych uczuć śladem,
 To jest jedynie ich szyderstwem bładem.

Złoty miłości gdy nie starczał wątek,
 Ludzie, żelazny wymyślili ślub;
 Prawem, prawości przytłoczyli grób;
 Z potęgi wspomnień, szydzą księgami pamiątek!

Niech słowa me, wmieszane w ten napisów zbiór,
 Będą jak cierpki owoc po uczcie wytworniej;
 Jak wtrącony w rozkoszny harf i fletów chór
 Dźwięk kobzy Mazura niesforny;
 Lub jako sosna, co się pnem omszonym
 Rozrośnie w kłębie kunsztownie sadzonym.
 Pani ogrodu zostaje do woli
 Precz ją wyrzucić z przywłaszczonej roli.

DO F***.

Jak dąb, co w naszych puszczech szumi czołem wzniosłem,
 Ja tak duchem niezgięty, jak on dziki wzrosłem.
 Wzrosłem żyjąc z przyrodą, tehnąc jej tehnienie czyste,
 Ssąc jesiennych poranków piersi chłodne, dżdżyste,
 Słuchając pieśni wichrów, groźnych hymnów burzy,
 Piorunu, co jej yciom przeraźliwie wtórzy.

I ty chcesz, bym wraz z tobą, w ciasnem świata kole,
 Z kłamanem słowem w ustach, uśmiechem na czole,
 Błądził, żebrak na wdzięczne słówka i uśmiechy!
 Ty myślisz, że ja waszej poziomej uciechy
 Znikomemi dźwiękami ze szczeniem zagłuszę,
 Ten smutek, który owiał całą moją duszę —
 Smutek mój, jak łza żalu anielska, tak święty,
 W cichych nad losem braci rozmyślach poczęty.
 Że czyży blask ich odpłoszy anioła dumania,
 Co cieniem swoich skrzydeł czoło me osłania!..

I dziwi cię, i gorszy, że tak mądra rada
 Niby ziarno na niwę kamienistą pada,
 Że nie spieszę z wdzięcznością uściskać twej ręki.
 Tak żeś pewien, że za nią winienem ci dzięki?

Za dawnych czasów prawo okrutne istniało,
 W ciasnego sprychy koła wplatać człeka ciało.
 Przenieś się wyobraźnią przed taki czyn krwawy.
 Pomyśl: rwące się żyły, wybijane stawy —
 Drące się ciało — kości łamane z łoskotem...
 Wzdrygnąłeś się, i bledniesz! Otóż, wiedz że o tem,
 Że tyś mnie na podobne wskazać rad katusze.
 Bo, wierz mi, nim samotną, niepodległą duszę
 W pęta ugiąć byś zdołał, to wpierw ona cała
 Tak by, — ach, stokroć srożej! łamać się musiała.

Przestań więc rad, do których nigdy się nie nagnę.
 Zostaw mnie. Jakim jestem, wiecznie zostać pragnę.
 A sam, jak ci najlepiej, śpiesz, żyj, póki pora,
 Póki cię nienawiedzi błada śmierci zmora.

OGNIA!

(IMPROWIZACYA.)

Ziemia martwa — ziemia skrzepla...
 Młode życie by jej wrócić,
 Jarzmo lodów by z niej zrzucić,
 Nie dżdżu łez, nie westchnień ciepła —
 Ognia trzeba! ognia trzeba!
 Z piekła, gdy nie można z nieba.

Potrzeba pieśni rozpaczy,
 Straszliwej, jak bezdeń piekła,
 Co by pierś ziemskich tułaczy
 Dopóty kęsała wściekła —
 Póty, aż plemie skarłałe,
 Od bólu wściecze się całe.

Aż ta wściekłość, w kształt piorunu,
 Spróchniałym zatrząsie światem,
 Krwi go omyje szkarłatem...
 Piorunu trzeba! piorunu!
 Niech pół świata w proch obróci,
 A niech reszcie wolność wróci!

GITARA.

(Z niemieckiego.)

« Wieder tanzt im Mondenschein
« Mein Nachen bei ihrem Fensterlein... »

Znów, w złotym blasku miesiąca,
Pod jej oknem łódź ma mknie.
Srebrnym szumem fala drżąca
W niespokojnym gwarzy śnie.
Niebo od nocnych płonie zórz —
Lecz gitara nie brzmi już.

Przez zielonych liści zwoje,
Z za róż wonnych gęstwy tej,
Niegdyś gwiazd uroczych dwoje,
Oczy mi błyszczały jej.
Dziś liście zzółkły — zwiądl kwiat róż —
I gitara nie brzmi już.

Tam, w cyprysów gęstych mroku,
Na modlitwę dzwony zwą;
U ołtarza, w lubej oku,
Z pod zasłony łą się lśnią.
Ja łzami mącę fale mórz —
I gitara nie brzmi już!

SNY I ZBUDZENIA.

«Życie — sen.» Stare słowa, głośnie na świat cały.
 A wiele w nich uroku — i prawdy — z pozoru!
 Czemuż tylko z pozoru? Czemu nasz nietrwały
 Byt nie jest snom podobny, co z mrokiem wieczoru
 Skowanej wyobraźni rozwiązują skrzydła,
 I duszy, całodziennem zbolącej cierpieniem,
 Stawia siódmego nieba cudne malowidła?...

Życie nasze jest długiem, ciąglem z snów budzeniem.
 Każdy dzień nowy dalej, co raz dalej, płoszy
 Widma, co nam pić dają z złotych czar rozkoszy;
 Dla tego też dzień każdy, co został za nami,
 Pamięć krwią w sercu znaczy i gorzkimi łzami.

Sny, i pokrewne z niemi mary wyobraźni,
 Dane nam, jak zabytki niebiańskiego mienia,
 Jak kropla miodu, w puhar puszczonego cierpienia —
 Lub — może — jak narzędzia okropniejszej kaźni.
 Bo każde z nich zbudzenie, srodze i niewczesnie,
 Wszystkie nasze uczucia rozrania boleśnie.
 Lecz, zaiste, najkrwawiej zśród tysięcy ludzi
 Płomienista się dusza z snów młodości budzi.

Cudne są dni młodości! Wtenczas człowiek prawie
 Cały żyje w rojeniu, cały śni na jawie.
 To też życie tak błogie w pierwszym wiosny kwiecie,
 Że pewnie i na drugim mało lepsze świecie.

Wtenczas z ogniska duszy, przez jasne źrenice,
 Jaskrawa luna złoci ziemskie okolice.
 A w jej blasku twarz każda tak pełna zapалу,
 Świat się cały w olbrzymich takich kształtach widzi,
 Że się własnej małości człowiek przy nich wstydzi
 I ducha do wielkości dźwiga ideału.

Cudowne są te chwile! — zbyt krótkie niestety!
 Oto świat cię zimnemi dłońmi swemi chwyta,
 I szydnym śmiechem grobu zapaleńca wita.
 Anioły uczuć w martwe mienia się szkielety —
 Za wrzącą, szczerą miłość, grono młodej braci
 Gorzką ci, niespodzianą, podłą zdradą płaci —
 A miasto nienawiści otwartej i wzniosłej,
 Trujące zielska pełznąc u stóp twych rozrosły.

I pod zabójczem technieniem tych zawodnych wrażeń,
 Jak łód pod słońcem, łzami taje świat twych marzeń.
 Wszystkie twe sny w powolnej znikają kolei,
 Unosząc z sobą skarby wiary i nadziei.
 A gdy wszystkie minęły — to na pożegnanie
 Z ostatnim łez i westchnień nareście nie stanie.

Wtedy czarna nieufność, niby pajęczyna,
 W koło serca się grubym całunem rozpina.
 Wtedy ni męskiej dłoni przyjazne uściski,
 Ani oka piękności czarodziejskie błyski,
 Ni dźwięk słodkich zapewnień już się doń nie wciśnie;
 Nic w niem już grobowego nie przerwie milczenia —
 Uścisk, i dźwięk słów miłych, i urok spojrzenia
 W nieprzeniknionej sieci bezwładnie zawisnie.

Tak życie się zamienia w powolne męczeństwo.
 Wtenczas, do jednych z ulgą przybywa szaleństwo —
 Drudzy, by przed szarpiącą schronić się rozpaczą,
 W tajemną przepaść śmierci samowolnie skaczą.
 Lecz są mężni, co dusza choć już z snów zbudzona,
 Choć się szczęścia marzenia rozwiały w nicości,
 Dźwigają ciężar życia. Wtenczas ty, wielkości!
 Przyjmujesz ich w swe świetne, lecz chłodne ramiona.

I potęgą prawości wtedy człowiek zbrojny,
 Z uroczystym spokojem na zboląłem czele,
 Silny zaprzaniem siebie, występuje śmieie,
 Przeciw błędom i światu gotowy do wojny.

I wszystko ścierpieć zdolny, byle swym przykładem
Niebiańską miłość prawdy w braci swej rozniecił;
Byle by znowu, wieków przeminionych śladem,
Stoickiej cnoty promień na ziemi zaświecił.

A trwoga z przed ócz jego tak ucieka zdala,
Jako od stóp opoki rozbryzgniona fala;
A zatrute pociski potwarzy i wzgardy,
Jako trzcina, o umysł druzgoczą się twardy.
I chociaż świat go żółci napoi kielichem,
On na świat nigdy słowem nie ciśnie przekleństwa;
Jako Chrystus katownie zniesie sercem cichem,
I jako Chrystus z krzyża śle błogosławieństwa.

Ale w sercu, z żądz tylu którei gorzało,
Z roju nadziei, w dniach wiosny co tak błogo łudzi,
Jedna nadzieja, jedno życzenie zostało:
Zasnąć snem, z którego już nic więcej nie zbudzi.

ROZKOSZ I BOLEŚĆ.

Jeżeliś szczęśliwa — nie zajrzę ci wcale,
Nad nieszczęśliwą — ja się nie użalę;
Bo, jak dziecięcia, mej stalonej duszy
Uśmiech zarówno ze łzą nie poruszy.

Rozkosz i boleść — jak światło i cienia —
Jak ciepło, zimno, — to czeze tylko brzmienia.
Każda z nich, własnem nie istnąca życiem,
Jedynie drugiej istnieje odbiciem.

Jeżeli zdołasz, zapomnij na chwilę
Pojęć od ludzi wyuczonych treści;

A teraz okiem rzuć po ziemskiej bryle,
I rozdzieli miana: rozkoszy, boleści!..

Rozkosz cudownie z razu serce poi,
Wonią i blaskiem cudownie dni stroi;
Aleć zaledwie człowiek doń przywyknał,
Cała jej błogość, urok cały zniknął.

Blask jej z dniem każdym przyświeca mniej jaśnie,
Ciepło niebieskie coraz bardziej gaśnie;
Wreście, pierś zimnym przygniata kamieniem —
Wczorajsza rozkosz staje się cierpieniem.

Boleść, straszliwie z razu serce toczy,
Gorzkimi łzami z razu oko broczy;
Lecz skoro człowiek raz do niej przywyknie,
Cała jej srogość, ciężar cały niknie.

I z czasem, w serce tak się ona wpije,
Że z nią człek lubo, jak z kochanką żyje;
I jak z kochanką, tak chętnie się pieści,
I jak w rozkoszy smakuje w boleści.

Ja sam, co jeszcze przed niedawnem latem
Takem się silił, by boleść odegnać
Od młodej duszy — dziś, snadniej ze światem
Przyszło by mi się niżli z nią pożegnać.

I gdyby dzisiaj samo szczęście wasze
Do ust mi swoją nachylało czaszę,
To ja bym dłonią odtrącił ją hardą,
Jabym ją zdeptał z uśmiechem i z wzgardą...

Rozkosz i boleść — jak światło i cienia —
Jak ciepło, zimno — to czcze tylko brzmienia.
I ten szalony, kto za pierwszą goni,
I ten szalony, kto się drugiej chroni.

NA ZWALISKACH ZAMKU W BIAŁY.

Spróchniałe stropy trzeszczą, po salach wiatr zimny,
 Gość nieproszony, huczne wyśpiewuje hymny.
 Wyniosłe świerki wichher gniew z szumem ku ziemi.
 Stare, zczerniałe baszty, pełne blizn i szczerb,
 Chwieją w groźnych pokłonach szczytami siwemi...
 A na czele zameczyska, w koronie, co herb
 Rzeźbiony wieńczy, siadł puszczyk — i gwiazdą
 Lśniących oczu migocąc, jak wilk w głębi kniej,
 Śmieje się w głos z człowieka, co mu takie gniazdo
 Wygodne stworzył...

Śmiej się ptaku! śmiej!

Wkrótce te herby, wkrótce te korony,
 Runą — i w druzgi, i w proch się rozbryzną.
 I po nocy, po burzy, dzień opromieniony,
 Braterstwa i swobody spokój niesklócony,
 Błyszczą nad naszą ojczyzną...

NAPIS NA GRÓB SAMOBÓJCZY.

Spragniony, chciwie czarę życia piłem —
 Tyle piołunu! słodczy tak mało!
 A gdy ni jednej kropli jej nie stało,
 Sam próżną czaszę bez żalu rozbiłem.
 Rzucać zaś na mnie płochy sąd, nie tobie,
 Któryś rwącego nie przebył potoku!
 Byś, miecąc kłatwę na mym dzikim grobie,
 Sam na się nie dał wyroku.

JODŁA.

Wietrzno i pusto na brzegu twym, Wisło!
 Wietrzno — i pusto — i chłodno, jak w trunie...
 Nad ziemią, białą, niby trup w całunie,
 Jak całun jaki białe niebo zwisło.
 Las, mroźnym wichrem odarty z zieleni,
 Drzew się gałęzmi czerni, rosochaty,
 Jak dzika trzoda rogatych jeleni —
 I jęczy głośno zrabowanej szaty...

O! jakże lubo! za tym larw orszakiem,
 W bezwładnej zimy milczącej dziedzinie,
 Kiedy przed oczy nagle, życia znakiem,
 Jedna zielona gałąź się wywinie!...

Twoja to gałąź, upiętrzona jodło!
 Tyś, jako wawrzyn, wieszczęj chwały godło,
 W około ciebie choć wszystko zwiędniało,
 Nietknięta tchnieniem zagłady anioła;
 Tobie, jak laurom — ach! bardziej, przystało
 Obwijać wieńcem ich natchnione czoła...

Bo laur, syn cudnej południa krainy,
 Lśniący i gładki, jako liść wierzbiny,
 Dziko odbija z bladego ich czoła,
 Jak na pogrzebnie muzyka wesola.
 A twoje wieńce, córo naszych kniei!
 Żałobne, twarde, kolące jak ciernie,
 Jakżeb wymownie, jak mówiły wiernie,
 O wieszczych losów męczeńskiej kolei!...

Prawi poeci są jak pelikany —
 Sami swe piersi rozdzierają własne,
 I zowią ludzi, z ich czerwonej rany
 By krwi gorącej pili strugi jasne.

A ludzkość? ... śmiechem urągania płaci
 Święte ofiary swej natchnionej braci,
 I, samotników w twardą śmierci chwilę,
 Bez łyzy współczucia oddaje mogile...

Jodło ojczysta! tyż, dusza natchniona
 Złodowaciałe gdy łono opuści —
 Grób przyjmie trupa w swe ciemne czeluści —
 Tyż zaszum chociaż — i w niemej żałobie
 Roztocz swe długie, piętrzone ramiona
 Na samotnym wieszczą grobie!...

PIEŚŃ JESIENNA.

Chłodny blask nocy, drżąc, cicho spoczywa,
 Na żółkłych czołach pochylonych drzew.
 Jesienny wichur żałośnie wygrywa
 Po ich gałęziach swój posępny śpiew,
 I pełną dłońią zwiędły liść obrywa.

O, zawyż wicherze! potężniejszym tchnieniem
 Rozbudź gwarzący sennym szumem bór!
 Niech się rozgłosnem ozwie smutku pieniem...
 Zawyż!... na dziki, niestrojny twój chór
 Pierś moja zgodnem odpowie ci brzmieniem.

Smutno! dni uczuć, w tęsknej samotności,
 Gdy mkną bezdzielne do wieczności fal,
 Nieuzłoczone promieniem miłości!...
 Żal niespełnionych marzeń serca — żal
 Chwil niepowrotnych natchnionej młodości!

Złoty miłości śnie! wiecznież przede mną
 Pierzchać tak będziesz, — jak przed rankiem mgły? ...
 Ledwieś mi zabłysł, oto znów w noc ciemną,
 Jak liść cię zwiedły wiatr gdzieś odwiały! ...
 Powróć, ach, powróć! i raz zostań ze mną!

DO MŁODEGO POETY.

Czarowna laska cudów złożona w twem ręku,
 W piersiach twoich zdroj bije nieprzebranych pieśni —
 A oto, w koło ciebie świat męczarni i jęku.
 O! wieszczu młody, nie bądź że jak dziecko,
 Co na wezglowiu marzeń lata całe prześni,
 Przeigra w wyobraźni malowanym świetle.
 Niech pieśń twoja nie będzie jak w cieplarni kwiat,
 Strojny blaskiem harmonii, wonią słownych szat,
 Co mu całą zasługą, że chwilkę popieści,
 W porze niedługiej wiosny, płochy wzrok niewieści —
 Ale niech będzie kwiatem, co się w owoc zmienia,
 I przejdzie w krew i życie przyszłego plemienia.

A plon taki by dało i nie przeszło marno,
 To na rodzajną niwę trzeba rzucać ziarno.
 Więc, nie w ściany z marmuru, nie w złote podwoje,
 Nie w złotem lśniącego tłumy pieśni masz nieść swoje.
 Bo tam piosnka poety, w jednej z sukni mierze,
 Oklask wedle nowości a wabności bierze;
 Bo tam pierś każda zimna, nieplodna i pusta,
 Serca zważyły mrozy, stoczyła rozpusta —
 Toż pieśń młoda, gorąca, czemu tam zawładnie?
 Tylko jak kamień w przepaść bez echa przepadnie!

O, wieszczu młody! inny tobie świat
 Przyszał — świat niskich, pochylonych chat.
 Tam sercem wiecznie młodem lud przyjmie twój śpiew.
 Wiecznie młodem — bo razem z mlekiem, co się sączy
 W pierś jego z łona matek, stara pieśń się łączy,
 I na wiek wieków chroni od spleśnienia krew.
 Tam oklask, końca twojej nie zgłuszy piosenki,
 Ni z zapалу niezgrabną zbudzą cię pochwałą;
 A tylko za nagrodę, za podziękę całą
 Uczujesz jeden długi, niemy uścisk ręki,
 Co ci żarem po nerwach pobiegnie do duszy,
 Aż ci łza jakaś dziwna źrenice zapruszy —
 Łza, córka ojca bólu i matki radości...
 Radości twego serca i bólu twych kości!

Tylkoż, jeśli wywołać uścisk taki chcesz,
 To w szpalery wzorzyste słów twoich nie krzesz;
 Ale krzesz sercem w serce, jak krzemieniem w stal,
 I jak iskrami próchno, tak słowami pal!
 Wieszczom złoconych komnat zostaw dziki wzgląd
 Obchodzić na wpół ze czcią stary, zgniły błąd;
 Ty — rzuć mu śmiało w oczy garścią obelg pełną.
 A prawdy nie spowijaj, by szklanej bawełną,
 Ale w wieczny z nią związek poślubuj twój głos.
 Głos twój zaś, niechaj będzie jak siermięga prosty,
 A tak twardy i ostry, jak ostrza tych kos,
 Co z równin naszych tępią wybująłe osty...
 To choćby każde z słów twych jak żmija raniło,
 I jako piołun w uściech gorzkim w uchu było,
 Przecież każdy je z taką powita pociechą
 Jak w noc bezsenną kura przeraźliwe pianie,
 Gdy, trzepocząc skrzydłami nad skopconą strzechą,
 Krwawej na niebie zorzy okrzyka świtanie!

Bo pieśni wieszczów w narodzie, są tak,
 Jako w człowieku bywa serca bicie:
 Co razem w ciele utrzymuje życie,
 I o życiu daje znak!

ANIOŁ - NISZCZYCIEL.

Moje tchnienie nie woń,
 Nie gwiazdy mi skroń
 Jaśniejacem obwiodły kołem.
 Mój oddech, siarczysty —
 Mój wieniec, ognisty —
 A przecież jam jest aniołem.

Nie anioł, co leci,
 W pieluchach mdłe dzieci
 Rajskimi snami koleba;
 Sieje miłość, zgodę,
 Wiąże serca młode,
 I dusze unosi do nieba. —

Jam anioł-niszczyciel,
 Jam anioł-czyściciel,
 Jam złego mściciel i wróg! . . .
 Mnie, gdy czas nadchodzi,
 Nim świat się odrodzi,
 Na ziemię śle Bóg.

Miecz niosę w prawicy,
 Pochodnię w lewicy,
 W gromach oblatam świat;
 Na imię mi: biada!
 Śmierć, zgroza, zagłada
 Biegą mi ślad w ślad.

Ja tchnę w piersi ludzi —
 W piersiach żar się zbudzi,
 A ręce im całe krwią ściekną:
 I będą się żarli,
 I będą się darli,
 Jak wilcy, gdy z głodu się wściekną.

Ja, kędy przelecę,
 Skier rżęsny deszcz miecę —
 Skry to niczem niezgaszone!
 Aż wszystko wypalą,
 I to tylko ocalą,
 Co takie niebieskie jak one.

Pychy dzieci wszeteczne!
 W głupstwie swoim bezpieczne!
 Oto przyszedł wasz czas.
 Wasze własne na głowę
 Zamki wam marmurowe
 Runą i pogrzebią was.

I władczyni wnet nowa,
 Okropności królowa,
 Gruz ze stolic waszych zasiędzie.
 Z pośród ciszy, grobowa
 Szydersko z ruin sowa
 Z potęgi się waszej śmiać będzie.

Hej! ludzie! ja lecę,
 Ogień wszędy miecę;
 Bo by się przyjął siew nowy,
 By wyczyścić pole,
 By zniszczyć kąkole —
 Wyplenić plon trzeba niezdrowy.

Nie drżycie, nie klnijcie,
 Głów waszych nie rwijcie,
 Że spłoną wam pola i włości;
 Za krótki strach, głód,
 Wy, i cały wasz ród,
 Lichwę odbierzecie w przyszłości.

Hej! burze wy! — gromy!
 Grady! wichrze łakomy!
 Dalej za mną w ślad!...

Hej ognie i wody!
 Mory, wojny, niezgody!
 Za mną na świat!...

Ja anioł-niszczyciel!
 Ja anioł-burzyciel!
 Anioł-zbawiciel!...

WIESZCZ.

Tys częstką bóstwa, tys Bóg w twojem niebie,
 I świat przed tobą odkryty jak przed nim.
 S. Goszczyński.

Potóż mi dane skrzydła sokole,
 Bym wciąż po ziemskim pełzał padole?
 Potóż mi dane orle źrenice,
 Bym wiecznie poglądał niemi
 Na czarne zbrodnie, na klęski ziemi,
 Na żółkle cierpieniem lice?...

Do góry głos mnie przyzywa natchnienia,
 Pójdę za jego głosem!, ufny w jego moc,
 Przemknę niebiosą, i przeznaczenia
 Straszliwą przebiję noc.

* * *

I oto, bujam już — wysoko, swobodnie,
 Jasnem błękitu opasany kołem.
 Słońc tysiące nad mem czołem
 Świecą pogodnie.
 A ziemia cała pod stopy mojemu!
 O złociste wierzchołki pomników jej dumy

Kał jej z nóg mych obcieram — osłupiałe tłumy
Gonią za memi ślady oczyma złękłemi.

GŁOSY Z ZIEMI.

Dokąd?! dokąd?! — Opętany!
Ślepy zapał gdzież cię garnie?
W świat niezmierny, w świat nieznany,
Za snem lecisz zginąć marnie.

Zbłąkany w zamętu nocy
Skrytej drogi nie odgadniesz;
Wątlých piór nie starczy mocy —
Biada tobie! — Spadniesz! — spadniesz!

* * *

Groźby daremne, — trwoga daremna!
Nic nie zmorduje skrzydeł mej wysokiej żądze;
Choć droga straszna, niezmierna, tajemna,
Ja nie zabłądzę!

Bo przedemną miłości gwiazda jaśniejąca
Nadśłoneczną zorzą płonie.
Ona mnie przeprowadzi wpośród gwiazd tysiąca,
Przez nieścigłe niebios tonie,
Tam, gdzie u tronu Przedwiecznego boku,
Goreją światła prawdy niewygasłe fale.
Tam ja, w ich złotym potoku,
Pochodnię myśli zapalę;
I z nią leniwe wyprzedziwszy wieki,
Zamglonemu ludzi oku,
Odsłonię z długiego mroku
Ich jestestwa cel daleki.
A jego widok, gdy w ich serca sennych
Iskrę zapału roznieci,
Moja pochodnia ścieżkę im oświeci
Pełną przepaści bezdennych!...

* * *

Zagrzmiało, zaszumiało, zawyło w przestworze —
 To burza! — Na chmur rydwanie,
 Przez szklanne powietrzne morze
 Goni na moje spotkanie.
 W ręku snopy gromów trzyma,
 Trzęsie ostremi ich groty,
 Błyskawic razi oczyma,
 Głuszącemi grozi grzmoty.
 I rycząca w gniewie wściekłym,
 Zawisnęła ponademną;
 Rozwarła paszczękę ciemną,
 Ozionęła mię tchem spiekłym.

A ja, spokojny — wzrok nieulekniony
 Zatopiłem w jej łonie klęskami nabrzmiałem;
 Niszczącą jej potęgą zewsząd oskrzydłony,
 Ja niezadrżałem.

Duchu ciemności! darmo twój posłaniec
 Drogę mi światła w swej zgrozie zabieżył,
 Z chmur olbrzymią zaporę pioruny najeżył —
 To za słaby dla mnie szaniec! ...
 Uderzyłem — i jako o skałę granitu,
 Grube chmury o pierś mą rozdarły się śmiałą.
 I wpłynąłem, zwycięstwa otoczony chwałą,
 W niepokalany niczem ocean błękitu.

* * *

Brzmia zewsząd harmonijne, nieustanne tony,
 Tehną zewsząd niewidzialne, niewcielone wonie;
 A w tej harmonii wiekuistej łonie,
 Toczą się światów miljony.

Toczą się, gonią, przyciągają wzajem —
 Każdy świat strojny, jak młoda dziewczica,
 Natury rozkwita rajem,
 Na każdym wielka życia tajemnica.

Wśród nich, jak w młodych dniach wiosny
 Rój motyli w pośród kwiatów,
 Jasnych duchów tłum radosny
 Buja na światy ze światów...

* * *

I oto, z blizka już, w górze,
 Archanielskie słyhać pienia.
 Lśnią się wieczności przedsienia;
 U ich drzwi anieli-stróże,
 W ich dłoniach miecze z płomienia.

CHÓR ANIOŁÓW.

Dokąd? Dokąd? ... Stój, zuchwały!
 Kto tobie tyle dał siły,
 Od rodzinnej wzlecić bryły?
 Kto śmiałości dał ci tyle? ...
 Tobież? tobież? ziemski pyle!
 Kędy tronuje król chwały?

* * *

Miejsce mi! miejsce, stróże niebieskiej stolicy!
 Promienne czoła ukorcie,
 Złóście miecze błyskawicy,
 Przybytek święty otwórzcie!
 Jam ukochany syn Najwyższego.
 Jego duch mnie rozpromienia,
 W mojem ręku berło Jego:
 Zmartwychwstania i stworzenia.
 Mej potężnej woli władzą,
 Z zapadłych grobowców łona
 Od wieków ległe plemiona
 U stóp się moich gromadzą.
 Ja nowe światy w nowe stroję cudy,
 Na nich nowe stawiam ludy.
 One żyją mojem życiem,
 Serca ich biją mego serca biciem;

Powstają, walczą, nikną przed memi oczyma.
 Moja dłoń ich losy trzyma,
 Samowładnie rządzą niemi —
 Ja, syn Boga wybrany, wieszczę Jego na ziemi! ...
 Miejsce mi! miejsce, stróżu niebieskiej stolicy!
 Czoła przed wieszczem ukorcie.
 Złóżcie miecze błyskawicy,
 Przybytek święty otwórzcie!

* * *

I zbrojna Cherubów rota
 Korne uchyliła głowy.
 Zaklęte władnemi słowa
 Dyamentowe rozwarły się wrota ...
 Witaj, dziedzino nieśmiertelnej chwały!
 W czystego blasku zawisnąłem toniach —
 Mdła niepewność, czas zwodniczy,
 Zdala za mną pozostały:
 I widzę, jako w Mądrości dłoniach,
 Przeszłość z przyszłością węzeł tajemniczy
 W jeden wielki pierścień sprzęga ...

Do mnie! do mnie — o ludzkości!
 Przedemną losów twych księga —
 Zrywam zasłony przyszłości! ...

DO A. D.

Kto gad brzydki zmiata z cierni,
 W dank zyskuje ból i krew.
 Kto w niewieściej serca czerni
 Tchnąć chce życie, zbiera gniew.

Im tak dobrze we śnie gnić,
 Mar się sennych blichtrzem ludzić!
 A ty ich do życia budzić
 Śmiesz, i sama ty śmiesz żyć!..

Oni na cię błotem rzygną
 Z kałuż brudnych piersi swych;
 W każdym kroku cię dościgną
 Ich wrzask i szydery śmiech...

Śmiej się z śmiechu czaszek ciasnych;
 Ból szyderstwa mężnie ścierp;
 W świętym żarze piersi własnych
 Do wytrwania siłę czerp.

I wierz, że dzień wybawienia
 Za rozpaczą przyjdzie tuż —
 Jak to słońce, co z płomienia
 Krwawych co dzień wstaje zórz.

1843.

PIEŚŃ ROZBICIA.

Przez łez morze, morze krwi,
 Straszna, smutna nam żegluga!...
 Na niebiosach piorun mruga
 Błyskiem z pod chmur czarnych brwi...
 Ha! okropnie! — przecież mile,
 Rzucić się w ten grzmiący wir.
 Milej, niż żywo w mogile
 Spać, w letargu zwitym kir.

.Dni rozkoszy, szczęścia dni
 Rzadko dla nas wśchodzą jaśnie;

Gwiazda uczuć cudnie lśni,
 Póki z dala — z bliska gaśnie.
 Za nadziei krótkiej snami
 Ból tem sroższy, łzy tem krwawsze...
 A więc precz nam! precz na zawsze
 Z rojeniami, z nadziejami!..

Taki los nasz! w wieczną dal
 Gnać, bez gwiazdy - przewodnicy,
 Beze steru, bez kotwicy,
 Przeciw wściekłych burzom fal.
 Naprzód więc, garstko tułaczy!
 Przez wrzask wichrów, gromów ryki,
 Potęgą naszej rozpaczey
 Złych losów szal zwalczać dziki!...

1849.

NAD WISŁĄ.

(IMPROWIZACYA.)

Patrzaj, to Wisła!... Spokojna, marząca
 Między Mazowsza piaski się przewija;
 Srebrzystą stroną złote brzegi trąca,
 I kryształową pieśnią się rozbija.

Fala jej mętna, jak oko zławione —
 W niej niebios blaski, i brzegi zielone,
 I stare zamki, pomieszane razem,
 Drżą jednym żywym, uroczym obrazem...

Lecz czyś ją widział, gdy brzemie zimowe
 Zrzuca, ze snu się zbudzić niecierpliwa?
 Gdy, burzą grzmiącą piersi wznosząc płowe,
 Wściekła gniotące okowy rozrywa?

Huk jej natenczas, jako grom podziemny,
 Walący miasta w pośród nocy ciemnej;
 A jako pożar, nurt jej zapieniony
 Szeroko sięga zgubnemi ramiony...

* *

Taki jest lud nasz. On, tak cichy, rzewny,
 Jak miesiąc w pełni — jak skowronek śpiewny —
 W obłocznej swojej wyobraźni świecie
 Roi spokojny, jak spowite dziecko.

Lecz gdy go ze snu zbudzi brzęk łańcucha,
 Piekłem natenczas łono jego bucha.
 O! czyjeż wtedy nie pobledną lice?
 Kto wskaże jego powodzi granice?..

Biada natenczas, na kogo on wodze
 Pomsty swej zwróci! — nie straszniej na siebie
 Było mu wyzwać pomstę Boga w niebie!...
 Biada, na jego kto mu stanie drodze!...

O, polski ludu! Wisły twojej wody
 Grzmiały z każdą wiosną wezbranemi wały —
 Czas już, z ich głosem żeby się zmieszały:
 Okrzyk twej zemsty, pieśń twojej swobody!

1844.

WESTCHNIENIE Z ODDALI.

W obcej, zimnej ziemi,
 Pomędzy obcemi,
 O! jak nudno, smutno ciecze czas!...

Fale wy perłowe!

Wisły piaski płowe!

Kiedyż? kiedyż ujrzę znowu was?

Dusza utęskni ona

Rwie się lecieć z łona,

O was tylko wciąż na jawie śni.

Brzegi Bugu, Narwi

Kwieciem wspomnień barwi —

Kwieciem wspomnień błogich moich dni.

I posępną, dziką

Mazowsza muzyką,

Starych lasów szumem poi słuch;

Po cmentarzach dawnych,

Grobach przodków sławnych,

Słucha, z wichrem co ich gwarzy duch.

Z serc promieniającem

Ogrzana gorącem,

Strząsa z skrzydeł smutny zimy szron;

Z pieśnią ludu żywą,

Brzmiącą po nad niwą,

W jeden cudny zgodnie zbrzmiewa ton.

O, mój ludu bliźny!

Wy, mojej ojczyzny

Lasy — niwy — boski świat nasz!

Jam sercem, myślami

Zawsze między wami —

I w mej piersi duch tchnie zawsze wasz.

On mi siłą, zbroją,

Jasną gwiazdą moją

Wśród tułactwa słót, burz, skwarów, zimn...

Aż, po dniach niedoli,

Bóg kiedyś pozwoli

Zmartwychwstania wznieść wam grzmiący hymn.

WSPOMNIENIE Z BAŁTYKU.

Powiał wicher bujny — i szeleszcząc wpada
W rozpozartate żagle, szamoce linami.
Pełnemi go garnie łakomie piersiami
Wędrowna na łodzi gromada.

Dalej że na morze!... Łódź w górę podniosła,
Jak dwa srebrne skrzydła, dwa wilgotne wiosła;
Wędrowna drużyna wzniosła w górę dłonie,
Żegnalne westchnienie rodzinnej śląc stronie.

Łódź strzepla żaglami — milczące fal łoże
Zawrzało — zbiełało — miljonem skier prysło...
O żółty nasz brzegu! biała nasza Wisło!
Bywajcie nam zdrowe!... Na morze! na morze!

Na morzu ponuro. Szare, jak z ołowiu,
Niebiosa z szaremi wałami się sprzęgły;
Zdała tylko jeszcze, jak księżyc na nowiu,
Złocisty sierp wązki zaznacza ich węgły.

To nasze wybrzeże!... I to się w mgłę kryje...
Nic, tylko wody — niebiosa — i wody...
Straszno! — Hej! pieśń w górę!... pieśń, córa swobody,
Tę grozę pustyni rozbije...

I jak sokół, gdy z szumem w jasny niebios lazur
Wzlatuje z łomnickich gór częła,
Polotnie ku górze wionął grzmiący mazur:
«Jeszcze Polska nie zginęła!»...

Aż pieśnią zbudzone bałtyckie powodzi
Zadrzały, i jęły podnosić się całe —
I gwarnie, gromadnie, aż do naszej łodzi
Bałwany cisną się białe.

Jak by się cieszyły te mokre głębinie,
 Pomne dawnych wieków chwały,
 Wieszczbą, że znów skrzydła nad niemi rozwinie
 Prawy dziedzic — orzeł biały...

W tem — zagrzmiało — zczerniało — i patrzcie! tam w dali
 Jakiż olbrzymi korab' z mroku się wynurza?
 Pędzi — a w koło niego prysk i wycie fali —
 O, biada nam! to morski rozbójnik — to burza!

Z śród groźnie piętrzących się wałów, do góry
 Powietrznej trąby strzela maszt wysoki;
 Gęstej mgły mu żagle osłoniły boki,
 Na szczycie banderą czarna szmata chmury.

Uchodzić? ... nie pora! A więc naprzód, śmiało!
 Zmierzymy się z korsarzem potężnym.
 Gdzie innych strach mrozi, nam walczyć przystało;
 Gdzie zgon niedołężnym, zwycięstwo tam mężnym.

Czołn stanął. Na czołnie stanęła dokoła
 Osada, z gotowem do walki ramieniem;
 I burzy zuchwałe nastawiając czoła,
 Groźnie ją iskrzącem wyzywa spojrzaniem.

I patrzcie! ... Korab' burzy także stanął nagle!
 Męztwa serc naszych wzrokiem błyskawicy bada —
 Okręca się — podaje do odwrotu żagle!
 Pierzcha! — i w zmierzchu dali, jak widmo, przepada...

Cóż to? toż naszych wejrzeń i wyzwania znaków
 Ulękła się i pierzcha nawała złowroga? ...
 Ha! nie dziw, że pierzcha, że zmogła ją trwoga —
 Drzeć niezdolnych poznała Polaków! ...

O bracia! to dla nas wyrocznią niech będzie!
 Jak te chmury, tchnące klęską,
 Pierzchły w niszczącym zapędzie
 Przed naszą rozpaczą męzką —

Tak te wszystkie groźne w drodze naszej progi,
 Co dziś nas, z daleka, tak straszą,
 Gdy im oko w oko spojrzymy bez trwogi,
 Rozwieją się w niwecz przed odwagą naszą!

1844.

KOMETA.

I weszła noc milcząca, gwieździsta. Wysoko,
 Na samotnej szczycie wieży,
 Zasiadł mędrzec, i zbrojne w szkła cudowne oko
 Utopił w błędnej gwiazdy oblicze promienne.
 Drobnym włosem ogrom mierzy,
 Śledzi dróg jej przez głębie przestrzeni bezdenne.

A tłum ludu, zebrany u podnóża gmachu,
 Z tajem serca drżeniem wita
 Jej złocistego jasny blask warkocza.
 I z ust do ust dokoła obiega w pół-skryta
 Myśl jakaś — groźna, prorocza —
 I dusze chłodnem skrzydłem owiewa przestrachu.

A ja na tłum spojrziałem i na gwiazd badacza,
 I złożyłem ich mądrość na szali pojęcia.
 I ogromną mi mądrość zdała się prostacza —
 Tamta igraszką dziecięcia.

O, mędrze! znijdź z wysokości!
 Znijdź, i dumnem swoim czołem
 Uderz przed tem gwarnem kołem —
 Cześć oddaj jego mądrości!

Tam, w gwiazdach, co obsiały jasnych niebios kręgi,
 O których liczbę próżno ślepy wzrok twój pyta,

On, jak w kartach rozwartych tajemniczej księgi,
 Wielkie słowa sądu czyta,
 Pisane komet głoski tajemnemi:
 Biada wam, mocarze ziemi!

O ludu! tobie tylko w księżde mrocznej nieba
 Dano tej groźby widzenie;
 Bo twojej tylko wiary i woli potrzeba,
 By ukazać jej spełnienie.

ŻÓŁWIE.

(Napis na żółwiej skorupie.)

Szkaradny, obmierzły jest ten żółwi ród!
 Niby rycerz pancerny, w tak twardą tarcz zbrojny,
 Że znać do śmiałych czynów stworzony, do wojny —
 A taki gnuśny, trwożny, z krwią zimną jak lód.
 I tak zwolna, leniwie wlecze się po świecie,
 Że za nim się do celu doczołgnie, to wprzód
 Tysiące nóg mu depce bezkarnie po grzbiecie,
 Kto zechce, bezkarnie go potrąca i gniecie.

Lecz stokroć obmierzli ludzie z żółwią krwią,
 Na drodze narodów co kamieniami tkwią.
 Iść radzi by naprzód — ale iść się boją,
 I wrzкомо to idą — a na miejscu stoją.
 Za każdym wstrętem, duch ich trwoży się i waha,
 Jako ptactwo na widok łachmannego stracha —
 Że zanim się do celu doczołgną, to wpierw
 Robactwu się i krukowi uczyni z nich ścierw.

Przeklęci! Bodajby żywcem skamieniali
 Wieczystym swej hańbie pomnikiem zostali!

I w ciele kamiennem, jak długi ten świat,
 Czuli i cierpieli miliony lat.
 Bo wy to, o żółwie, leniwi, beczynni!
 O dzieci senności i podłej bojaźni!
 Za wszystkie ludzkości cierpienia i kaźni,
 Za wszystko co złe jest na ziemi — wy winni!

WRÓŻBY MAZURA.

Hej — hej! rumiano, rumiano
 Słońce za bór zapada —
 Będzie to jutro rano
 Wicher i mróz nielada!..

Hej — hej! wąską dróżną
 Zszedł się chłopiec z dziewczyną.
 Spojrzeli — zczerwieniali —
 Będą że się kochali!...

Hej — hej! skry w ogniu trzeszczą:
 Od zachodu nad grzędą
 Co wieczór sroki wrzeszczą —
 Goście z tej strony będą!..

Hej — hej! w puszczy zielonój
 Ćmy się ptactwa zlatują, —
 A same kruki, wrony —
 Śnać dużo padła czują!..

Hej — hej! co noc za wieś
 Biegą wyć w pustkach psi;
 Lud szemrze w każdej wsi —
 Będzie to, będzie rzeź!..

Hej — hej! mały, czy duży,
Przeklina ciężki czas
I lepsze czasy wróży —
Wywróżą przecież raz!

1845.

JASKÓŁKA.

Po zimie, po smutnej, gdy wiosna nadchodzi,
Ja lecę, świegocąc, jej gońcem,
W łagodnych powiewów woniącej powodzi,
Olśniona wschodzącem z mgły słońcem.

I wracam szczebiocąc pod słomianą strzechę,
Rzuconą w jesienne zawieje;
Stęsknionym, zwątlonym przynosząc pociechę
I błogą dni lepszych nadzieję...

Ja, niebo gdy zewsząd groźnie się zachmurzy
I ciężarna dysze spieka,
Przelatam, zwiastując przyjście strasznej burzy,
Nim gromy nadciągną z daleka.

Nim wichry szalone zadmą w całej sile,
Wód łono muskając skrzydłami,
Szybkimi nad głową migając kręgami,
Niebaczne ostrzegam oryle...

Na moich skrzydełkach piórka białe, czarne,
Zmieszane ze sobą spór wiodą —
Ja wróżę wam burze gromami ciężarne,
I ranki śmiejące pogodą.

Więc komu pierś gniecie ta cisza ciężąca,
Kto tęskni za gromem, za wiosną,
Witajcież serdecznie u siebie ich gońca —
Wróżbę wam przynoszę radosną!

PIEŚŃ WIOSENNA.

Jest w życiu czas — ach, jeden w życiu całym!
 Czas żądz olbrzymich, czarodziejskich snów,
 Święty szczerością, promienny zapalem,
 Wiek pełen dziwów i zaklętych słów —
 Młodości wiek.

Jest jeden kwiat — kwiat jak wiosenne zorze,
 Tak pełen blasków i woniących tchnień,
 Lecz rwać go można w rannej tylko porze,
 Jak słodką mannę we wschodzący dzień —
 Miłości kwiat.

Więc zrywaj kwiat! korzystaj z błogiej chwili!
 W uroczy wiąż miłość z młodością ślub!
 Nim słońce życia na zachód się schyli,
 Nim wrzące serce zmrozi blizki grób —
 Korzystaj z lat!
 Rwij miłości kwiat!

STARZEC ŚWIAT DŹWIGAJĄCY.

(Napis pod posągiem w O)

Tyle wieków, tysiący tyle przeszło lat,
 Odkąd na moje barki wzięłem ten wasz świat.
 Kiedy go po raz pierwszy w ręce me ująłem,
 Młodzieniec siły pełen, wysoko nad czołem
 Śmiałą go wzniosłem dłonią ku gwiazdzistej sferze,
 Aż promiennem tchnął życiem w promiennym eterze —

W dniu jednym lat dzisiejszych spełniałem z nim drogę.
 Dzisiaj, starzec zgrzybiały, ja już niedomogę.
 Z żółwiem zaledwie pełznąć podołam pospołu.
 Schyliły się kolana, kark ugiął do dołu;
 Zaledwie jeszcze na nim, rękoma drżącemi,
 Wstrzymam — lecz już wznieść wyżej nie podołam ziemi.

Odebrać mi to brzemię, młodzi! na was czas.
 Stać się czem jam był światu, kolej dziś na was.
 Ująć go, i na silnych wzniesiony ramionach,
 Zakrzepły odgrzać w słońca młodego promionach,
 Po gościńcu z nim wieków w krok zatętnić śmiały.
 Nie wstyd że wam, tak długo że starzec zgrzybiały
 Piastunem mu być muszę! ... Weźcie mi go z bark,
 Bo dłużej pod ciężarem nie wstrzyma mój kark.
 Chwila jeszcze — a z rąk mi skrzepłych się wysunie,
 I bez wodzy, wraz z wami, w noc zamętu runie.
 Spieszcież się póki pora! Jeżeli się spóźnicie,
 Nie mnie, nie przeznaczeniu — sami sobie klnicie!

CHMURA NA CZOLE.

Ja nienawidzę tych czół, pogodnych,
 Jak gnuśne we stawach wody;
 Tych lic rumianych, a takich chłodnych,
 Gładkich, jak zimowe lody.

Ja lubię widzieć, gdy twarz młodzieńca,
 Podarta boleści radłem,
 A smutku chmura, w krąg, na kształt wieńca,
 Na czole wije się zbladłem.

Bo chmura smutku, posepna, czarna,
 Znać daje, że tam nie śpiąca,
 Ale jest dusza myślą ciężarna,
 Uczucia burzą kipiąca.

O! bo w tej chmurze, śpią gromy jasne,
 Co bałwan fałszu obalą,
 I szranki ducha rozbiją ciasne,
 I znicz prawd boskich zapalą.

O! bo niech tylko jasnego słońca
 Promień jej łona dosięgnie,
 Z tej chmury tęcza wybłyśnie lśniąca
 I niebo ze ziemią sprzęgnie.

DO DĘBU.

(w L w Wielkopolsce.)

Cześć ci! zielony olbrzymie drzew!
 Wieszczu szumiący ciemnych naszych lasów!
 Na polskiej ziemi bujnie się nam krzew,
 I szum wspomnieńmi zapomnianych czasów! . . .

* * *

Wielkież to były czasy! — Kiedy z tronu dębów,
 Stu-ramiennych, dziesięcio-wieczystych,
 Z za błękitnych dymu ofiarnego kłębów
 Oblicza groźne bogów patrzyły ojczystych! . . .

Wielkież bo były i te stare nasze bogi!
 Ze wzniesionemi dłońmi krwawemi — językiem
 Krwawym — potężnym wołające krzykiem
 Na bój z najeźdźczemi wrogami . . .

Na niezmierny, straszny ten ich wrzask
Tysiące zewsząd echem odpowiadało głosów:
I szeroko biegł trzask, i rozlegał się blask,
Blask krwawy wojennych stosów...

Jak do ula pszczoł brzęczący rój,
Jak éma kruków do padła, z łonazarnych puszc
Do stosów zbrojna zbiegała się tłuszc,
I na śmiertelny szła bój...

Z niedźwiedziami skórąmi na barkach,
Wlokąc ciężkie za sobą oszczepy,
Biegli trzaskać dębowe maczugi i cepy
Na żelaznych Niemców karkach.

I w bogów imię, w imię słowiańskiej wolności,
Bój zwodzili — gdzieś u błękitnej Odry;
Aż od krwi nurt jej poczerwieniał modry,
Aż zielony pobieleł brzeg od trupich kości...

Po walce, z wieńcem dębowym nad brwią,
Pieśni zwyciężkie nucąc, wieszczę, pełnej z czary,
Gorącą wrogów najeźdniczych krwią
Świątych dębów poili konary...

A z usłanych na szczytach ich gniazd
Nadgoplańskie orły białe,
Srebrnemi szumiące skrzydły, do wysokich gwiazd
Głośnym krzykiem zwycięzców zwiastowały chwałę.....

* * *

Dziś — — Biada! biada! Twierdze naszych borów
Padły pod zębem pił, pod językiem toporów;
Wielkie plemie żelaznych rycerzy
W prochach bezkształtnych po mogiłach leży...

I z dębów tych, rozłożystych, ogromnych,
I z męzów tych, jak one tak olbrzymich, niezłomnych,
Widma tylko posępne, w płaszczu grobowej pleśni,
Wstają na chwilę w starej słowach pieśni...

Ziemię, w której śpią ojce nasze, wrogi,
Co przed nimi drżyć nawykły, posiadły;
I depcą groby ich świętokradzkimi nogi,
I szarpią kości ich świętokradzkimi radły...

I — gorze stokroć! — własni oto synowie
Straszniej jeszcze pamięci urągają ojców:
Strój i obyczaj biorą narodu swego zbrojów,
I szukać sławy w wroga nie sromają się mowie...

Orzeł biały, skrzydłami srebrnemi,
Na których mężnym wpierw przywozić zwykł,
Z okrzykiem wzdardy precz od karłów ziemi
Odleciał — i w chmurach znikł...

*

Lecz precz z żałami! precz! Bo oto już z nasiona
Dębów świętych, przed wiekami zwalonych,
Młode, jędrne wyrosły plemiona,
I promieńmi gałęzi strzelają zielonych...

I z natchnionych wieszczych pieśni słów,
Posianych w gorącą pierś młodzi,
Wszedł bujny plon — i oto już nam znów
Jutrznia olbrzymich czynów i poświęceń wschodzi...

Chwila jeszcze — a lud - olbrzym cały
Na dźwięk pieśni ze snu się ocuci;
I wolność z chwałą znowu do nas wróci,
Na dawne gniazdo wróci orzeł biały.

I pójdziem za nim znów — i w słowiańskiej wolności
Imię zawiedziem bój — gdzieś u błękitnej Odry:
Aż od krwi nurt jej zczerwienieje modry,
Aż zielony zbieleje brzeg od trupich kości...

A po walce zwyciężkiej, znów wieniec dębowy
 Zabłyśnie, jako niegdyś, świętej czci znamieniem:
 Wolnego ludu włożony ramieniem
 Na zbawców ojczyzny głowy...

* * *

Krzew że się nam, o dębie! ty zielony drzew
 Mocarzu! wieszczu ciemnych naszych lasów!
 Na wieńce przyszłym zbawcom narodu się krzew!
 I szum wspomnień przeszłych, wróżbą przyszłych czasów!...

1845.

W SUKMANY!

(IMPROWIZACYA.)

W siermięgi, bracia, w sukmany!
 Kto chce ludowi przywodzić,
 Nie dość, że mu lud kochany,
 W ludu szacie musi chodzić.

W kim głupstwo zjadło myśl zdrową,
 Kto śmiechu głupców się boi,
 Niech obcą przemawia mową,
 Niech w obce szaty się stroi.

Próżna moda komu bogiem,
 Kto dla ludu wżgardę roi,
 Niech w obce szaty się stroi,
 Niech się stroi równo z wrogiem.

My, Kościuszki idąc wzorem,
 Bierzmy strój ludu uroczy:

Niech się duchem i pozorem
Polska w jeden lud jednoczy!

W siermięgi, bracia, w sukmany!
Kto chce ludowi przywodzić,
Nie dość, że mu lud kochany,
W ludu szacie musi chodzić! .

1845.

CZARODZIEJSTWO ODINA.

Z starej Eddy. *)

Wiem ja jak stare runy się kręślą,
I jak ich tajną zawładnąć myślą.

Umiem pieśń czarów — skutek jej wielki
Od duszy smutek odgania wszelki.

Umiem ja pieśni takie, co zleczą
Słowy samemi niemoc człowieczą.

Znam pieśń, co niszczy wrogów podstępny,
Oręż ich ostry przemienia w tępny.

Umiem pieśń, więzy twarde co zrywa —
Wolnym ten będzie, kto ją zaśpiewa.

Umiem pieśń, którą jeżeli zanucisz,
Zgodę wśród braci zwaśnionej wrócisz.

Umiem pieśń, którą kiedy powtórzę,
Konają wichry i milkną burze.

*) Runutar Othins — z księgi Hawamal. Ponieważ pieśń ta składa się z zdań, ściśle z sobą niezwiązanych, odmieniłem nieco w przekładzie ich porządek, zbliżając przez to dwuwiersze, które mi treścią bliższymi sobie się zdaly.

Spojrzeniem jednym czarne zamiary
Przenikam, niszczyć złośliwe czary.

Umiem wisielca klątwą tajemną
Zwołać, by przyszedł rozmawiać ze mną.

Znam zdrój — kto ciało skąpie w tym zdroju,
Bezpiecznym będzie w morderczym boju...

Taka jest pieśń ma — wysoka, święta,
W skrytych mej duszy głębiach poczęta,
Ludziom znajoma — lecz nie pojęta!

Błogosławieni, co ją słyszeli,
Błogosławieni, co ją pojęli!
Obyż z niej korzystać chcieli!..

Z TRAGEDYI „OLAF SAMOZWANIEC“.

Adama Oehlenschlägera.

RAGNILDA

sama.

Tak! stać się musi. Dobędą spełnienia
Mnogich niespanych nocy mych marzenia,
Gdy przed mej chaty rozwartemi wroty
Gwiazd tajemnicze śledziłam obroty.
Gdy zórz północnych blaski, niby rój
Widm, dziki taniec zawodziły swój,
To jako miotły rozczochrane, krwiste,
To jako mieczów głównie płomieniste:

Wśród wycia wichrów głos duchów brzmiał mi:
Do dzieła! pomścij znieważonej czci

Dawnych rycerzy!... Niedaj tym zuchwałym,
 We srebrnych blachach, karłom zniewieściałym
 Zatrzeć i pogrześć w niepamięci mocnych
 Postaci dawnych mocarzy północnych.
 Zdeptaj próżności południowy kwiat!
 Na skałach naszych nie dla niego świat!...

Precz z rycerzami na toczonych koniach!..
 W łodzi, na burzę rozhukanych toniach
 Jaśnieć mężowi!.. Precz włócznie, rapiéry!
 Dość bohaterskiej, trzaskać łby, siekiéry!..
 Precz jedwab, szkarłat, drogie złotogłowy!..
 Dość zgrzebna szata i pancerz stalowy!...

Groźny, jak niegdyś, z stromego urwiska
 Skał, dotąd strasznym młotem swym Thor błyska..
 We gnuśnym grobie nie zaginać nam!
 Z gruzów nowego zmartwychwstanie chram
 Czcí dawnej!.. Dłonią niewiasty zuchwałą
 Co legło, wznieść znów niewieście zostało.

Z CÓRY SŁAWY

(SLAVY DCERA)

Jana Kollara.

I.

Pracuj každý s chuti usilownou..

Na narodu vyplnionej roli
 Pracuj! každemu ile starczy sił.
 Zawodów tysiąc stoi wam do woli,
 Byle by zapal i cel jeden był.

Głupiec, kto badać gwiazł ponocne drogi
 W niebo wysyła nieuczony wzrok;
 Błazen, do kroków niewdrożone nogi
 Kto w sztuczny zawodzi skok.

Działaj! wielki li zawód twój, czy mały.
 Wódz z szeregowcem równej godni chwały,
 Gdy swych stanowisk w równej strzegą porze.
 Nieraz w ukryciu rodzinnej zagrody
 Więcej dla sprawy kraju i swobody
 Zdziałasz, niż walcząc w wojennym taborze.

II.

O, tiech złotych, staroslavskich, czasou . . .

O dawnych Słowian złoty wieku błogi!
 Czyż dziś oko łą się nie zaleje?
 Któż dziś nie westchnie, czytając twe dzieje?
 Chociaż narodu kreśliły je wrogi.

Nie znane były u naszych pradziadów
 Klucze, zapory, szafoty, więzienia;
 Ani się pojąć mogli ze zdziwienia
 U swych niemieckich widząc je sąsiadów.

Obce im były kradzież i morderstwo,
 Podstęp, obluda, kłamstwo, przeniewierstwo;
 Sędziwą starość młode plemie czciło.
 Pieśni i gędzba w całym kraju brzmiały —
 Gościnne wrota wszędy oścież stały . . .
 Dzisiaj — niestety! wszystko się zmieniło.

III.

Kdybych miał berło stokraińsku.

O, gdybyż przy mnie berło władzy było!
Gdybym mógł ręką zawładnąć zwycięzką!
Raz by się przecie na zawsze skończyło
Sąsiedztwo, wieczną co nam było klęską.

Od Adrjatyku aż ku bagnom fińskim,
Od Łaby po nurt Dunaju bystrego,
Nie żelaznemi słupami Chrobrego —
Granice murem opasałbym chińskim.

Tę bym ja tarczą od zguby ostatniej
Zasłonił ciebie, o narodzie bratni!
Któremu, więcej gdy nie ma co brać
Wydarłszy wszystko, wróg twój — na ostatek,
Dziś się nie wzdryga z piersi twoich matek
Słowiańskie mleko twe ssać!..*)

ŻAL SŁOWAKA.

(Z M. J. Hurbana.)

Pójdź, ma piszczałko! Siądziemy na skale,
Po siwych górach puszcę twoje dźwięki.
Dni utrapionych niechaj głoszą żale,
Ciężkich mąk naszych niechaj głoszą jęki.
Gdzie nad narodem smutna przemoc włada,
Cichym się tylko jękiem żal spowiada.

*) Kobiety łużyckich Serbów — ostatniego wytępionej Słowiańszczyzny nadłabskiej szczątka — z powodu swej czerstwości i czystości obyczajów, szczególnie przez Niemców za mamki poszukiwane bywają.

Ucichły nasze harfy a cymbały,
 I sława Wielkiej - Morawy przebrzmiała.
 Wieszcze na lipach harfy powieszały,
 Gdzie je złośliwa burza potrzaskała.
 Skromne nam ledwie piszczałki zostały,
 Któremi twarde rozbudzamy skały.

Czasami słowik z jaworów wzniesionych
 W dół złata, siada na ciemną olszynę,
 I wśród gałęzi ukryty zielonych
 Pociesza z wiosną słowiańską rodzinę.
 Lecz wiatr przeciwny unosi słowika —
 I wraz ostatnia pociecha z nim znika.

Smętna piszczałko! pójdź że tedy ze mną!
 Twoim ja dźwiękom zwierzę moje żale.
 Na gór wierzchołki, w lasów czeluść ciemną,
 Pójdziemy — siedziem na najdzikszej skale —
 Z góry do ludu zbiegną twoje dźwięki,
 Niosąc pociechę, kojąc jego męki.

CZTERY ŹRÓDŁA.

(Z serbskiego, Preradowicza.)

Z Kosowskiego bojowiska
 Czworakie tam źródło tryska.
 Jedno mleka bielutkiego,
 Drugie wina rumianego;
 Trzecie bije strugą krwistą,
 Czwarte wodą przezroczystą.

U krynicy pielgrzym stanie,
 I zadaje jej pytanie:

Przecz te strugi mleka płyną?
 — «By wykarmić dzieci twe.»
 Przeczże to czerwone wino?
 — «By ożywić serce twe.»
 Przecz ten strumień bieży krwisty?
 — «Żebyś z niego zemstę pił.»
 Przecz ten wody przezroczystej?
 — «Żebyś z siebie hańbę zmył.»

PRZESZŁOŚĆ SŁAWIAN.

(Z serbskiego, Miłosza Popowicza.)

Oj! bywaliż my, bywali,
 Czem dziś nie bywamy!...
 Cośmy niegdyś posiadali,
 Tego dziś nie mamy.

Oj! bywaliż my, bywali,
 Sławnemi Sławiany,
 Zwyciężkośmy przeganiali
 Turki i Germany.

A dzisiaj!... zła nasza dola —
 Obce kanie, kruki,
 Zwyciężonym, powalonym
 Serce rwą na sztuki.

Bywałyż u nas, bywały
 Króle, wojewody,
 Wojska mnogie, głośnej chwały,
 Prawa i swobody.

Dziś korony i swobodę
 Wzięły najeźdźniki,

I junaki nasze młode
 W swoje stawiały szyki...
 Woli tylko, bracia mili!
 A w niedługiej chwili
 Odzyszczyli coś mieli,
 Będziem czemśmy byli

ŻALE DZIEWCZYNY.

(Z Schillera.)

Ciągną obłoki,
 Szumi gęstwina...
 Nad brzeg wysoki
 Przyszła dziewczyna.
 Wrą, łomą się fale w wezbranym potoku —
 A ona w bezdennym utopiła mroku
 Żrenicę łzami zalaną.
 — « Serce zamarło,
 Świat pustką stoi,
 I myśl już więcej
 Życzeń nie roi...
 O matko! odwołaj do siebie swe dziecię!
 Poznałam już wszystko szczęście na tym świecie —
 Kochałam, byłam kochaną.
 Słonym potokiem
 Próżno łązy biegą!
 Niezbudzą żale
 Z grobu zmarłego!...
 Cóż? zrzekę się przeto uczucia, co było
 Rozkoszą żywota? co pierś uzacniło
 Boskiej promieniem światłości?... »

O, niech łzy słone
 Do woli biegą!
 Nie zbudzą one
 Z grobu zmarłego —
 Lecz chwile rozkoszy bezzwrotnie gdy miną,
 Dla duszy zranionej pociechą jedyną
 Są łzy i żale miłości!

CICHA NOC.

(Piosnka pod nutę łużycko-serbską.)

Boże słończko do gospody
 Zaszło, do snu złożyć skroń.
 Mgły wilgotne wstają z wody,
 Z łąk wieczorna wieje woń.
 W wieńcu gwiazd,
 W płaszczu chmur,
 Cicha noc
 Schodzi z gór.

Zadumany, cichy, senny,
 Otulony w srebrnej mgle,
 Księżyc uścisk swój promienny
 Rozmarzonej ziemi śle.
 W błogich snów
 Rajski kwiat
 Cicha noc
 Sieje świat.

I w wzburzone moje łono
 Błogo tchnie jej cichy czar.
 Ciche wiatry chłodem wioną
 Na rozdartej piersi żar.

Trosk i dum
 Czarnych tucz
 Deszczem łez
 Spada z ocz.

Ach! kiedyż mi będzie dano
 Ujrzeć cichy nocy wschód
 I księżycą twarz rumianą
 W przezroczy ojczystych wód?
 Serca żal
 W Wiśle zmyć,
 I z jej fal
 Spokój pić?

DO ADAMA MICKIEWICZA,

przesyłając mu *Wieżę Siedmiu Wodzów*.

Zabłąkanemu między obcemi,
 Kędyś, nad Sekwaną dżdżystą,
 Ze czci wyrazem, z ojczystej ziemi
 Baśń Ci posyłam ojczystą.

Tęczą promienną przesiega ona
 Przepaść czasu dziesięć-wieką.
 Tęcz to nadziei jasnych, rzucona
 Z przeszłości w przyszłość daleką!

Ja w niej widziałem tęczę proroczę
 Przeznaczeń naszego ludu;
 I wypełnienie ufam że zoczę
 Zwiastowanego w niej cudu.

Tyś mi zaś jednym z siedmiorga onych
 Cudownym wodzem-śpiewakiem,
 Na bój, pod Boga słonecznym znakiem,
 Budzącym z grobu uśpionych.

1850.

DZIEWCZYNA U ZDROJU.

(Z serbskiego, Radiczewicza.)

Jakem poszła w wieczór wczora
 Z zdroju świeżej czerpać wody,
 Tu na bystrym dopadł koniu
 Chłopiec młody, bystro-oki.
 Pozdrowiwszy rzeczce do mnie:
 «Daj się napić, dziewczę młode.»

Te wyrazy — słodkie strzały —
 Na wskrós serce mi przeszły.
 Poskoczyłam, postąpiłam —
 Białą dłonią dzban podaję —
 W tem dzban wypadł z drżącej dłoni
 I rozprysł się w dwoje, w troje...

Dotąd leży roztrzaskany —
 Lecz, ach! kędyż jeździec młody?
 Byle raz go ujrzeć jeszcze
 I drugi dzban zbije rada!

ODPOWIEDŹ NA PYTANIE.

Pytasz: gdy ucho moje zachwyca
Arcymistrza dzieło szczytne,
Czemu się w twoje wpatruję lica
I w twoje oczy błękitne?...

Kiedy wspaniały koncert przyrody —
Letnia odzywa się burza,
Ja lubię siadać nad brzegiem wody,
U drzew szumiących podnóża.

Wysłuchany w wielki zamęt ten dźwięków:
Szumu lasów — trzasku łomów —
Sierocych w polu grusz dzikich jęków —
Wycia wichrów — bicia gromów —

Wzrok zachwycony topię w odbicie
Niebios, jak morze wzburzonych,
Chmur poszarpanych, błysków czerwonych,
W ruchomej fali błękitcie.

Niby podemną stado za stadem
Tych widm rozczochranych ściga —
Niby podemną po tle ich bladym
Tysiąc ognistych żmij miga...

Patrząc i marząc, już zapominam
O ziemi — już, już się zda mi
Orle gdzieś skrzydła w górze rozpinam,
Nad ryczącymi chmurami.

Aż, tchnieniem wichru porwanej piany
Pocałowaniem wilgotnem
Zbudzę się nagle, rozczarowany,
Po nad jeziorem samotnem...

Tak, gdy powietrza morze milczące
 Zawichrzy burza harmonii —
 Gdy całe drżące, w tonów tysiące
 Grzmi, wre, huczy, śpiewa, dzwoni —

Gdy owładnione czarem ich łono,
 Gdy serce bije wysoko —
 Z równym zachwytem w twą twarz natchnioną,
 W twe jasne spoglądam oko.

Jakże uroczu w ich się przezroczy
 Zwierciedli dźwięków gra cała!
 To niebo żrenic łza smutku mroczy,
 To grom zapалу z nich pała.

To w zadumaniu, splot hebanowych
 Włosów na lica cień ciśnie —
 To z uśmiechnionych ust koralowych
 Rząd jasnych pereł zabłyśnie . . .

Własnych mych uczuć w anielskiej twarzy
 Cudowne widząc wcielenie,
 Oczarowane serce me marzy
 Rozkoszne, rajskie marzenie:

Że jak ta biała jeziora piana,
 Na twarz mą wichrem rzucona,
 Potęgą zgodnych uczuć porwana,
 Upadniesz w moje ramiona.

I jak się zgodnych dwojga strun brzmienia
 W harmonijną jedność płaczą,
 Tak nasze usta, tak nasze tchnienia
 W jeden się akord połączą . . .

Otóż masz szybkim rymem spisana
 Z uczuć i snów moich spowiedź.
 Sny moje kiedyż ciałem się staną?
 Winnaś mi teraz odpowiedź.

Nie brudnem piórem — nie w rymach brzmiących,
 Nie żadnym językiem ziemi . . .
 Pójdź! niech ją sobie usta drżącemi
 Z ust twoich wezmę milczących.

ZABŁĄKANA.

(Podsluchany głos z poddasza.)

Oh, jak smutneż jest to życie!
 Mój Boże! . . .

Jak to w bajce biedne dziecko,
 Zbłąkane w borze —

Próżno woła, próżno huka:
 Mój Boże!
 Próżno na świat drogi szuka,
 Znaleźć nie może —

Szukam, wołam, nadaremno —
 Mój Boże!
 Od łez, głodu, w oczach ciemno,
 Zewsząd bezdroże.

W puszczy ludzi bez miłości —
 Mój Boże!
 Już ja tu me młode kości,
 Marnie położę! . . .

W uszach dzwony niby dzwonią —
 Mój Boże!
 Powieki się gwałtem klonią . . .
 Czyż je otworzę? . . .

Niechbyż choć nad mą mogiłą —
 Spraw Boże!
 Choć dla drugich zaświeciło,
 Miłości zorze!

1855.

NA GROBIE JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Kłatwy istnienia pęty żelaznemi,
 Orle niebieski! do klatki skowany,
 Krwawiąc pierś własną twardemi kajdany,
 Z krzykiem rozpacz rwałeś się od ziemi.
 Aż, bezustannem szamotaniem ducha
 Stargane, pękły ogniwa łańcucha —
 I ty, na trupie postawiwszy nogę,
 Odszedłeś w duchów tajemniczą drogę.

Gdzieś — przez milczące wieczności przestworze —
 Krocysz, stąpając po gwiazdach błyszczących,
 Jak pątnik górskich rzek wezbrane łoże
 Po głazach z głębi przebywa sterczących.
 Toż, chociaż w sercu smutno mi po tobie,
 Dziwnie spokojny stoje na twym grobie;
 Tak pewien jestem, że, jeżeli ta droga
 Ma koniec, dowieść musi cię do Boga.

Wszakże, pod kształty jak bądź promiennemi
 Drogę ci ducha spełniać się dostało, —
 Gdziekolwiek pójdziesz, wiem, przez wieczność całą,
 Smętny że będziesz zwracać wzrok ku ziemi.
 I wszystko niebios wesele tej twojej
 Wielkiej boleści wiem że nie ukoj,
 Aż nie zobaczysz: że spełnienie wzięło
 Na ziemi święte odkupienia dzieło.

Więc, jeżeli cię zdradziecko nie zwiodły
 Życia twojego wiara i nadzieje;
 Jeżeli mają władzę duchów modły
 Na losy ziemi, na ludów koleje;
 Módl się o jedno! którąś był natchniony,
 Niech Bóg rozdzieli miłość na miliony —
 A odkupionej siłą tej miłości
 Drogięj twej ziemi błysnie dzień wolności.

1855.

NA ROZSTAJU.

(W noc nowego roku.)

Idź więc twą drogą! a ja pójdę moją...
 Wezbrane piersi nie pękną o mało —
 W mężkiem mem oku dwie łzy straszne stoją —
 Drżenie boleści wstrząsa całe ciało —
 Gdy to wymawiam!... Ach! i nie wiem, czego:
 Mego mi szczęścia więcej żal? — czy twego?...

W nocy zwątpienia uśmiech twój łagodny
 Błysł mi, jak księżyc, co się z chmur wychyli;
 A jam zamarzył, że ten blask pogodny
 Rozwidni ścieżkę dni mych i umili.
 Niestety! zaszedł!... tylko noc złowrogą
 Straszniej dał uczuć!... Ha! idź więc twą drogą!...

Mogłaś się słońcem stać! i w sercu, skrzepłem
 Mrozem zawodów, w ciężkich walk zawiei,
 Promieniem oka, tchnienia twego ciepłem
 Ożywić ziarna niedoszłych nadziei.
 Dla ciebie szczęścia wszedłby z nich myrt biały,
 A dla narodu — może — wawrzyn chwały...

Dłoń w dłoni z tobą, szlibyśmy ku górze,
Przez ścieżki — nieraz może i cierniste,
Lecz gdzie wśród ciernia rajskie wonią róże,
I orzeźwienia biją źródła czyste;
Kędy duch boży wieje — i w dniach troski
Spokój tchnie w serca kochające boski...

Ty dłoń usuwasz — idź więc drogą twoją!
Nie będę więcej szukać twego oka...
Piers mą okryję twardą dumy zbroją...
Niemy i chłodny będę, jak opoka...
Choć bólu serca wola nie przemoże,
Jak mąż mą drogą pójdę, w imie Boże!

A ty — idź twoją!... Znam tę drogę, co cię
Powiedzie w krótkiej do grobu podróży!..
W nudy i brudów powszednich bródz błocie!
Spragnione serce pój z gnilej kałuży!..
Aż sama zadrżysz, widząc twarz twa cudna
Jak prędko zwiędła i stała się brudna.

W nocy bezsenne wtenczas moje smętne
Widmo ci stanie w oczach, zlanych łzami...
Z krzykiem rozpaczy wyciągniesz namiętne
Dłonie — lecz przepaść znajdziesz między nami.
Klnąc sama sobie krótki wiek przeszłochasz...
Ach! czemuż grzebiesz przepaść tę, choć kochasz?..

Ostatnią chwilę tę — nim dzwon jęczący
Zwiastuje roku skonanie — ja jeszcze,
Po raz ostatni, przy twym boku — drżący,
Ostatnim życzeń i nadziei dreszczem...
Wybił!.. Odtąd się drogi nasze dwoją!
Idź twoją drogą! — ja odchodzę moją.

W IMIONNIKU A. K.

Ja Sławianin — ty Sławianka —
 Siostraś mi krwią i imieniem.
 «Ja wygnaniec — ty wygnanka» —
 Jednem wzdychamy westchnieniem.

Więc gdy los nam dziś tak zdarza
 W obcym się poznawać kraju,
 Od polskiego przyjm pieśniarza
 Te słów kilka na rozstaju.

A jeżeli w twoim domu,
 Na pustym Dunaju brzegu,
 Przyjdzie kiedy z moich komu
 Szukać strzechy do noclegu —

Wspomnij, siostrą że cię zwałem,
 Gdzieś, w dalekiej stronie świata,
 I w mą pamięć sercem całym
 Przyjm w tułaczku twego brata.

PIEŚŃ PIELGRZYMÓW.

(Z zaginionej powieści Przednówie.)

Z stromej opoki
 Na świat szeroki
 Jaśniej Częstochowa.
 W niej ciemnolica
 Bogarodzica —
 Tron ma polska królowa.

Gwiazda zaranna,
 Przeczysta Panna,
 Źródło orzeźwiające;
 Puklerz niezżyty,
 Gród niezdobyty,
 Nadziei jasne słońce.

Kto przy Niej szczerze
 Dostoi w wierze,
 Przy tym statecznie Ona;
 Pierś zbroi mężstwem,
 Darzy zwycięstwem —
 Wojwodza niezwalczona.

Nie pierwsza ci to
 Na tę obfitą
 Polską naszą ojczyznę,
 Szarańcza sroga,
 Spadła ćma wroga,
 Pustosząc łany żyzne.

Nie pierwsze ci to
 Na kark nam wbito
 Twarde przemocy pęta!
 Lata niedoli,
 Wrażej swawoli,
 Mnogie kraj ten pamięta.

Wszak, w klęsk nawale,
 Kto wytrwał stale
 Przy Maryi znamieniu,
 Wiele ich było,
 Przed wrogów siłą
 Nie upadł w pohańbieniu.

Wtedyśmy padli,
 Gdyśmy pobladli
 Sercem przed liczbą wroga;

Gdyśmy zwątpieli:
 Mnóstwu może li
 Sprostać święta moc Boga.

Więc choć na nowo
 Dziś nam nad głowę
 Wróg zwyciężki przewodzi;
 Choć w nasze domy
 Nowemi gromy
 Co dzień zła dola godzi —

Ty, polski ludu!
 Patrz w gwiazdę cudu,
 W złoty tron Częstochowy!
 Wolnym się staniesz,
 Skoro powstaniesz
 W imię twojej królowej.

O ciemno-lica
 Marya dziewica!
 Tyż nam twą łaską daj
 Stać się godnymi
 Rycerzmi twymi,
 Godnymi zbawić kraj!

A kiedy staniem,
 Pod twem wezwaniem,
 Krew za ojczyznę lać,
 Poległym w boju
 W wiecznym pokoju
 Rajską racz światłość dać!

NA DAWNYM SZLAKU.

Witaj mi! witaj! znajoma dolino!
 Niezapomniana, choć dawno żegnana!...
 Srebrny strumieniu! cienista olszyno!
 Wiosko na stromym brzegu rozsypana!...

Czy mi się zdało? czy się tylko śniło,
 Długa rozstania że nas dzieli pora?...
 Wszystko jak było! nie się nie zmieniło!
 Jakbym pożegnał wszystko ledwie wczora.

Na wzgórzu szumi jabłoń rosochata,
 Brzoza złociste puszcza na wiatr włosy;
 Nad suchą wierzbą bocian z gniazda wzlata,
 Smug więdnięcemi wonieje pokosy...

Sto krętych ścieżek wije się po smugu —
 Ach! ja nie zbłądzę w ich zielonej matni!...
 Oto jest ścieżka, po nad brzegiem Bugu,
 Którą jechałem wtedy raz ostatni!

Jakżeż rozkosznie, żywo, dumnie, błogo
 Biło mi serce, gdym zdążał tym szlakiem!..
 Koń biegł jak strzała — jam go bódł ostrogą,
 Chciałem skrzydlatym żeby stał się ptakiem...

Dziś, ze spuszczoną głową koń mój kroczy,
 Zrywając trawy na lewo, na prawo;
 Ja schylam czoło — i czuję jak oczy
 Coraz mi ciemniej mgłą zachodzą łzawą.

Stój! stój! od brzegu zawróć, koniu siwy!
 Nie ma bystrego po co przebyć brodu!
 Nikt nas nie czeka w szpalerze ogrodu,
 Nikt ci jedwabnej nie pogładzi grzywy!...

Wszystko zostało, jak kiedyś bywało,
 Nie się, ach! nie nie zmieniło!...
 Jedynie serce, co mnie tu kochało
 Śpi już pod zimną mogiłą!...

Pędź, pędź! mój koniu, lotem błyskawicy!
 Świszczącą strzałą siecz wiatry szumiące!..
 Niech osuszone z twarzy łzy gorące
 Nie zdradzą ludziom serca tajemnicy...

A teraz, koniu! rozstać się nam obu!
 Dzięki ci! dzięki twej wiernej posłudze!..
 Wracaj wesoły do twojego żłobu!
 Ja, smutny, wracam między ludzie cudze.

1858.

PIOSNKA DZIEW CZĘCIA.

(Z fińskiego.)

O, gdybyż wrócił mój ukochany!
 Wrócił tak dawno nieoglądany!
 Chciwie bym w jego usta się wpiła,
 Chociaż by wilcza krew je broczyła.
 Chciwie bym jego chwyciła dłonie,
 Choć by się żmije obwiły o nie...

Gdybyż pojmował ludzkie boleści,
 Gdybyż miał rozum wietrzyk wiośniany!
 Od niego do mnie by naprzemiany
 Biegał, kochankom przynosząc wieści...

Zrzekę się wszystkich łakoci w świecie —
Tłustej z książęcego stołu pieczeni —
Niechaj się tylko dla mnie nie zmieni
Drogi chłopczyzna, co poznał w lecie,
Co mnie pokochał w mroźnej jesieni!

ZIEMSKIE DROGI.

(W imionniku — młodemu na drogę.)

Przez noc droga do świtania —
Przez wątpienie do poznania —
Przez błędzenie do mądrości —
Przez śmierć do nieśmiertelności.

W IMIONNIKU J. S.

— «Wpisz też i pan jakie słowo!
«Oto pióro i atrament...»
Co pisać? — gdy sercem, głową
Wichrzy uczuć, myśli zamęt ..

Ze zamętu słowo boże
Wywiodło niegdyś świat nowy —
I mój duch zdołał by może
Słonecznemi trysnąć słowy ...

Ale — wiersz raz napisany,
Między ludzi w obieg idzie,

Jako lichy grosz miedziany —
I w złe nie raz ręce przydzie.

Zamiast więc duch wieszczu w jasnych
Słów - słońce rozstrzelać firmament,
Lepiej w głębi piersi własnych
Zawrę ten kipiący zamęt.

I zakończę, jak najskromniej,
Ten szereg rymów bez myśli,
Prośbą: niech czasem przypomni
Dłoń życzliwą, co je kreśli.

O MROŹNYM RANKU.

Bładolica
Czarownica
Biegunowych pustych mórz,
Zawitała
Zima biała
W bujnej ziemi złotych zbóż.

Kraj, z wieczora
Jeszcze wczora
Tęsknego pełen uroku,
Oniemiały,
Trupio biały,
Z porannego wstaje mroku.

Nad wrotami,
Nad płotami,
Nad ogrodu kląby siwe,

Gwarna rzesza
 Wron się wiesza,
 Roździawiając dzioby krzywe.

Oszronione,
 Zbezwładnione,
 Smutne drzew przydróżnych pary,
 Jak żałobnych
 Widm nadgrobnych
 Szereg, w mgle mającą szaręj . . .

W tem — nad szronem
 Ubielonem
 Milczących przestworzem łąnów,
 Purpurowa
 Słońca głowa
 Wynurza się z mgły tumanów.

I ten cały
 Omartwiały
 Świat posepnych, bladych larw
 Lśni się — pali —
 Skrzy — kryształy —
 W nieskończoność cudnych barw.

Szmaragdami,
 Opalami,
 Lśni łąk dywan srebrnolity;
 Drżąca trzcina
 Czoła zgina,
 Brylantowe trzęsąc kity.

Z pod tającej
 Pleśni lśniącej
 Liście klonów, brzóz, osiny
 To migocą,
 To się złocą,
 To rumienią jak rubiny.

Ze strzelistych,
 Pozłocistych,
 Młodocianych świerków berł
 Szemrząc spada
 W dół kaskada
 Przezroczystych, bujnych perł.

Po malinach,
 Po leszczynach,
 Jesiennej przędzy pajęczej
 Wiotkie szmaty
 Drżą jak kwiaty,
 Strojne w wszystkie skarby tęczy...

Z wyżyn blada
 Mgła opada,
 I nakształt spienionych fal,
 Jak szeroko
 Sięgnie oko
 W złudną się rozlewa dal.

Z nad jej łoża,
 Niby z morza
 Czaro - wyspy wyłoniłone,
 Lasy, wzgórze —
 Kraj wynurza
 Swoje czoła zapłonione.

Z bielejących
 Siół milczących
 Sto wstęg w niebo dymy wiją;
 Z wieżyc szczytów
 Do błękitów
 Złote ognia słupy biją.

Po nad niemi
 Olbrzym ziemi,
 Piramida Babiej - góry,

Pysznie płonie,
W chmur koronie,
W płaszczu z srebra i purpury ...

W spromienieniu,
W przemienieniu
Czarodziejskiem tem twej krasy,
Z góry twemi
Żegnaj że mi,
Cudny kraju! z twemi lasy.

Zakowany
W martwe ściany
Miejskiej mojej klatki ciasnej,
Tak jak teraz,
Śnić cię nieraz
Będę w tej przemianie jasnej.

Lecz koń czeka —
Rży — daleka
Przypomina, że nam droga ...
Czarolico
Okolico!
Pozostań mi w łasce Boga!

1860.

POCHWAŁA WINA.

(Z wschodniego poety Mirza-Szafi.)

Z głębi czary przezroczystej,
Z słodkiej krwi winnej jagody,
Bije jad i nektar czysty,
Wzniosłość i spodlenie bije —
Wedle darów i przyrody
Biesiadnika, co z nich pije.

Gdy w obrzydłem zbydlęceniu
 Głupiec upada pijany,
 Człek ducha, winem rozgrzany,
 W boskiem wznosi się natchnieniu.

Z ust anielska mowa wionie,
 Myśl promienne tęcze snuje;
 Dwakroć żywiej serce płonie,
 Dwakroć każdy wdzięk czaruje.

Wino jest jak ten deszcz boży —
 W błoto spadły, błoto mnoży;
 Lecz na żyzny łan spuszczoney,
 W kwiat i w złote strzela plony.

PIOSNKA CYGANÓW WĘGIERSKICH.

Za obłokiem obłok bieży —
 Przez nie miesiąc świeci . . .
 W szczerem polu do wieczery
 Cygan ogień nieci.

Wolny buja jelen w borze,
 Łosoś pływa w toni;
 Wolny orzeł wiatry porze —
 I my tak, jak oni!

— «Pójdź, dziewcze, żyć ze mną w dworze!
 Dam ci szaty drogie,
 Stół wytworny, miękkie łoże,
 I służebne mnogie.»

Spróbuj! czy ci orzeł płowy
 Wleci w klatkę złotą!
 W złotą uzdę koń stepowy
 Czy da łeb z ochotą!

Step zielony łożem, stołem —
 Niebo za pokrycie —
 Dni nienękane mozołem —
 To cygańskie życie!

Wolny buja jelen w borze,
 Łosoś pływa w toni;
 Wolny orzeł wiatry porze —
 I my tak, jak oni!

PIOSNKA KOPTYJSKA.

(Z Goethego.)

Niech tam sobie mędrcy co chcą żywnie radzą,
 Co błąd a co prawda, jak chcą niech się wadzą;
 Na jedno się godzą wszyscy mędrcy ziemi:

Głupi, kto o głupców poprawie by marzył!
 Wy, których Bóg zdrowym rozumem obdarzył,
 Śmiejąc się z nich, głupców niechajcie głupiem!

Sam Merlin zgrzybiały — we swoim kurhanie
 Cudownie olśnionym — kiedy go o zdanie
 Pytałem, słowami odprawił mnie temi:

Głupi, kto o głupców poprawie by marzył!
 Wy, których Bóg zdrowym rozumem obdarzył,
 Śmiejąc się z nich, głupców niechajcie głupiem!

W przybytkach Braminów na indyjskich górach,
W egiptskich piramid tajemniczych murach,
Wszędy sąd brzmiał jeden języki różnemi:

Głupi, kto o głupców poprawie by marzył!
Wy, których Bóg zdrowym rozumem obdarzył,
Śmiejąc się z nich, głupców niechajcie głupiem!

CZTERY OBOWIĄZKI.

(Przypowieść wschodnia.)

Do Mahometa, jako przystoi,
Ze czią, przystąpił młodzian nieśmiały.
— «Pomarli» rzecze «rodzice moi.
Chciej mnie pouczyć: czy więc ustały
Me obowiązki względem nich wszelkie?»

— «O, nie! Zostały cztery — i wielkie!
Do Boga modły wznosić za niemi;
Długi ich wiernie spłacić na ziemi;
We czci zachować, co szanowali,
Strzedz od ruiny, co zbudowali.»

DOBRA RADA.

(Przypowieść wschodnia.)

Na wiernych swoich zastępów czole
Przeciw niewiernym Prorok ciągnął w pole.
Dosiągnąłszy blisko wroga wieczorem,
Na noc swe wojsko stawia taborem,
Nie bacząc na to, że w okolicy
Nigdzie strumienia, ani krynicy.

Na to doń Arab przystąpi stary.

— »Pozwól się spytać, pochodnio wiary!

Z natchnienia Boga czy tak poczynasz,

Że na tem miejscu obóz rozpinasz?»

— »Nie. Bóg mi o tem nie objawił.

Po własnem zdaniu wojskom tak sprawił.»

— «Skoro tak, rada nie będzie grzechem!

Radzę więc: zmień twój rozkaz z pośpiechem,

I przenieś obóz tam, gdzie w dolinie

Zdrój chłodnej wody obficie płynie.

Byś, kiedy zagrzmi okrzyk: do broni!

Nie wiódł zwątlonych ludzi i koni.»

Uznając słusność, Prorok wnet spieszy

Nowe rozkazy wydać swej rzeszy.

Możnym i mędrcom na pamięć wieczną

Przykład podając: jak użyteczną

Radę ochoczo przyjąć się godzi,

Z jakbądź poziomych ust ta pochodzi.

Bóg to tak w swojej mądrości zrządził,

W wyborze miejsca że Prorok zbłądził.

Próżności ludzkiej na pokazanie:

Mąż nawet boży że nie był w stanie,

Bez rady bliźnich, ustrzedz się chyby —

A jakoż grzeszni ludzie chcieli by?

MIECZ AMRU.

(Przypowieść wschodnia.)

Przez mnogie miasta, wielkie pustynie,
Miecz Amru*) z cudnych przymiotów słynie.

*) *Amru*, bohater i wódz plemienia Karaiszytów, w których obwodzie leżała Mekka. Jeszcze za życia Mahometa uznał posłannictwo i zwierzchnictwo Jego.

Jak wiotkie kłosy łby końskie zmiata,
 Od głów do siodła w pół jeźdźców płata.
 Najhartowniejszej żelazo zbroi
 Przed jego ciosem się nie ostoi.

Rycerski Omar,*) poznać ciekawy
 Miecz tak wielkiego hartu i sławy,
 Do wodza Amru wyprawia posły,
 By mu na pokaz oręż przyniosły.
 Amru, ochoczo od boku broń
 Odjąwszy, w posłów składa ją dłoń.

W pośród namiotów zasiadłszy kołem,
 Omar, z rycerstwa swojego czołem,
 Okiem świadomem ceny brzeszczotów
 Śledzą słynnego miecza przymiotów.
 Każdy wstrząśł tylko głową — i znowu
 W kolej badają ostrza i kowu.
 Sto silnych w kolej doświadcza ramion —
 Żadnych nadzwyczajnych nie widzą znamion.
 Wreszcie, sąd wszyscy wydali zgodny:
 «Zbytnej swej sławy miecz ten nie godny.»

Z takim wyrokiem do swego pana
 Ręku broń wraca wyprobowana.
 Amru wysłuchał sądu cierpliwie.
 — «Zdaniu się temu zgoła nie dziwię!
 Oręż mój swojej sławie nie kłamie;
 Lecz do oręża należy — ramię.»

*) Omar, ojciec jednej z żon i drugi z kolei (po Abubekerze) następca Mahometa.

POWIASTKI I OBRAZY.

NOC S. JANA.

(Podług powieści gminnej.)

Ostatnie podzwęki świątecznego pienia
Przebrzmiały na Narwi pobrzeżu piaszczystem;
Wieczornej Sobótki ostatnie płomienia
Rozwiał wicher chłodny z przeraźliwym świstem.

I ciemno dokoła, i smutno dokoła —
Wód tylko pierś miękka brzmi cichym oddechem,
I wzgórków jałowych obnażone czoła
Dalekich piorunów rozmawiają echem.

A po nad górami, a po nad lasami,
Co z wichru głosami gwarzą długim szumem,
Jak rój widm, splątany w fantastyczne tany,
Szarawe chmurzyska przeganiają tłumem ...

Otóż cudów godzina — oto czarów czas!
Dalejże! ktoś śmiały piekłu stawić czoło,
W odludne ustronie, w bezdrożny spiesz las;
Potrójnym się kręgiem opisz na około.

A północ nad tobą wnet burzą zaryczy;
Wśród błyskawic, gromów bicia,
Cudownemi blaski wystrzeli z powicia
Paproci kwiat tajemniczy.

I szatan widomie stoczy z tobą bój,
Rój strachów na ciebie i zrad zwiedzie rój;
Aż kiedy rumianej zaświeci blask zorzy,
Jak niewolnik panu, tobie się ukorzy.

Tylko biadać! biadać! jeźli koła progi
Przestąpisz, jutrozenka zanim wznijdzie blada!
Wieczyste cię piekła pochłona pożogi —
Biada ci! na wieki biada! . . .

I słyszał to strzelec, strzelec jeden śmiały
I piersi mu żądzą niecierpliwą wrzały;
A kiedy straszliwych nadszedł czarów czas,
Pochwycił broń wierną i biegł w czarny las. —

Jako jelen dziki, gnany łowców krzyki,
W lot przemknął nadbrzeżne równiny;
I oto — już drze się po bezdrożnym lesie,
Przez chrapy, przez gąszcze leszczyny.

I stanął nareszcie, gdzie stary lat dwieście
W zwierciadle strumienia przeziara się bór . . .
A nad nim obrzydły, żałobnymi skrzydły,
Zaszumiał spłoszony nocnych ptaków chór.

On spojrzał — na chwilę myśl trwożna przelotnie
Mignęła — lecz zgasła wnet na męskiej skroni;
I końcem swej wiernej, poświęconej broni,
Czarownem się kołem opisał trzykrotnie.

Sosn suche gałęzie na gromadę kładł, —
Skrzeszał na panewce i podpalił stos, —
I ogień rozniecił; — i na miękkie wrzos,
Przy dymnem ognisku, jak na łożę, padł.

I z torby wydrzanej wziął wódkę i pije,
Na głos piersią całą nucąc piosnkę wieszczą . . .
A płomienie trzeszczą — a puchacze wrzeszczą —
A wicher szaleniec wyje

Północ! — Deszcz błyskawic lunął
 Krwi potopem na świat.
 Grad piorunów z trzaskiem runął —
 Czarodziejski pęknał kwiat.

I morze pojących polało się woni —
 Cudowną jasnością olśnięty,
 Jak gdyby posiany cały dyamenty,
 Posepny się las skrzy, migoce, płoni...

Zobaczył myśliwy te nadziemskie dziwy —
 I w krzewie paproci, co pod jego nogi
 Zakwitał wspaniale, utopił wzrok chciwy —
 I dłonią łakomą uchwycił kwiat drogi...

Wraz śmiechem weselnym i rykiem piekielnym
 Larw mnoga zagrzmiała tłuszcza;
 I ziemia się pali, i z hukiem się wali
 Ze wszech stron odwieczna puszcza...

Zimnym trwogi potem ściekła strzelca skroń —
 Obiedwie źrenice w skrzepłą ukrył dłoń;
 Jak trup cały blady, i zimny jak trup,
 Stał niewzruszony, jak kamienny słup...

A kiedy zbieleły znów oczy odsłonił,
 Tylko liścia nad nim szeptało sklepienie;
 I strumień żałośnie po krzemieniach dzwonił,
 I blade w ognisku skwierczały płomienie...

Tam — co to tak świeci, z po pod żółtej ziemi,
 Głęboko, pod sośni olbrzymiej wywrotem?
 To kotły, ładowne pod wierzch srebrem, złotem,
 I pereł sznurami, kamieniami drogiemi.

Dojrzał ich młodzieniec — i skwarny rumieniec
 Na licach wybił mu chłodnych;

I próżno się sili, próżno głowę chyli
Od skarbów widoku zwodnych.

Bo gdzie głowę zwróci, kędy tylko rzuci
Iskrzącą od żądzы żrenicą,
Pod każdym wnet drzewem, pod każdym wnet krzewem,
Srebro, złoto z ziemi świecą.

Lecz świecą daremnie, łudzą go daremnie!
On, jakby wrósł w ziemię, chociaż żądzą płonie. —
Aż wreszcie, tajemnie, w mrocznem ziemi łonie
Przepadły, jak wyszły tajemnie...

Czyjeż to tam prośby? czyjeż to tam groźby?
Czyj że to z gęstwiny jęk słyсhać stłumiony?
Zbójcy są to groźby, a starca te prośby —
A starzec, to ojciec myśliwca rodzony.

Przed zbójcą drżącemi czołga się kolany,
I żebrze, i trwożny wzrok wodzi do koła —
W tem zobaczył syna — i żałośnie woła:
«Ach! ratuj mnie, ratuj! mój synu kochany!»

On widzi, on słyszy ... co czynić sam niewie —
To żal go, to zgroza, to trwoga ogarnie;
I cierpiał tak straszne w swem sercu męczarnie,
Jakby go już piekła paliło zarzewie...

Na ziemię się rzucił — i dłońmi obiemi,
Jak kret, pazurami w wilgotnej rył ziemi,
I w uszy obiema rękoma ją tkał —
A w uszach rozpaczny głos starca mu brzmiał...

A co jeszcze widział, i co słyszał jeszcze,
I serce jak straszne ziębiły mu dreszcze,
Żadna tego ludzka niewypowie mowa —
Jak piekła, zdrad jego nieogarną słowa.

Przecież sercem stałem odparł rój ich cały;
I za nim na niebie zajaśniał świt biały,
Szatan, jakby wstydną daremnego boju,
Śmiałego zwycięzcę porzucił w pokoju...

Z po za chmur pogodne przejrzały niebiosy —
Pomiędzy gwiazd drobnych promiennymi rotą,
We mglistym się rąbku snuje księżyc złoty —
Po liściach trzepoce brylantowa rosa...

Lecz czyjeż to szaty bielą nad strumieniem?
Toż anioł zbiegł z nieba po blasku księżyca?...
Z płonącym spojrzeniem, z brzmieniem w ustach pieniem,
W lotnej z bieli szacie, wybiegła dziewica.

Po licu rumianem, po łonie jej śnieżnem,
Zwój spływa złocistych warkoczy;
Pierś jej tchnie rozkoszą — a okiem lubieżnem
Młodzieńca spotkała oczy.

Olśniony, złudzony spojrzenia urokiem,
Zapomniał myśliwiec i czarta i trwogi:
I razem, za koła czarodziejskie progi,
W objęcia dziewczyny pobiegł jednym skokiem...

I wraz zatrzęsł puszcza śmiech i wrzask szalony,
Z pod stóp strzelca płomień wybuchnął czerwony,
I w piekło przepada — z nim czartów gromada —
Biada mu! na wieki biada! —

SIEROTA.

(URYWEK.)

Blask purpurowy rannej jutrzenki
Na pogodnem błysnął niebie;
I umalował barwy złotemi
Wschodnich obłoków kolumny.
I dumne czoła olbrzymich zamków,
Stróżów starego Mazowsza —
I wzgórz piaszczystych nagie wierzchołki,
Potokami poorane —
I smutnych sosen wybiegłe szczyty —
Rumieńcem zorzy splonęły.

Poranek jaśniał w całym uroku, —
Tylko jeszcze, niespłoszona,
Tęskna kochanka mgłęgo księżyca,
Cisza, w przestrzeni drzemała.
Milczący ziemia ze snu wstawała;
Tak miłością pełne łono
Z cicha się wznosi burzą namiętą,
Nim się zeń wyrwie westchnienie.

Aż oto na raz — gdzieś — niedojrzany,
Powietrzny zabrzmiał skowronek.
Zabrzmiał w niebiosach — i wnet na ziemi
Tysiące głosów mu wtórzy

Cienistą ścieżką, przez Puszcę - Zieloną,
 Leniwo kroczył samotny młodzieniec.
 Nędzne miał szaty, kij dębowy w dłoni,
 Głowę na piersi ponuro zwieszoną.
 Lecz gdy na chwilę podniósł ją do góry,
 Z zacienionego kruczym włosem czoła,
 Przez czarne smutku i boleści chmury,
 Świeciła wielka i gorąca dusza;
 A z żywych oczu płomieniem strzelały
 Namiętne żądze i zapal młodzieńczy,
 Nieprzygaszone strumieniem łez słonych,
 Co mu brózdami znaczyły twarz bladą.

I dziwnie było patrzeć na te lica,
 Lśniące mętnemi gorzkich łez kroplami,
 Wśród kwiatów świeżych i liści jedwabnych,
 Zwilżonych niebios przezroczystą rosą.
 Lecz gdybyś zajrzał w głąb piersi młodzieńca,
 Już byś się więcej łzom jego nie dziwił;
 I jeźli, w świata trujących objęciach,
 Jeszcze twe serce w lód się niezmroziło,
 Sam byś zapłakał. —

Młodzian był sierotą,

Nieznanej matki, nieznanego miana.
 Niegdyś, w jesieni, o pierwszym dnia brzasku,
 Ode mgły rannej w przesiąkłych powiciach,
 Drobnem go w lesie znalazł niemowlęciem
 Dworski myśliwiec — i wzięwszy na ręce,
 Zaniósł na zamek przemożnego pana.
 Tam rósł sierota, w sług zgiełkliwym tłumie,
 Karmiony twardym miłosierdzia chlebem.
 Najpierwsze jego wpółwyraźne słowa —
 Serc rodzicielskich najmiłszą pociechę —
 Głuszyły krzyki i wrzawa pijana.
 Potem, odziany w barwę służebniczą,
 Płacony groźbą, obelgą, pogardą,
 Na służbie pańskiej strawił wiek dziecięcy,
 Jak pies na każde posłuszny skinienie.

Lecz skoro boska czarodziejka — młodość
 Dotknęła wieszczą różczką jego czoła,
 Święty kwiat uczuć wzeszedł w jego łonie,
 Przed olśnionemi stanęła oczyma
 Godność człowieka, w światłości promieniach.
 A komu światłość taka raz zabłysła,
 Przebiła grubą ślepoty pomrokę,
 Możeż się jeszcze milczący przyglądać
 Szalonej dumie, pijanym biesiadom,
 I patrząc na nie nędzę znieść cierpliwie? ...

Młodzieniec nocą rzucił dwór bogaty.
 Błyszczące, miękkie, służebnictwa szaty
 Zmienił na biedną siermięgę swobody —
 I poszedł, kędy zawiodą go stopy,
 W świat niegościnnie, szeroki, nieznany

NIEWIERNĄ.

Rano w niedzielę
Poszła panna po ziele ,
I znalazła złotą nić:
I zaczęła złoty wianek wic.
Przyjechał ci do niej pan —
Z piekła rodem sam szatan.

PIEŚŃ GMINNA.

O zaranku w niedzielę
Na wieśniaczym kościele
Poszczerbiony bije dzwon..
Strojno, tłumnie gwarne roje
W poświęcone podwoje
Garną się ze wszech stron.

A za dworem, na łące,
Błyszczą kwiatów tysiące;
W pośród nich, zorzolica,
Niby motyl skrzydlaty,
Buja płocho dziewczica.
Buja — nuci wesoło —
Różnobarwe rwie kwiaty,
I w wonne splata koło
I gładkie zdobi czoło.

Spiesz dziewico! spiesz! . . z zapalem
Chwytaj rozkosz sercem całym!
Śpiewaj pieśni — chwytaj woń,
Woń ojczystą lilii, róż —

Bo karząca Boga dłoń
 Blizko — blisko już!...

Pędzi z dała wściekła wrzawa,
 Głucho szumi czarny bór;
 Po ziemi gna kurzawa,
 Po niebie stado chmur.
 W nich, jak wąż, krwawym się spletem
 Błyskawica wije;
 Niebo gromów drży łoskotem,
 Wichor dziko wyje.

Słyszy to lud w kościele,
 I na ziemię ściele,
 I w dziecięcej szepce wierze
 Mnogie śluby, pacierze.

Widzi burzę dziewica —
 Udatne zbladły lica;
 Z białą piersią wzdętą trwogą,
 Z skronią strojną w świeże kwiaty,
 Z rozwianemi na wiatr szaty,
 Lotną bieży nogą.
 Przez zielony bieży smug,
 Okiem goni w dworu próg.

Ale któż to — tam, po błoniach,
 Przez wzgórza, zagony
 Mknie na dzikim, karym koniu,
 Z wiatrami w przegony?
 Rumak sypie skry kopyty,
 Pędzi skrzydłem błyskawicy — —
 Co raz bliżej — — aż jak wryty
 Stał przy dziewicy.

Śmiechem parsknął młodzieniec,
 I wyskoczył z strzemiona:
 — «Witaj mi — o ulubiona!
 Ślubny daj mi wieniec! —

Cóż to? z kąd to zimno w oku,
 Gdy kochanek przy twym boku?
 Spójrz! poznaj, ulubiona!
 To ja — Jaś — twój kochanek...
 Do białego przytul łona;
 W wonny strój mnie wianek!»

Ona zaszła krwią oczy
 Dokoła dziko toczy!
 Twarz jej trupim potem ściekła,
 Po niej igrzą męki piekła.

— «Co?.. czego chcesz? szatanie!
 Na bagnie, na otchłanie,
 Precz ztąd, w ogień — żywioł twój!
 Niech płomienia skrawy zwój
 Owieńczy twoje skronie...
 Niech cię piekło pochłonie!
 Zgiń — przepadnij szatanie!...»

— «Ha — ha! słodkie powitanie!...
 Takąż mi nagrodę
 Za me serce dajesz młode,
 Za wierne kochanie? —
 Jam na każde tve skinienie
 Drżał jak dziecię małe;
 Za tve jedno uściśnienie
 Dałbym życie całe...»

O! przekłeta bądź godzino!
 Gdy do biednej chaty
 Zakolatał pan bogaty,
 Ze swoją drużyną.
 Garścią złota on zadzwonił,
 Swieczącemi mignął wstęgi —
 Twoją miłość i przysięgi,
 Jakby wiatr rozgonił.

Ojcaś, matki się wyrzekła,
 I rozpustne wieść uciechy

Od rodzinnej twojej strzechy, —
 Odemnieś uciekła! . . .
 A jam został zawsze stały;
 I z sercem w żałobie
 Z kąta w kąt kraj zbiegłem cały,
 Pytając o tobie.
 I w ostatnią życia chwilę
 Tyś mi w myśli stała;
 I o tobie myśl w mogile
 Zasnąć mi nie dała.

Z zielonego grobu mego,
 Nad drogą, pod borem,
 Wstawałem z każdym wieczorem,
 Z gwiazdami na niebie,
 Mściwie czyhać noc na niego —
 Co mi wydarł ciebie.
 Ileż nocy nieprzespanych!
 Męczarni zemsty przeczekanych!

Aż dopiero w wieczór wczora
 Pochwyciłem go, wydziercę!
 I zębami mu upiora
 Przekłęte wyżarłem serce.
 Trupa djabłu oddałem,
 Sam do ciebie bieżałem.
 A ty dziś za serce młode
 Za łzy i cierpienia,
 Kryjesz w dłoniach ust jagodę,
 Odwracasz spojrzenia!
 Widzę! — mało tobie, mało,
 Serca co cię ukochało!
 W myśli tobie złote szaty,
 Pańskie stoły i komnaty,
 I służebnic rój
 Ha! ciesz się — ot i bogaty,
 Pan po ciebie dąży twój!
 Spiesz z nim, — przy jego boku
 W wspaniałym zamku gość! . . .

Twego szczęścia widoku
Mej duszy będzie dość . . . »

I oto , z drugiej strony ,
Drugi jeździec przyskoczy.
Jak węgiel rozpalony
Jego twarz , — jego oczy
Jakby dwa ogniska płoną ;
I kruczemi ramiony ,
Jakby smoczemi szpony ,
Objął kibić toczoną .
I dosiadł z nią bieguna ,
Na swą pierś wsparł jej skroń —
I z łoskotem pioruna
Kruczy poniósł ich koń . . .

Ziemia tętni — oni jadą —
Przed niemi wilków moc ,
Nad niemi kruków stado ,
W koło nich czarna noc . . .

Aż u piekła czarnych wrot
Koń wstrzymał wściekły lot.
Rozwarły się podwoje ,
Zawyły dzikie roje —
Niby służalców dwór
Nowej pani ślubny chór.

Niesfornemi gromady
Dokoła młodej pary ,
Do piekielnej pieczary
Biegą zwodzić biesiady.
I rozhukanem kołem ,
Zasiadłszy po za stołem
Płonące z spiżu ławy ,
Zgraja rwie sprośną ręką ,
Chciwą chłonie paszczką
Obmierzłe z gadów strawy.
I w ludzkie czaszki leje ,

Pije wrzące oleje —
Pani-młodej pieśń pieje...

Jedzą ciągle — wciąż głodni,
Piją wciąż — schnąc z pragnienia —
A z płonących pochodni,
Od czarnego sklepienia,
Ognista kapie smoła,
I płynie im po twarzy:
Straszliwe trawi czoła,
Trawi czaszki, mózg smarzy — —
A oni jedzą, piją,
Śmieją się, pieśni wyją....

Po skończonej biesiedzie,
Cały tłum z wrzaskiem wie dzie,
Wie dzie kochanków parę
Pod małżeńską kotarę.
I na łożę wnet weselne
Legło stadło nieśmiertelne...
Żmija z węzem się obwila
Na około łona —
I płomienna ich zasłona
Na wieki zakryła.

I zamilkło potępienia wycie,
Pobladły piekła płomienie,
Przedę głosem z wysokości:

» Potępienie wam! potępienie!
Dzieci dumy i próżności,
Dzieci zguby! co kupczycie
Niebieskim darem miłości.»

UCZTA.

(Urywek z zaginionej powieści «Wet za wet».)

We dworze starosty błyszczy światła wiele,
Dym bury słupami bije przez kominy.
Niedawno starościc odprawił wesele,
Dziś w dworze ojcowskim sute przenosiny.

Pośród sali wysokiej stół ciągnie się długi,
Na nim ucztę dostatnią zastawiły sługi.
Niby wojsko przed bitwą, w groźnym szyku stały
Rozliczne roztruchany, kielichy, kryształ.
W pośrodku nich, piętrzone, jak warowne miasta,
Rumiane się, cukrzane, wydźwigały ciasta.
Na szerokich półmiskach, w szafranowym sosie,
Bez liku dzikich ptaków stado pławiło się ...
Nad wszystko, dziwnym kunsztem, lśniący, okazały,
W podskoku, niby żywy, stanął rogacz cały.
Z kwiatów więzy złożony obwili mu róg,
A na grzbiecie cukrzany siadł skrzydlaty bóg.
W ręku bożka szkarłatny powiewał proporzec:
Na proporcu z Habdankiem złączony Toporzec.

Polskiego zagrzmiały skrzypice, oboje —
Szerokie się oścież rozwarły podwoje,
I chrzęst niewyraźny zakrzywionych kordów
Do hucznej muzyki wmięszał się akordów.

Oparta na teścia pomarszczonem ręką,
 Weszła Pani-młoda, w całym blasku wdzięku.
 Z obliczem tak jasnem, jako śnieżne wzgórze,
 Gdy w zorzy zachodniej kąpie się purpurze;
 A z okiem tak lubem, jak w maju niebiosy,
 Jak błękit bławatka, zwilżony łzą rosy.

Lecz w czystem tem oku, w kwitnącej tej twarzy,
 Próżno byś ciekawem dośledzić chciał okiem
 Odblasku płomienia, co w sercu się żarzy.
 Tej cudnej tęsknoty, co na jaw wyświeca
 Tajemnicę duszy, co kocha, co marzy —
 Bez której i piękność tak mało zachwyca,
 A która ubogie nawet w wdzięki lica
 Niewypowiedzianym oblewa urokiem . . .

W ślad zatem tłum mnogi, gwarliwy, ochoczy,
 Z sąsiedniej komnaty, powolnie, wspaniale,
 Jak Wisły wiosennej zapienione fale,
 Posuwistym krokiem do sali się toczy.
 I wszyscy do koła u stołu zasiedli —
 Śmieli się, gwarzyli, i pili, i jedli.

Starosta szczęśliwy — was kręci do ucha,
 Goloną czuprynę szorstką dłonią gładzi,
 Złocistego pasa poprawia u brzucha —
 Dumnie się uśmiecha, i z rozkoszą słucha,
 Jak zgraja pijana w życzeniach się sadzi,
 Jak rój darmozjadów pochlebstwy mu kadzi.

Aż razem z za stołu powstał sąsiad stary —
 I siwy, i stary, lecz rzeźki i jary,
 Co to, gdyb dziś jeszcze dobył z pochew miecz,
 To nie jedna głowa wnet poszłaby precz —
 Powstał, i ogromnej wznosząc puhar miary,
 Pełny równo z wierzchem wonnego węgrzyna,
 Pokłonił się głową, i prawie zaczyna:

«Jako na firmamentu jasnej wysokości
 Gorą dwie złote tarcze niezmiernej jasności,

Tak na ojczystem naszym niebie, dwa klejnoty,
 Błyszczą Habdank z Toporem, przez swe zacne cnoty,
 Niby owe odwieczne niebios luminarze.
 Cóż? gdyby księżyc z słońcem poszedł kiedy w parze?
 Cóż? kiedy się dziś Habdank połączył z Toporem?
 To cały świat już zaćmiał niezmiernym splendorem!..
 Niechaj że nam ta jasność nigdy nie zachodzi!
 Wiwat Habdank z Toporem! wiwat państwo młodzi!»

I koło wnet całe na nogi powstało —
 Sto błysło kielichów — sto głosów zagrzmiało!
 «Wiwat państwo młodzi!»

— »Przekłęci!» dwa głosy za oknem zagrzmiały —
 I oknem do sali dwa wpadły wystrzały.
 A jeden strzał utkwiał w starościca czoło,
 Krwią jego i mózgiem pokropił w około;
 A drugi strzał utkwiał pani młodej w łonie —
 Rozranił jej piersi, toczzone, dziewicze —
 Pobladło rumiane jak zorza oblicze —
 Gładkie jak śnieg, w perły zaplecione skronie
 Zwisnęły na poręcz. Młodość i uroda
 Przepadły! przepadły!... I nie wielka szkoda!
 Bo kto jak trup chłodny, choć życie nim władnie,
 To czegoż żałować kiedy trupem padnie?...

Za hukiem wystrzałów, za przestachu krzykiem
 Nastąpiła grobowa chwila osłupienia.
 Godowa drużyna — posągi z kamienia —
 O życiu spojrzeniem tylko mówią dzikiem.
 A w koło tak cicho! tylko na podłogę,
 Słysząc, jak krew pluszcze, co z trupów ucieka,
 I z stołów jak ścieka rozlanych win rzeka,
 I serca po piersiach jak biją na trwogę.

W tem: «gore! gore!» przeraźliwym krzykiem
 Stróp zadrżał dębowy. Przez okno strzaskane
 Żarłoczne płomienie, z czerwonym językiem,
 Na adamaszkową rzuciły się ścianę.

Raz, drugi, po suchym modrzewiu liznęły —
I wnet całe ściany ogniem zapłonęły.

Klnąc głosem straszliwym, wygrażając gniewnie
Nagiem szablami — niewiadomo komu —
Wpół-pijana szlachta wybieżała z domu.
Za nimi, łkający i zawodząc rzewnie,
I łzami hojnemi zalewając lice,
Poważne matrony i hoże dziewice.

A w domu, co jeszcze przed chwilą tak gwarne,
Dwa tylko za stołem ciche trupy siedzą;
I do pary sobie dobrawszy dym czarny,
Jak gdyby u siebie, płomienie ochocze,
Na wiatr rozpuszczając swe złote warkocze,
Po pustych komnatach szalony tan wiją —
I chciwie z półmisków smaczne strawy jedzą,
I smaczne napoje chciwie z naczyń piją.

W podwórzu zgiełk, nieład, i rozpacz, i trwoga.
Spieniona się szlachta rozbiegła bez ładu, —
Szukają, klną, krzyczą, wywołując wroga,
A wroga do koła ni słychu, ni śladu.
Więc dalej się wszyscy wielkim krzyżem zegnać,
By urok szatański od oczu odegnać.

Sam starosta stoi — patrzy, jak dwór płonie —
I bura żrenica we łzach mętnych tonie.
Nie z żalu za dworem — dość drzew w boru rośnie! —
Lecz z żalu po synie, co tak marnie ginie,
Ostatni z rodziny, w życia swego wiośnie;
Beze czci pogrzebnej, grobu w ziemi świętej,
W płomieniach spalony, jak gdyby wyklęty! . . .
I srodze staremu serce zabolęło.
— «Hej! kto mi przyniesie syna mego ciało!
Bóg świadkiem na niebie! nie strudzi się marnie,
Co żywnie sam zachce, w nagrodę zagarnie.»

Daremne wołanie! nikt kroku nie ruszy —
Za złoto na zgubę nikt nie rad dać duszy.

— «Ha! toż ja sam muszę!..» i sam ojciec stary
W płomienne poleciał jak szalony żary.
Poleciał — już więcej ztamtąd nie wyleci!
Ptactwu na biesiadę trup piecze się trzeci.
Tłum klęknął opodal — wzniosł w górę wejrzenia —
I słyhać szeptania, i słyhać westchnienia:
«Wieczna światłość niech im świeci!...»

A kiedy poranek błysnął licem bladym,
Zgliszcze tylko czarne dymiło nad drogą;
Wołając do jednych wymownym przykładem,
Do drugich wymowną groźbą i przestrogą.
A z czarnego lasu, długiem, smutnem stadem,
Pośpiesznie zleciały w gości kruki, wrony;
I kraczą, i skaczą, i żrą ścierv pieczony...
Szczęść Boże im co dnia takowym obiadem!

SKARBEK.

Wspomnienie z roku 1107.

W nieogarnionym okiem obozie Henryka,
Z lesistej Polski orszak zbrojnych posłów stawa,
Niosąc mu od dzielnego pokój Bolesława.
Ale Niemca zaboru żenie żądza dzika,
I dziksza дума: ludom narzucać swe prawa —
W swobodnych Polan wodzu zapragnął lennika.

Więc, to ich groźby strwożyć chce straszniemi,
To chytrze słowy usidlić lisiemi,
By cześć lenniczą posły mu oddały.
Ale próżno! o mężu zbroicę stalową
Słowo pogrózki i chytrości słowo
Odbite pada, jak ziarno od skały.

W lennych pochlebców schodowany tłumie,
Nad wolnych ludzi wyniosłą stałością,
Niemiec od dziwu posięć się nie umie;
Zsiniałe usta z niemą kąsa złością —
Chciałby, choć z piekła, wszystkie siły ruszyć,
By posłów nagiąć do nóg swych — lub skruszyć.

Jako zaś każdy innych sobą mierzy,
Myśl ich osłepić blaskiem złota wierzy.
Więc w głąb namiotu wiedzie z sobą męża,
I odsłaniając pełną złota skrzynię,

Szydź do nich słowami: «Patrzcie! to oręż,
Któremi do stóp moich łby wasze podczynię!»

Z boku zaś, wzrok w rycerskie zatopiwszy lice,
Bada ciekawy, polski co odrzeczę gość.
Aż Skarbek łuskowaną ściga rękawicę
I z palca pierścień drogi do skarbnicy miota:
«Niechajże i to złoto łączy się do złota —
Dla wolnych żelaza dość...»

I Bóg spełnił rzecz męzką. Wkrótce po nad Odrą,
Legła, jak zżęte zboże, czerń niezmierna wroga —
Głodne psy z ciał rycerzy karm znalazły szczodra.
I długo — długo potem bielejąca kość
Z Psiego-pola świadczyła: komu wolność droga,
Temu żelaza że na oręż dość.

DZIWY.

(IMPROWIZACYA.)

Stała nam się nowina :
Pani pana zabiła.

PIEŚŃ GMINNA.

Hej! tam za borem,
Za białem jeziorem,
Siedzi sokół siwy,
Opowiada dziwy...

Hej! tam za borem,
Za białem jeziorem,
W wysokim kościele
Było luda wiele.
Ksiądz święconą kroił wodą,
Błogosławił parę młodą;
A pan młody, cały w złocie,
Panna młoda, w łzach i w pocie,
Drużby, druchny, w kwiatach, w bieli,
U ołtarza klęczeli....

*

*

*

Hej! tam za borem,
Nad białem jeziorem,
W złoconym dworze,
W ślubnej komorze,
Pan młody na łożu leży:
Z serca szczerą krew mu bieży,

Rękoma po łożu chwyta,
 Pierśmi robi, zęby zgrzyta,
 Usta zbladły mu jak ściana,
 Z ust się sina toczy piana.

Przy nim krwią zbuczona,
 Stoi młoda żona;
 W rękę ostry nóż ściska,
 Oczyma straszno błyska —
 I radośnie się śmieje —
 Śpiewa — płąsa — szaleje . . .

* * *

Hej! tam przy dworze,
 Na białem jeziorze,
 Kipi, wre, zmacona woda;
 A po wodzie pani młoda,
 W bieli, w rucie, w rozmarynie
 Z rozplecioną kosą, płynie.

A nad borem, po nad dworem,
 Po nad jeziorem,
 Kruki, kawki, z wrzaskiem, szumem,
 Ulatują czarnym tłumem

CHRYSTUS I PIOTR.

Legenda łużycko-serbska.

Kiedy Pan Jezus żył jeszcze na ziemi,
Chadzał po świecie z apostoły swemi,
Z miasta do miasta i z wioski do wioski;
Szukając prostych serc, a kochających,
W serca zranione lejąc balsam boski,
Łzy ocierając z obliczy cierpiących.

Raz, z Piotrem wspoły, w Budyszyna strony
Do serbskich Łużyc zaszedł także cudnych;
Zobaczyć, jadem szalbierzy obłudnych
Trwa li pocziwy lud ten nieskażony.
I zdarzyło się, jednego wieczora,
Zaszli do małej wioszczyny Zahora.

Cicho i pusto było na ulicy.
Do chat od pracy wrócili rolnicy,
I długie ławy zasiadłszy przy stołach,
Odpoczywali po dziennych mokołach.

Przez jednej chaty okno uchylone
Migało światło kaganka czerwone,
I nieuczonym zborem brzmiały dźwięki
Z żywym natchnieniem nuconej piosenki.

Chrystus się wstrzymał — podchodzi — i ucha
K' oknu skłoniwszy, prostej pieśni słucha.

Ale Piotr, chatę pominąwszy z wzgardą,
 Pelen powagi dalej kroczył hardo.
 Aż kęs uszedłszy, gdy przy swoim boku
 Nie baczy mistrza, zatrzyma się w kroku;
 I obejrzawszy, widzi ze zgorszeniem,
 Jako światowem ten zajęty pieniem.
 Więc doń powraca, rady czy nie rady,
 Boć w mistrza słuszną iść uczniowi ślady.
 I długo obaj przy chacie tak stali,
 Pieśni słuchając — wreszcie poszli dalej.

Idą — i idą... A w tem, po nad drogą,
 Stoi gmach pyszny. Okien szyby rżnięte
 Jarzących światel jaśniejają pożogą;
 Dobrane głosy pieją psalmy święte.
 Na to przystanie Piotr, słuchać ochoczy —
 Lecz Chrystus dalej, niezważając, kroczy.
 Pelen zdziwienia, rady czy nie rady,
 Piotr zatem musiał zdążać w mistrza ślady.

Idą. — Po drodze Piotr w głowę się skrobie,
 Myśląc, jako by rzecz wyłożyć sobie.
 Wreszcie, niezdolen pojąć Zbawiciela
 Kroków, z pokorą pytać się ośmiela.

Chrystus, gdy mowę wysłucha piotrową,
 Rzecz z uśmiechem: «O, głowo ty, głowo!
 Tam w onej chacie, z szczerzego natchnienia
 Lud nucił swoje narodowe pienia.
 Tu obłudnicy, psalmy pieją usty,
 Lecz bez natchnienia głos brzmi z piersi pustej.»

PIERWSZA NOC CZAROWNIC.*)

(DIE ERSTE WALPURGISNACHT)

z Goethe'go.

PIERWSZY KAPŁAN.

Błysł maj radosny!
Pod technieniem wiosny
Szron stajał z gałęzi drzew.
Prysnęły lody —
W zieleni młodej
Weselny rozbrzmiewa śpiew.

Już tylko biała
Szata została
Na wyzninach najstromszych opoki.
Dalejże! spieszymy do góry!

*) Piękny ten, pełny wysokiej myśli, a mniej upowszechniony utwór Goethego, odnosi się do tak zwanych nocy czarownic (*Walpurgisnacht*), o których pamięć, częścią przez podanie, częścią przez obrządek, zachowuje się dotąd w wielu okolicach Niemiec, osobliwie zaś w tych stronach, gdzie niegdyś żyły słowiańskie plemiona, z czasem uciemnione i starte. Długo czas jeszcze po narzuceniu tym pogańskim ludom chrześcijaństwa, kapłani dawnej wiary starali się zachować jej zwyczaje i święta. Jednym z święt takich był dzień pierwszy maja. Ażeby obchodowi jego przeszkodzić, otaczano gaje święte i uroczyska chrześcijańskimi strażami. Zgromadzeni poganie dla odpłoszenia ich, przebierali się w dziwotworne postacie i wpadali na nie z wrzaskiem, ogniem i łoskotem. Chrześcianie, nawykli widzieć we wszystkich pogańskich obchodach sprawę szatańską, uciekali, biorąc to za zjawisko piekielnych duchów, poczem lud swobodnie odbywał swoje obrzędy.

Wypełnić ojców obrząd wysoki,
 Bogu w przyrodzie dać cześć;
 Z płomieniem jasnym, bijącym w chmury,
 Ducha ku Wszechstwórcy wzniesić.

ZBÓR KAPŁANÓW.

Płomień z dymów strzela w chmury —
 Dalej że! spieszmy do góry!
 Obyczajem ojców nieść
 Wśród przyrody Bogu cześć.

JEDNA Z KOBIET.

Jak to? Śmiecież się odważać?
 Na śmierć pewną się narażać?
 Czyliż nie znacie praw twardych
 Gnębicieli naszych hardych.

W koło rozpięte ich sieci,
 Nad nami ostre ich miecze;
 Mordowanych ojców, dzieci
 Naszych krew z dniem każdym ciecze —
 I nas wszystkich, niedaleka,
 Nieodzowna zguba czeka.

ZBÓR KOBIET.

W koło rozpięte ich sieci,
 Z każdym dniem płynie krwi rzeka
 Naszych ojców, naszych dzieci . . .
 I nas wszystkich — niedaleka —
 Nieodzowna zguba czeka.

PIERWSZY KAPŁAN.

Kto w wierze swój
 Wytrwać się boi,
 Godnym się staje złej doli. —

Oto las wolny!
 Wznóście stos smolny!
 Oto drzewa do woli.

Jednak po dniu
 Ukryci tu
 W gęstwinie krzewów zostaniem,
 I zbrojne w koło rozstawim straże,
 By tem bezpieczniej z nocy nastaniem
 Dopełnić, co wiara każe.

ZBÓR LUDU.

Idźcie, mężowie! Rozdzielcie się wszędy,
 Zewsząd las cały osaczcie.
 Skryci, w milczeniu, bezpieczeństwa baczącie,
 Aż święte spełnim obrzędy.

PRZYWÓDZCA CZAT POGAŃSKICH.

Z tych sług mniszych ciemną zgrają,
 Igraszkę dziś sobie sprawmy!
 Djabłem, o którym nam bają,
 Ich samych strachu nabawmy.
 Wśród skał, jarów, dalej razem!
 W koło, z ogniem i żelazem,
 Wlokąc widły i motyki
 W noc podnieśmy hałas dziki.

ZBÓR CZAT POGAŃSKICH.

Dalej w koło! dalej razem!
 Żywo z ogniem i żelazem!
 Wlokąc widły i motyki
 Przez skaliste gór parowy,
 W noc złowieszcze wzniesmy krzyki...
 Puhacze, sowy,
 Z nami w chór dziki!

PIERWSZY KAPŁA N.

Do tej że nam niemocy
 Przyszło, że tylko w nocy
 Możemy Bogu dać cześć! ...
 Lecz noc jest dniem,
 Póki mu śmiem
 Czystem ją sercem nieść.

Twa wola, Boże!
 Dozwolić może
 Wrogom czas który
 Nad nami góry.

Lecz z czarnych dymów płomień się wzbija —
 Tak jaśniejże światłość wiary!
 I choć nam wydrą obyczaj stary,
 Światłość twą wydrzeć, moc czyja?

JEDEN Z STRAŻY CHRZEŚCIAŃSKICH.

Gwałtu! bracia! ... Przez Bóg żywy!
 Piekieł ćma tu wali cała!..
 Patrzcie! patrzcie! co za dziwy!
 Poczwarne, ogniste ciała,
 Baby-jędze, wilkołaki
 Zgrają roją się straszliwą ...
 Co za hałas! Trzask, pisk jaki!..
 O, uchodźmy ztąd co żywo!
 W górze huczy bies ognisty,
 Z dołu bucha dym siarczysty.

ZBÓR STRAŻY CHRZEŚCIAŃSKICH.

O, uchodźmy ztąd co żywo!
 Co za hałas! trzask, pisk jaki!..
 Baby-jędze, wilkołaki
 Zgrają roją się straszliwą.

W górze huczy bies ognisty,
Z głębi bucha dym siarczysty ...

ZBÓR KAPŁANÓW.

Z chmur czarnych dymów płomień się wzbija —
Tak jaśnieje światło wiary!
I choć nam wydrą obyczaj stary,
Światłość twą wydrzeć — moc czyja?

PÓŁNOCNY KRÓL.

(DER KÖNIG IN THULE)

z Goethe'go.

Był król na północnym tronie,
Wierny do ostatka tchu.
Kochanka niegdyś przy zgonie
Złotą czarę dała mu.

Król w świętej chował ją cenie;
A ilekroć spełniał ją,
Piersi wznosiło westchnienie,
Wzrok rzewnąćmił mu się lżą.

Kiedy nakoniec, zgrzybiały,
Król blizki poczuł swój zgon,
W sali, na urwisku skały,
Po nad morzem zasiadł tron.

I wszystkie dziedzice swoje
Zwoławszy, dóbr czynił dział.
Miasta, zamki, skarby, zbroje,
Wszystko im — prócz czary — zdał.

Po raz ostatni w krzepnącą
Dar kochanki ujął dłoń.

Spełnił — i czarę w huczającą
U stóp swoich cisnął toń.

Widział, jak się nad nią płowa
Zawarła głębina mórz —
Na piersi zwiśla mu głowa —
I więcej nie wzniósł jej już.

DWA USTĘPY

Z SAGI O FRITHJOFIE

Izajasza Tegnera.

I.

DZIEDZICTWO FRITHJOFA PO OJCU.

Wreszcie, jak pragnęli sami,
w grobach złożeni, spoczęli
Bele król i Torsten stary.
Po obu brzegach zatoki
Wznoszą się krągłe mogiły
rozdzielonych śmiercią druhów.
Helge i Halfdan*) objęli,
za zgodą ludu, dziedzictwo
Społem nad państwem ojcowskiem;
Frithjof zaś, jako jedynak,
Nie dzieląc z nikim, sam objął
dwór rodzicielski we Framnös.

Na trzy mil długą dziedzinę
ze trojga stron graniczyły
Doliny i góry strome,
z czwartej oblewało morze.

*) Dwaj synowie króla Bele.

Brzozy wieńczyły gór szczyty,
 a na pochyłościach wzgórzy
 Złoty kołysał się jęczmień
 i bujnie wyrosłe żyta.
 We zwierciadłach jezior licznych
 gór odbijały się kształty
 I ciemna zieloność lasów,
 w których łoś wysokorogi,
 Z setnych się rzeźwiąc potoków,
 błądzi wspaniałemi kroki.
 Zaś w pośród dolin, na łąkach,
 krów mnogie pasły się stada,
 Ze lśniąca sierścią, z pełnemi,
 doju zwącemi, wymiony.
 Między niemi, niezliczone
 owiec przeciągały trzody,
 Okryte runem śnieżystem —
 podobne obłokom białym,
 Z wiosny nastaniem po jasnym
 niebios błękiecie błędzącym.
 Dwakroć dwanaście rumaków —
 istnych wichrów okiełznanych —
 Bijąc ziemią stało w stajni
 rzędami około żłobów,
 Z grzywą czerwono plecioną,
 błyszczącą stałą podkute.

Gmach w sobie samym udzielny
 tworzyła sala ogromna,
 Ze sosen twardych zrębiona.
 Sześciuset w niej godowników
 Biesiadowało swobodnie
 w uroczyste święto Julu.*)

*) Święto Jul, jedno z najglówniejszych u dawnych Skandynawów, bogowi płodności Frej poświęcone, obchodzone bywało z wielką świetnością przez tygodni kilka, rozpoczynając nowy rok skandynawski, w końcu stycznia i początku lutego.

Przez całą dłużej się ciągnął
 stół ze drzewa dębowego,
 Gładki i jako stal lśniący.
 U górnego stołu końca
 Stały dwa słupy — na słupach
 dwa z drzewa rzeźbione bóstwa:
 Odin królewski i Freja,³⁾
 z słońcem błyszczącym na głowie.

Niegdyś tu, między obiema,
 na czarnej skórze niedźwiedziej
 (Paszcza jej była z szkarłatu,
 pazury ze srebra kute),
 W pośród przyjaciół i gości
 Torsten zasiadł gościnny.
 Nieraz, przy bladym księżycu
 blasku, opowiadał starzec
 Dziwy: o obcych narodach,
 o swoich wyprawach zbrojnych,
 Daleko, na wschodnie morza
 i ku zachodowi słońca.
 Wszyscy natenczas, milczący,
 cisnęli się w koło niego,
 Jak pszczoły do pełnej róży;
 a Skaldowi⁴⁾ się zdawało,
 Że to sam Brage⁵⁾, ze srebrną
 brodą, z run pełnym językiem,
 Pod zieleniącem jesionem,
 przy wiecznem źródle Mimer'a,
 Siedząc, opowiada sagi —
 sam saga wiecznie żyjąca.

³⁾ Odin, najwyższy bóg mytologii północnej; Freja bogini miłości.

⁴⁾ Skald, nazwa starodawnych wieszczów skandynawskich.

⁵⁾ Brage, bóg poezji. Język jego cały okryty był runami. Jesion, o którym w następnym wierszu mowa, jest to wieczne drzewo Yggdrasil, w raju skandynawskim rosnące. Z pod korzenia jego płynęło źródło mądrości, którego strzegł Mimer.

Wśród słomą słanej podłogi,
 na murowanem ognisku,
 Bezustanny gorzał ogień.
 W górze, przez dymnik otwarty,
 Złociste gwiazdy patrzyły
 z nieba do sali biesiadnej.
 U ścian, na gwoździach żelaznych,
 w koło porządkiem wisiały
 Hełmy, pancerze, a wśród nich
 mieczów brzeszczoty, błyszczące
 Jak smugi gwiazd spadających
 nocą po zimowem niebie.
 Więcej jeszcze, niżli mieczy
 i hełmów, tarcz było w sali,
 Srebrnych i lśniących, jak jasne
 kręgi miesiąca, lub słońca.
 Kiedy bywało dziewczyna,
 do stołu, nalewać rogi,
 Przechodząc, spuszczała oczy,
 tarcze twarz jej odbijały,
 Oblaną wstydu szkarłatem,
 K' uweseleniu rycerzy.

Dostatek w domu znać było,
 kędyś tylko rzucił okiem.
 Piwnice, komory, śpichrze
 bogatych zapasów pełne.
 Nie brakło i na klejnotach,
 zdobytych w walkach zwyciężkich,
 Złocie, runami ozdobnem,
 i kunsztownie kutem srebrze.
 Z między wszystkich wszakże bogactw
 troje szanowano rzeczy.

Z tych trojga najszacowniejszym
 był miecz, rodzinne dziedzictwo.

Augur wadel miał nazwisko —
 brat czerwonej błyskawicy.
 Kędyś, na dalekim wschodzie,
 w mieszkaniu karłów podziemnem,
 Ukuty, jak mówi saga.
 Björn Blauzahn ⁶⁾ pierwszy go posiadał.
 Björn stracił go, razem z życiem,
 ległszy w zatoce Gröningi
 Z rąk przemożnego Wifella.
 Wifell miał syna Wikinga.
 Za tego dni, w Ullerloker
 mieszkał książę jeden stary,
 Kaleki, jedyną córkę
 kwitnącą mając przy sobie.
 Stało się, że z głębi lasów
 zjawił się olbrzym potworny,
 Nieludzki kształtem, kosmaty
 na całym cielsku straszliwym.
 Córkę i państwa żądając
 starca na rękę wyzywał.
 Nikt nie śmiał wyjść przeciw niemu,
 nie wierząc, by się znalazła,
 Stał dosyć twarda, rozwalić
 żelazną czaszkę potwora.
 Aż Wiking, piętnastoletni
 młodzian podówczas, wystąpił,
 W sobie i w mieczu swym ufny —
 i jednym cięciem rozciąwszy
 Leb ryczącemu straszidłu,
 zbawił starca i dziewicę.
 Po Wikingu przeszedł spadkiem
 miecz w ręce syna, Torstena.
 Frithjof wziął go teraz po nim.
 Kiedy go było wyciągnąć
 Z pochwy, cała sala pałała,
 jak by od błyskawic łuny.

⁶⁾ Słynny król i bohater w starożytności skandynawskiej.

Złota rękojeść, brzeszczot zaś
 cały okryty był w runy,
 Dziwne, nieznane północy,
 znane tylko gdzieś na wschodzie —
 W dziedzinie ojców, przed wielką
 Assów⁷⁾ na północ wędrowką.
 W chwilach błogiego pokoju
 przyćmionym lśniły się blaskiem,
 Lecz gdy Hildur⁸⁾ dała hasło,
 wtedy wyskrzzone gorzały
 Czerwono, jak grzebień kura
 w boju — i niechybnie zginął,
 Kto się w bitwy zawierusze
 Spotkał z tą głownią czerwoną.
 Miecz to był sławy niezmiernej,
 pierwszy na całej Północy.⁹⁾

Po mieczu, w cenie najwyżej
 stał naramiennik potężny,
 Niegdyś Wulkana północy,
 chromego Waulundra¹⁰⁾ dzieło.
 Troje grzywien wagi trzymał,
 z najczystsze go kuty złota;
 Okryty w rzeźby rozliczne —
 obrazy zmysłowe walki
 Światła z ciemnością, w przyrodzie
 i w duchu ludzkim zwodzonej.
 Przepyszny guz rubinowy
 zdobił wypukłość obręcza,
 Jako słońce obłąk nieba.
 Od Waulundura począwszy,

⁷⁾ Assy mytyczni bogowie i przodkowie Skandynawów, podług podań ze wschodu na północ przybyli.

⁸⁾ Hildur bogini wojny.

⁹⁾ Północ — nazwą tą oznaczali i oznaczają dotąd Skandynawi zbiorową swoją ojczyznę, Danią, Szwecyą, Norwegią i t. d.

¹⁰⁾ Waulundur, lub Wölundr, mytyczny bohater, kowal i złotnik skandynawskich podań. Broni i klejnotom jego kowu przypisywano cudowne własności.

Przodka z macierzystej strony,
 własnością był on rodziny.
 Raz, skradziony, stał się łupem
 korsarza, który po morzach
 Północnych długo błądziwszy
 nareszcie zginął bez śladu.
 Aż z czasem wieść się rozeszła,
 że na wybrzeżach Bretlandu ¹¹⁾
 Z łodzią i skarby się zawarł
 żywo w sklepionym kurhanie,
 Lecz nie znalazłszy pokoju
 pokutuje ciągle w grobie.
 Torsten, skoro to posłyszał,
 wraz z Belą, dosiedli smoka ¹²⁾
 I szybko przebywszy morze
 na brzeg wskazany wysiedli.
 Ogromny, jak kościół jaki,
 lub gród królewski przysuty
 Zwirem i trawą zieloną,
 kurhan podnosił się krągły.
 Z pośrodku błyszczało światło.
 Przeze szpary wrót potężnych
 Rycerze zajrzeli w środek:
 czarny, jak smoła, stał w głębi
 Smok, z wiosły i maszty swemi.
 U szczytu masztu, na żaglu,
 Siedziała postać straszliwa,
 w płaszcz płomienisty okryta.
 Ponuremi świecąc oczmi
 Krwawe czyściła żelazo —

¹¹⁾ Bretland — Brytania. — Dla zrozumienia następujących wierszy trzeba wiedzieć, że obyczajem skandynawskim grzebano zmarłych w sklepionych mogiłach, ze wszystkim co mieli drogiego na ziemi. Niekiedy bohaterowie, czując się blizkimi zgonu, lub sądząc, że dość się nażyli i zdziałali na ziemi, żywo wstępowali w takowe grobowce.

¹²⁾ Smokami nazywali Skandynawi okręta swoje, od kształtu, jaki im nadawać byli zwykli, a którego bliższe wyobrażenie poda nieco dalej opis Ellidy.

Lecz plamy nie chciały znikać.
 Złupione skarby leżały
 W stosach — sam zaś naramiennik
 straszydło miało na sobie.

— «Wejdziem li?» poszepnął Be le,
 «samodwój tylko, przeciwko
 Straszliwej walczyć potworze?»
 Na to mu Torsten w pół-gniewnie:
 «Jeden przeciwko jednemu! . .
 tak każe zwyczaj. Ja pójdę.» —
 Chwilę trwał pomiędzy nimi
 spór o zaszczyt niebezpieczny
 Pierwszeństwa; aż wreszcie Be le,
 hełm stalisty zdjawszy z głowy,
 Rzucił do niego dwa losy —
 a we wyciągnionym Torsten,
 Przy brzasku nocnym, swój poznał.
 Jednem uderzeniem włóczni
 Wysadził ze zapór wrota
 i wstąpił w podziemie ciemne.

Później, badany co doznał
 w noc tę, milczał zdjęty zgrozą.
 Be le zasłyszał śpiew naprzód,
 jak wrzask złych duchów huczący —
 Potem chrzęst stali, jak gdyby
 dwojga skrzyżowanych szabli —
 Wreszcie krzyk straszny — i scichło! . . .

Z jaskini wyskoczył Torsten,
 Wybladły i bezprzytomny —
 snać że po walce śmiertelnej.
 Naramiennik wyniósł przecie.

— «Drogom go opłacił» mawiał.
 «Raz jedyny w życiu drżałem —
 a to kiedym go odbierał.»
 Klejnot to był wielkiej ceny —
 słynny na całej Północy.

Trzecim drogim sprzętem w rodzie
 był okręt, Ellida zwany. —
 Jak mówią, Wiking, wracając
 kiedys z wojennej wyprawy,
 Zobaczył około brzegów
 na błędzącej szczytach łodzi,
 Jakby na igraszkę falom
 porzuconego człowieka,
 I podpłynął z swym okrętem
 ocalić nieszczęśliwego.
 Mąż był wspaniałej postaci
 i oblicza otwartego,
 Lecz zmiennego, na kształt morza
 powierzchni słońcem olśnionej.
 Płaszcz miał błękitny, pas złoty,
 koralami nasadzany;
 Brodę, jak piana fal, białą,
 i zielono- płowe włosy.
 Wiking wziął zziębłego do dom,
 gościnnem rzeźwił staraniem —
 Lecz gdy go wieźdź chciał do łoża,
 gość, śmiejąc się, odpowiedział:
 « Wiatr dmie pomyślny — a czołn mój
 nie myśl, że tak godzien wzgardy!
 Sto mil, zaczem zajdzie słońce,
 dziś jeszcze na nim upłynę.
 Serdeczny dzięk za gościnne
 przyjęcie! ... Rad bym ci wzajem
 Wdzięcznym odpłacać się darem —
 lecz skarbiec mój na dnie głębi.
 Jutro przecież, ujrzysz może
 mój upominek u brzegu.»
 Z jutrem rano, kiedy Wiking
 wyszedł na brzeg, do zatoki
 Wpłynął okręt pędem orła
 ścigającego za łupem.
 Nikogo, nawet sternika,
 nie było widać na statku.

Jednak cudnie wił się węzem
 pomiędzy progi i skały,
 Jak by w nim mieszkał duch żywy.
 Kiedy się zbliżył do brzegu,
 Zagle spadły same przez się,
 i bez pomocy człowieczej
 Kotwica, runąwszy w wodę,
 zaryła się w dno piaszczyste.

Wiking patrzył, niemy dziwem —
 w tem śpiewne fale zabrzmiały:
 «Ægir, ¹³⁾ któregoś ugościł,
 tym ci odpłaca się darem.»

Dar był prawdziwie królewski.
 Wygięte bale dębowe
 Nie, jako zazwyczaj, zbite,
 lecz zrosłe były ze sobą.
 Na podobieństwo smokowi
 morskiemu, czołn był podłużny.
 U przodu sterczała głowa,
 z rozwartą paszczą szkarłatną.
 Kadłub był błękitny, w cętki
 złociste. W tyle, u steru,
 Długi, kręty ciął się ogon,
 łuską srebrzystą błyszczący.
 Skrzydła miał czarne, z brzegami
 czerwonemi. Gdy je było
 Napiąć, wiatrem szunnym wzdęte,
 wyprzedzały orła w locie.
 Napełniony mężem zbrojnym
 okręt zdał się niby twierdzą,
 Lub pływającą wielkiego
 króla jakiego stolicą. —
 Łódź to była wielkiej sławy —
 bez równia w całej Północy.

¹³⁾ Ægir, bóg morza.

To wszystko, i wiele innych
 rzeczy wziął Frithjof po ojcu.
 Trudno by naszedł się dziedzic
 bogatszy nadeń w Północy;
 Chybaby z synów królewskich —
 bo królów możność najwyższa.
 On, jak bądź nie syn królewski,
 iście królewski miał umysł:
 Dobry, szlachetny, otwarty,
 co dzień rósł w więtość u ludzi.
 Torsten zostawił mu także
 towarzyszy swych dwunastu,
 Osiwiałych bohaterów,
 w stal zakutych, z czołem całem
 W szczerbach. W pośród nich u stołu
 ostatni zasiadał młodzian —
 Róża pomiędzy liśćcami
 wiednącemi — Björn imieniem.
 Wesół, jak dziecko, lecz jak mąż
 dzielny, roztropny jak starzec.
 Razem wyrósł był z Frithjofem —
 i obyczajem północnym,
 Krew swą mieszając, nawzajem
 przysięgli sobie braterstwo
 W boju, w niedoli, i szczęściu,
 i zemstę wspólną do grobu.

I oto, na smutnej stypie
 w pośród przyjaciół i gości,
 Frithhof, żalobny gospodarz,
 z oczyma łzami zaszłemi,
 Wstąpił i osieroczone
 po ojcu zajął siedzenie
 Między Odinem i Freją
 (Thora¹⁴) to miejsce w Walhalli).

¹⁴) Thor, syn Odina, bóg wojny.

I, obyczajem północnym
 pijąc na pamięć rodzica,
 Słuchał Skaldów, grzmiącą D r a p ę ¹⁵⁾
 ku czci zmarłego wznoszących.

¹⁵⁾ D r a p a, podobnie jak litewska rauda, pieśń czci zmarłych poświęcona.

II.

PRZYBYCIE FRITHJOFA DO ANGANTYRA.

Teraz, słuchajcie dalej!
W dobranych męży kole,
W wysokiej siedział sali
Angantyr Jarl ¹⁶⁾ przy stole.
Pijąc pełen ochoty,
Patrzył na wód zwierciadło,
Kędy jak łabędź złoty,
Zachodząc słońce spadło.

Przy oknie, przy wysokiem,
Straż trzymał Halwar stary.
Po morzu wodząc okiem
Wychylał miodu czary.
Raz po raz duszkiem spełniał
Olbrzymią czasz rogową,
I milcząc ją napełniał,
I wychylał na nowo.

Na raz, ciska róg próżny
W środek sali, i prawi:
«Okręt jakiś podróżny
Koło brzegów się jawi.

¹⁶⁾ Jarl, udzielny książę lub hrabia, z rodu dawnych królów północnych.

Otóż łądu dościga . . .
 Olbrzymich dwu mocarzy
 Na barkach na łąd dźwiga
 Opadłych z sił wioślarzy.»

W wskazaną stronę nagle
 Pojrzawszy, Jarl ś-odzywa:
 «Ellidy są to żagle!
 Frithjof to k' nam przybywa.
 Po kroku i po wzroście
 Do poznania on snaden.
 Obojgiem mu nie sproście
 W Pólnocy całej żaden.»

Na to, rześko od stoła
 Skoczy Wiking sędziwy;
 Groźnie strząsa włos z czoła,
 Wzrok płonie mu straszliwy.
 — «Dziś doświadczęż, na bogi!
 W rzeczy-li Frithjof młody
 Nie zna co prosić zgody,
 Żaden mu wróg nie srogi.»

Z nim po za stołu razem
 Dwunastu mężnych skoczą.
 Wiatry sieką żelazem,
 Maczugi groźnie toczą.
 Biegą, gdzie w brzegu ciszy
 Łódź się znękana chyli,
 A Frithjof w towarzyszy
 Otuchę tchnąć się sili.

— «Mógł bym cię wziąć w niewolą» —
 Pocznie stary przewodzić —
 «Lecz daję ci na wolą:
 Walczyć, lub też uchodzić.

Lub, przyniesiesz li może
 Prosić zgody i mira? - . .
 To pójdziem społem w dworze
 Ucztować Angantyra.»

— «Strudzonym drogą srodze» —
 Odrzecz Frithjof w gniewie —
 «Wszak, czy podle uchodzę,
 Odpowiedź miecza giewie.»
 I miecze w obu dłoni
 Błysną, jak dwa pioruny . . .
 Na Frithjofa się broni
 Krwawo wyskrzyły runy.

Bój wszczyna się zacięty,
 Groźnie na siebie sieką;
 Rozrąbanych tarcz szczęty
 Gradem lecą daleko.
 Rycerze stoją cali,
 Jak dwie niezżyte skały . . .
 W tem, na Frithjofa stali
 Pryśł miecz Wikinga biały.

— «Nigdy piersi bezbronnej
 Nietknął żelazem mojem.
 Więc, gdyś tak walki skłonny,
 Innym zmierzmy się bojem.»
 I jak wezbraną falą
 Powódź, ku sobie skoczą . . .
 Pięści w pancerze walą,
 Piersi o piersi tłoczą.

Jak dwa niedźwiedzie w śniegu,
 Tak się nawzajem włóczą,
 Prą i wiją po brzegu,
 I łamą się, i tłuczą.

Nieraz już pod słabszem
 Ciosy drżały skał zręby,
 I wydarte ze ziemi
 Stare padały dęby.

Pot zimny ciecze z czoła,
 Tchem ciężkim gardła chrapia.
 Zwir i ciernie dokoła
 Walczących twarze drapia.
 Gromada wojowników
 Kręgiem stoi z daleka,
 I sławiąc zapaśników
 Za końcem walki czeka.

Nareszcie Frithjof zmiecie
 Wroga pod swoje nogi;
 Kolanem pierś mu gniecie,
 I krzyczy gniewem srogi:
 »Teraz mi tu szeroką
 U boku mieć mą szablę!
 By ją twoją posoką
 Napoić, stary djable!»

— «O to zgryzoty nie miěj!»
 Odpowie stary dumnie.
 «Idź, podnieś miecz ze ziemi,
 I powracaj z nim ku mnie.
 Otworem w każdej porze
 Walhalli stoi brama...
 Mnie dzisiaj — jutro może
 Tobie droga też sama.»

Frithjof podniósłszy lśniący
 Brzeszczot, do ściecia bieży.
 Nieruchomo, milczący,
 Czekając stary leży.

Ten widok gniew ukróca
 Wrzący w zwyciężczy łonie:
 Wzniesiony miecz odrzuca,
 Padłego ściska dłonie.

W tem, wznosząc łaskę białą,
 Wykrzyka Halwar stary:
 «Zadość męztwu się stało!
 Czas do jadła i czary.
 Dawno już tam na sali
 Dym z srebrnych mis się dźwiga;
 Ryba, mięso wystygła —
 Pragnienie gardziel pali.»

We dwór zatem sosnowy
 Idą wrogi zjednane.
 Tu to syn Torstenowy
 Ujrzał dziwy nieznane!
 Nie nago tu, zrębiona
 Z pni grubych, ściana stoi;
 W złote liście i grona
 Miękka ją skóra stroi.

Nie wśród podłogi pryska
 Skrami stós z szczap sosnowych;
 W kominach marmurowych
 Jasne gorzą ogniska.
 Dym nie snuł się kłębam,
 Z ścian sadze nie ściekały;
 Okna były z szybami,
 Podwoje klamki miały!

Nie drzazgi tu żywiczne
 Jaskrawą świecą łoną;
 W srebrnych świecznikach liczne
 Wesóło świece płoną.

W pośrodku się na stole
 Wznosił jeleń, z kopyty
 Złocistemi, na czole
 Róg mając w bluszcz obwity.

Rycerzowi przy boku
 Każdemu dziewa stała,
 Jak wodna lilja biała,
 Z gwiazdą w błękitnem oku.
 Długich włosów kędzierze
 Kryją barki śnieżyste;
 Z lic kwitną róże świeże,
 Usta — korale czyste.

W srebrnem krześle, wysoko,
 Zasiadał Jarl wspaniały.
 Jak słońce, ćmiące oko
 Hełm jego ciskał strzały.
 Złotą na piersiach zbroję,
 Płaszcz miał we gwiazdy lite,
 Szkarłatne jego kroje
 Gronostajem obszyte.

Od stołu kroki trzemi
 Przeciw gościowi wstaje;
 Witając dłoń podaje.
 — «Pozdrowiony bądź że mi»
 Woła «Torstena synie!
 Niegdyś twój ojciec stary
 Spełniał tu ze mną czary —
 Weź miejsce jego ninie.»

I czasę po brzeg leje
 Pełno winem, płonącym
 Jak niebo, kiedy dnieje,
 Jak morza prąd kipiącym.

— «Synu druha starego!
 Piję we twoje ręce.
 Bohaterskiemu jego
 Wspomnieniu czasz tę święcę.»

Od Morwenu więc strony
 Śpiewak dźwięk harfy cuci,
 I gallickiem i tony
 Mglisty swój rapsód nuci.
 Po nim w Normanów mowie,
 Po starem ojców prawie,
 Zaśpiewali Skaldowie
 Pieśń o Tortsena sławie.

O ród swój w ojców ziemi
 Jarl zatem gościa bada.
 Słowami roztropnemi
 Frithjof mu rozpowiada.
 Z wszystkiego zdaje sprawę,
 Mądrej podobny sadze,
 Pochwałę i niesławę
 Na słusznej dzieląc wadze

K O N I E C.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

69/2/24842





WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH

B I B L I O T E K A

78725

LP

Biblioteka WSP Kielce



0227132